Wyspa

KWARTALNIK LITERACKI

nr 3 (79) 2026

Wojciech Brzoska, Aleksandra Domańska, Wiesław Godzic, Erin Halleda
Joanna Jarecka-Gomez, Anna Kalinowska, Witold Kaliński, Tomasz Krakowiak
Maciej Krzemiński, Małgorzata Kulisiewicz, Beata Kurek, Karol Maliszewski
Piotr Milewski, Radosław Młynarczyk, Anna Nasiłowska, Maciej Jerzy Otłowski
Lidia Sadkowska-Mokkas, Jan Skoumal, Grzegorz Wiśniewski, Rafał Wojasiński
Piotr Wojciechowski, Grażyna Wojcieszko, Tomasz Zbigniew Zapert, Jan Zieliński
Nina Sara Suliga – okładka

eprasa.pl/f2841e751r

Wyspa KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1897-2616 – druk
ISSN 2083-7720 – internet
nr 3 (79)

www.kwartalnikwyspa.pl

ADRES REDAKCJI: 00-048 Warszawa, ul. Mazowiecka 6/8

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Dobrołęcki (dobrolec@warman.com.pl)

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Ewa Tenderenda-Ożóg (kontakt@kwartalnikwyspa.pl)

PROZA: Wojciech Kaliszewski, Rafał Wojasiński

POEZJA: Piotr Dobrołęcki

FELIETONY: Wiesław Godzic, Witold Kaliński, Karol Maliszewski, Piotr Wojciechowski, Jan Zieliński

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
Nina Sara Suliga

REDAKCJA I KOREKTA: Justyna Charęza

OPRACOWANIE GRAFICZNE, SKŁAD:
TYPO 2 Jolanta Ugorowska

DRUK I OPRAWA:
Drukarnia Sowa

Biblioteka Analiz

WYDAWCA: Biblioteka Analiz Sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Ewa Tenderenda-Ożóg

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo zmian i skrótów, w wypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania oraz innych zmian. Prosimy o przesyłanie tekstów w formatach.doc lub.rtf o objętości do 30 tysięcy znaków ze spacjami w wypadku prozy i esejów oraz do 10 wierszy w wypadku poezji.

Prenumeratę można zamawiać w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju (informacje pod numerem infolinii 801 205 555),

a także przez stronę internetową

Kwartalnika Literackiego WYSPA:

www.kwartalnikwyspa.pl

W NUMERZE

POEZJA

Joanna Jarecka-Gomez
Apokalipsa 4

Grażyna Wojcieszko
Wariacja V 34
Wariacja VII 34
Wariacja VIII 35
Wariacja IX 35

Beata Kurek
Jana Vermeera *Kobieta w niebieskiej sukni* 64
*** [Roztrzęsłam się] 64
*** [Myślisz że omijasz śmierć] 65
Galaktyka strachu 65
Przedwiośnie 65

Wojciech Brzoska
przewodnik po emocjach 83
*** [siedzieliśmy przy wspólnym stole] 84
*** [wpisany w koło] 83
*** [ćwiczenia z uważnego słuchania] 84
*** [odradzanie uczestnictwa w pogrzebach] 85

eprasa.pl f2841e161d

PROZA

Jan Skoumal
Fototropizm..... 10

Tomasz Krakowiak
Przysypała ziemia..... 26

Aleksandra Domańska
Notatki (29) 45

Piotr Milewski
Zapiski z Północnej Wyspy.
Część druga 58

Małgorzata Kulisiewicz
Bard 74

Erin Halleda
Noc, w której stałam się duchem 98

ESEJ

Radosław Młynarczyk
Nowe formy biograficzne..... 5

Grzegorz Wiśniewski
Patriarcha literaturymołdawskiej 55

Anna Kalinowska
Osiem desek cztery łapy..... 66

WYWIAD

Legalista niepogodzony
Z Lidią Sadkowską-Mokkas, autorką biografii *Menuet z Grochowiakiem*, rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert 13

Próba dialogu
Z Rafałem Wojasińskim
rozmawia Maciej Krzemiński 36

Niełatwo zerwać rodzinny węzeł
Z Anną Nasiłowską o jej książce *Węzeł rodzinny*
rozmawia Jan Skoumal..... 51

FELIETON

Jan Zieliński
Przestrogi na czas kryzysu..... 24

Karol Maliszewski
Kanikuła albo... Felieton rozproszony..... 41

Witold Kaliński
W dolinie Popradu..... 71

Wiesław Godzic
Powroty posłów..... 96

Wydanie dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl f2841e161d

Piotr Wojciechowski
Góry patrzą na miasta 101

NOWE NAZWISKA

Maciej Jerzy Otłowski
Podpułkownik..... 86

RECENZJE

Sylwia Kanicka
Nowa rzeczywistość zaczyna się w tobie
(Olgerd Dziechciarz, *feng szui*)..... 105

Piotr Dobrołęcki
Spotkanie z Helladą
(Tomasz Piotr Kozłowski, *Szafran, mastyks i figa*) 113

PERYSKOP 114

KRONIKA 118

NASI AUTORZY 125

eprasa.pl f2841e161d

Joanna Jarecka-Gomez

Apokalipsa

Siedzi przed nim pogięty
Skupiony
Po czole przelatują impulsy
Brata się z maszyną
Potrzebna mu do życia
Myśli za niego
Czuje
Decyduje
Dzięki niej błyskotliwy
Digitalnie inteligentny
Wielozadaniowy
Świat ma za jednym kliknięciem
Może wejść do cudzego domu
Bez pukania
Nie wyważając drzwi
Może zasypać rów nudy
Umeblować samotność
A nawet złożyć się w trumnie
Nie umierając
Ale co to
Zgasło światło
To tylko awaria
Dla niego apokalipsa
Podwójnie zgięty
Nie potrafi się wyprostować

eprasa.pl f2841e161d

ESEJ

Radosław Młynarczyk

Nowe formy biograficzne

Uwaga współczesnych czytelników jest niesamowicie rozproszona. Aby w zalewie literatury gatunkowej i popowo-erotycznych historii odnaleźć swoje miejsce, musiała humanistyka zrewidować zaśniedziałe formy narracyjne. Efektem tych zmian jest zwrot w biografistyce, nierzadko prowokujący gorące dyskusje publiczne.

Przyszedł na świat, dokonał wielkich rzeczy, umarł. Miała trudne dzieciństwo, walczyła o siebie, zdobyła uznanie. W szkole bywało różnie, ale ten jeden nauczyciel dojrzał w nim błysk geniuszu i dzięki temu osiągnął sławę. Odkryto ją przypadkiem, ale codziennie udowadniała ponadprzeciętność.

Biografie muszą podkreślać wyjątkowość, interesujący życiorys to życiorys niezwykły, walczący o niezależność własną i innych. Lub chociaż fizycznie wybitny: piękny, wysportowany, muskularny. Biografia to hagiografia, usprawiedliwiająca nieliczne niegodziwe postępki, ponieważ wątpliwa moralność bywa ofiarą składaną na ołtarzu geniuszu. Prawda? Na szczęście już nie.

Inne narracje

Biografistyka przeżywa w Polsce złoty czas. Serca czytelników zdobywają wywiady rzeki, autobiografie i quasiautobiografie (tworzone przez ghostwriterów) oraz klasyczne biografie – i to coraz bardziej zaskakujące. Jeśli do roku 1989 spisywano historie Mickiewicza czy Słowackiego, to współcześnie popularnością cieszą się bohaterowie nieoczywiści: Józef Sigalin, Józef Wilkoń czy Eleonora Plutyńska. Każda wybitność, niezależnie od dziedziny, jest intrygująca, jest obietnicą zjawiskowej lektury, uchyleniem tajemnicy sukcesu, emanacją skrytego pragnienia sławy, rozpoznawalności i uznania. Przyczyna, jak się zdaje, leży w poszerzeniu kontekstów i narzędzi badawczych.

Od niemal dwóch dekad zachodzi w Polsce generacyjna zmiana postrzegania rzeczywistości, mająca ścisły związek z rewizją postrzegania narodu jako takiego. Dominującą opowieścią o polskiej państwowości i narodzie była narracja królów, szlachty, magnatów, inteligencji, przedsiębiorczych kapitalistów, dzielnych żołnierzy. Od Mieszka I do zakończenia II wojny światowej spisywano dzieje kraju z perspektywy siły, majętności i wykształcenia, nierozerwalnie połączonych bądź

eprasa.pl f2841e161d

to prawem ziemi, bądź prawem pieniądza. Dualistyczny podział na kastę panów i podwładnych był odporny na szaleństwa historii i rewolucje społeczne. Kronikarze spisywali przygody (przypadki) wojów, możnowładców i duchownych, poeci zajmowali się codziennością dworu i szlachty, z rzadka zwracając oczy w stronę niższych warstw społecznych. Jeśli już wieś pojawiała się w utworach literackich, to jako wesoły folklor, zunifikowana ludność bez większych indywidualności. Takie ujęcie przetrwało nawet Polskę Ludową, dla której obywatele pozamiejscy byli, po prostu, masą: zrzeszoną w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, korzystającą z uroków kolektywizacji i walki z analfabetyzmem, usprawniającą zbiory mechanizacją, odwiedzającą miasto przy okazji pochodów pierwszomajowych.

Sytuacja uległa zmianie w świetle *Ludowej historii Polski* Adama Leszczyńskiego czy *Chamstwa* Kacpra Pobłockiego. Nagle okazało się, że większość z nas wywodzi się z chłopstwa, a opowieści o arianach, kontuszach i siedzibach rodowych można włożyć między bajki. Nowa świadomość wprowadziła niemałe poruszenie w społecznym obrazie ogólnonarodowej tożsamości i ta część społeczeństwa, która została cudownie uświadomiona, nierzadko chętnie (i z dumą) poczęła przyznawać się do wiejskiego pochodzenia. Pozwalam sobie oczywiście na hiperbolę, ale publiczna dyskusja o pochodzeniu „prawdziwych" Polaków i rezonans społeczny nowej ludowości – by tak rzec – były i są zdumiewające.

Następnym zwrotem ku prawdziwszym, niż przyjęło się nauczać w szkołach, obrazie polskiego rodowodu były *Chłopki* oraz *Służące* Joanny Kuciel-Frydryszak. Te publikacje przekroczyły kolejną granicę, mianowicie granicę płci, wpisując się w narracje historii nieopowiedzianych, historii drugiej połowy społeczeństwa, dotychczas wykluczanej z dyskursu tożsamościowego, a przecież odpowiedzialnej za organizację codzienności niezależnie od napięć politycznych i zbrojnych. Były to jednak narracje zbiorcze, prezentujące poszczególne bohaterki pobieżnie, dobrane w sposób ilustrujący odgórne założenie. Znakomitej większości czytelników i krytyków nie przeszkadzała jednak wybiórczość opracowań, sama bowiem koncepcja opisania losów „naszych babek i prababek" okrzyknięta została rewolucją w podejściu do tematu naszych korzeni.

Dzieje kobiet pracujących, uzależnionych od mężczyzn i borykających się z codziennymi problemami zwróciły – jako biografie zbiorowe – ster historiografii w kierunku mikrohistorii, życiorysów nie-mężnych, nie-bohaterskich, nie-genialnych, interesujących możnością identyfikacji z bohaterkami.

Na wady takiego ujęcia uwagę zwraca Antonina Tosiek. Wskazała, za ojcem współczesnej historiografii Haydenem Whitem, że „każda historia jest opowieścią narracyjną", upomina się o istnienia poszczególne, z których złożony jest monolit „kobiety ze wsi". Autorka *Przepraszam za brzydkie pismo*, latami studiująca pamiętniki mieszkanek terenów wiejskich, wskazuje na problem standaryzacji, a co za tym idzie, wtórnej stygmatyzacji nowych bohaterek świadomości społecznej. Zwolennicy ruchu ludowego zazwyczaj przywołują wybrane przykłady nawet nie

eprasa.pl f2841e161d

życiorysów, ale pojedynczych zdarzeń, dla umocnienia monolitu wiejskości. Tosiek wyciąga z archiwalnych zakamarków życiorysy spisywane drżącą, niewprawną ręką, by dojść najbliżej, jak tylko to możliwe, do prawdy o kobietach na wsi urodzonych, przywiązanych do ziemi i najczęściej na wsi umierających. Tym gestem badaczka włącza się do nowej fali biografii, biografii nieszczególnych, skupionych na zwyczajnych z pozoru wyzwaniach i przemyśleniach, które najdokładniej chyba odzwierciedlać mogą epokę, w której przyszło bohaterkom i bohaterom żyć. Jako pierwszy bodaj w tak wyrazisty sposób dokonał tego Piotr Nesterowicz, opisując losy członków Związku Młodzieży Polskiej w *Każdy został człowiekiem*. Podobnie jak Maciej Jakubowicz w *Hance*.

Mikrohistorie

Nie oznacza to jednak, że ów zwrot w podejściu do biografistyki ogranicza się li tylko do opisywania dalszej przeszłości. W autobiograficznej fikcji Doroty Kotas i Małgorzaty Halber pojawiają się bohaterki walczące z własnymi słabościami, dla których wyzwanie stanowią nie abstrakcyjne idee i spektakularne pojedynki z wyzwaniami pochodzącymi z zewnątrz (jak u wielbionych przez kolejne pokolenia mężczyzn: Kuczok-Pilch-Broszkiewicz-Hłasko-Uniłowski… cofać można się naprawdę daleko), ale nieukrywane, przepracowywane wraz z czytelnikami zmagania z rzeczywistością. Szczególnie wyraźnie zarysowane to jest w *Hałasie* Halber, który przyjmuje formę niemal filozoficznego eseju, zawieszonego pomiędzy kontraktem zawieranym już w pierwszych paragrafach z modelowym czytelnikiem a potrzebą analizy nie tylko przebodźcowania własnego, ale nawet całego społeczeństwa. Nie eksplikuje jednak autorka podobnych ambicji, tylko naświetla współczesne wielkomiejskie dążenia przeźroczem swoich doświadczeń. Na zupełnie podstawowym poziomie *Hałas* jest historią warszawskiej artystki doprowadzanej do skrajnych emocji przez gwar, zamęt i plątaninę nowoczesnego miasta. To jednak krzywdzące uproszczenie. W istocie jest mikrohistorią współczesnej *everywoman*, której problemy są tożsame z problemami całego pokolenia. Tym się jednak różni od ujęcia zbiorowych biografii, że nie zgłasza pretensji do wypowiadania stanowiska wszystkich kobiet zamieszkujących polskie czy światowe metropolie. Pozostawia jedynie furtkę umożliwiającą identyfikację, współodczuwanie, być może nawet zrozumienie.

Hałas łączy z *Przepraszam za brzydkie pismo* „zwyczajna bohaterka", która czytelnika podmęczonego już klasycznymi hagiografiami, stawia przed życiem w sensie ścisłym, zaprasza do własnego pokoju, ale nie po to, aby się w nim rozsiąść, lecz po to, by go w ogóle zauważyć. Odbiorca, przyzwyczajony do męskich spowiedzi, może poczuć pewien dyskomfort: błądząc w swojej ignorancji, nie zauważał takich pomieszczeń lub nie uznawał ich obecności za konieczną. Natomiast recepcja tego

eprasa.pl f2841e161d

rodzaju autofikcji pokazuje, że odbiorczynie coraz śmielej pokazują własne (i nie-własne) pokoje i, opisując cudze życiorysy, decydują się właśnie na mikrohistorie, a nie usilne przypisywanie bohaterkom przełomowej roli dziejowej.

Znakomitym przykładem tego odświeżającego podejścia biograficznego jest *Rodzi się ptak* Karoliny Felberg. Pierwszy tom historii życia Agnieszki Osieckiej kończy się w roku 1957, kiedy pisarka ma 21 lat. Autorka portretuje dojrzewanie i rozterki dziewczynki, nastolatki, młodej dorosłej, szalenie inteligentnej, bardzo mądrej i oczytanej, ale nierozpoznanej jeszcze przez środowisko literackie i szeroką publiczność twórczyni. Jest to jednak opowieść ze wszechmiar ciekawa, bowiem proces narodzin tytułowego ptaka, zobrazowany bogatym materiałem diarystycznym, jest mikrohistorią kobiety raz po raz natrafiającej na szklany sufit. Osiecka nieustannie dziwi się niesprawiedliwemu porządkowi świata, a inteligentny czytelnik razem z nią. Skoro jest przynajmniej równie utalentowana, co jej koledzy, dlaczego nie dostaje podobnych szans? Gdyby Felberg stworzyła klasyczną hagiografię, to bohaterka zapewne dzielnie dawałaby odpór przeciwnościom, na sztandarach roszcząc pretensje do literackiego parnasu. Miast tego czytelnik otrzymuje rzetelną analizę drogi dojrzewania umysłu Osieckiej, co jest dalece bardziej wiarygodne niż klasyczna opowieść walki o własny pokój. Felberg tworzy mikrohistorię i dzięki temu powszechnie znany życiorys pisarki jawi się z kompletnie nieznanej perspektywy. *Rodzi się ptak* to doskonały przykład nowoczesnej biografii, biografii nieszczególnej, nawet jeśli bohaterka jest osobą popularną i, by tak rzec, zmitologizowaną.

Z nieco innym, choć równie pionierskim nastawieniem do swojego bohatera podeszła Marta Byczkowska-Nowak. W nominowanym do Juliusza *Nieocalonym* bierze na tapet dobrze – jak by się zdawać mogło – rozpoznanego bohatera i, przykładając do życiorysu nowoczesne narzędzia, prezentuje Tadeusza Borowskiego ze strony zupełnie odartej z mitu – co nie znaczy, że ogołoconej z chwały. Byczkowska-Nowak rezygnuje z wielkich kwantyfikatorów traumy, cierpienia okupacji i piekła obozu koncentracyjnego, przyglądając się konkretnym epizodom z życia autora *Proszę państwa do gazu*. Biografka prowadzi bardzo szczegółową analizę pochodzenia, dzieciństwa i środowisk, między którymi Borowski krążył, i rysuje obraz człowieka, którego wojna wcale nie musiała złamać – ponieważ pęknięcia pojawiały się dużo wcześniej. Rezygnując z hagiografii, Byczkowska-Nowak zagląda w zakamarki, patrzy przez prześwity, kieruje uwagę na elementy dotychczas pomijane, ponieważ „dawna" szkoła biografistyki nie dbała o codzienność, lecz wyszukiwała wielkie przełomowe momenty.

Każdy jest mikrohistorią

Nowe podejście do pisarstwa biograficznego odsłania obiecujące perspektywy. Zaśniedziała nieco praktyka spisywania życiorysów bohaterów wybitnych wciąż ma

eprasa.pl f2841e161d

się świetnie i potrzebna będzie zawsze. Nie wszyscy bowiem odbiorcy są gotowi i życzą sobie zaglądania za kotarę. Wielkie figury kultury i popkultury pełnią bardzo konkretną funkcję w konstrukcji wyobraźni społecznej, a nowe media pokazują, że zapotrzebowanie na wzorce bynajmniej nie maleje.

Tymczasem nowy nurt biografistyki przynosi niezwykle potrzebny oddech świeżości, dzięki któremu humanistyka wciąż pozostaje w walce o uwagę czytelników. Obserwując kierunek rozwoju postaw badawczych, ze spokojem można patrzeć w przyszłość. Gatunek jest na tyle pojemny, że potencjalnych bohaterek i bohaterów zapewne długo nie zabraknie – będzie ich jeszcze wiele, przynajmniej dopóki czytelnicy pozostaną zainteresowani mikrohistoriami.

eprasa.pl f2841e161d

Jan Skoumal

Fototropizm

– Słyszeliście? Myśliwski nie żyje.

Brednią byłoby opowiadać potem, że świat się zatrzymał. Lądujące na spodeczkach filiżanki wystukiwały to samo niezmienne *adagio* partyturze kawiarnianego gwaru, wibrującego między entuzjastycznym *forte* i przytłumionym *piano*. Stadko gołębi, które poderwało się do lotu opodal, nie miało w sobie nic ze złej wróżby ani doniosłości chwili – ot, ptaki zwabione czymś tylko dla nich słyszalnym kontynuowały codzienny obchód miasta. Gdzieś zatrąbiło auto i przemknął rower, grupka zagranicznych turystów poprosiła o rachunek, nawet hejnalista nie miał w planie grać przez najbliższe kilka minut. Doglądająca pachnącej kawą i piwem orkiestry kelnerka spacerowała z tacą między stolikami.

– Dla mnie jeszcze jedno! – zawołał za nią starszy mężczyzna, robiąc pustym kuflem kółka w powietrzu; odstawił szkło i przetarł gęste wąsy. – Nie żyje, powiadasz? No, w jego wieku…

Teraz już wszyscy zebrani wokół stolika patrzyli na stojącego nad nimi chłopaka. Ten przestąpił z nogi na nogę i odłożył torbę na wolne krzesło.

– Zmarł wczoraj – powiedział i schował ręce do kieszeni. – Kilka dni po swoich urodzinach. W tygodniku podali…

– Pewnie postawią mu grób na Powązkach – mruknął wąsaty, oglądając się za kelnerką. – Halo, prosiłem o jedno piwo!

– Wybudować grób – westchnął znad kawy literat, opierający głowę na dłoni. – To się tylko tak mówi.

– Co tam gadasz? – powiedział wąsacz. – No, każdego z nas to spotka, kostucha nie wybiera. Jeden taki, pamiętam, pisał kiedyś, że śmierć jest jak kobieta… No, czy że jak dziewczyna, w każdym razie…

Mówił, przerywając czasem, aby zerknąć w kierunku szeroko otwartych drzwi kawiarni. Zagraniczni turyści zapłacili już, podziękowali po angielsku i opuścili zastawiony porcelaną stolik. Między jego drewnianymi nogami zaplątał się gołąb, pamiętny ciasteczek idących w pakiecie z kawą. Tymczasem mężczyzna zakończył swój wywód, zanurzając wąsy w pianie piwa, które postawiła przed nim kelnerka.

– To trochę jak z chmielem – powiedział chłopak, przed którym z kolei wyrosła filiżanka herbaty. – Z pędami chmielu na tyczce, takimi jak my wszyscy, poddanymi fototropizmowi…

eprasa.pl f2841e161d

Literat podniósł wzrok z błyskiem zaciekawienia w oku.

– Chyba raczej jak z fasolą – wtrącił siedzący obok filozof – i z traktatem o jej łuskaniu, na końcu którego prędzej niż później musi stanąć kropka. Pamiętam, jak przemycałem to jego arcydzieło na Zachód, przed żelazną kurtynę.

– Na Zachód? Przed?

– A no tak – kontynuował z powagą w głosie. – Bo oni tam nic nie wiedzieli, co się u nas dzieje, co się wydaje i czyta…

– Co ty gadasz? – wciął się wąsacz. – Jak *Traktat* wyszedł długo po końcu komuny.

– No to *Kamień na kamieniu*, nieważne. No i oni nie wiedzieli, co się u nas czyta, o czym rozmawiamy…

– Gdzie tam, *Nagi sad* prędzej – nie dawał za wygraną wąsaty.

– Nie ma to żadnego, kurwa, znaczenia, daj mi w końcu opowiedzieć! – wypalił filozof i o mały włos nie strącił przy tym filiżanki. – Przemycałem jego książkę, którąkolwiek, ale na pewno jego, na Zachód. Do tego też parę innych i gazety: „Trybunę Ludu", „Robotnika", „Przekrój", „Zdanie" i co akurat było nowego. Woziłem to wszystko do Paryża, bo oni tam nic kompletnie nie wiedzieli, co się dzieje za żelazną kurtyną, tylko „Wolna Europa" i „Wolna Europa". Rozdawałem ładunek między ludzi, a jak miałem pusty plecak, to mi go Giedroyć zapychał „Kulturą" i tym, co tam właśnie wydali. I jazda z powrotem.

– Ty przemycałeś „Kulturę"! – zaśmiał się wąsacz. – Może jeszcze jako taternik?

– Nie, normalnie. A dla równego rachunku i z poczucia patriotycznego obowiązku kolportowałem na Zachód kulturę rodzimego socjalizmu, a co…

Filozof podniósł filiżankę i upił kawy, przysłaniając figlarny uśmieszek – w przeciwieństwie do chłopaka, który nie krył rozbawienia. Wąsaty popatrzył po zebranych, przeskoczył wzrokiem nad zamyślonym literatem i upił piwa.

– No i wziął, i umarł – mruknął, otarłszy się z piany. – Przeszedł przez swoje ucho igielne…

Szmer setki skrzydeł, a wraz z nim wracające z patrolu gołębie, wmieszał się w niemilknący gwar kawiarni. Ktoś zajął stolik po angielskich turystach, kolejne dwa się zwolniły, a nad wszystkim czuwała manewrująca wśród krzeseł kelnerka. Do szumu rozmów i stukotu filiżanek swoje trzy grosze dorzucił hejnalista, nieśmiało przejmujący na chwilę rolę pierwszej trąbki w orkiestrze miejskiego harmidru.

– Mówiłeś coś wcześniej, prawda? O chmielu i fototropizmie…

Wszyscy siedzący wokół stolika spojrzeli na literata, który nie wspierał już głowy na ręce i patrzył na chłopaka.

– Tak, o uprawie chmielu – odparł ten ostatni. – Hodowca ustawia na polu tyki, często kilka razy wyższe od niego samego, pod którymi sadzi chmiel. Gałązki wspinają się po drewnie, a gospodarz pilnuje, żeby okręcały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, ku górze. Chmiel idzie za światłem, rozumiecie, pragnie go jak każdy i nim żyje. Jego nadrzędnym prawem jest fototropizm.

eprasa.pl f2841e161d

– Fototropizm… – powtórzył w zamyśleniu literat.

– No, taka światłoczułość – stwierdził wąsacz.

– Jasno-dążenie – dorzucił filozof, znów chowając uśmieszek za filiżanką. – Blasko-chcica.

– To coś innego niż światłoczułość – mówił dalej chłopak. – Światłoczułość jest zarezerwowana dla tych, którzy mogą sobie na nią pozwolić. Dla tych, których Bóg albo los odpowiednio wyposażył, a świat – oszczędził. Ich dusze patrzą przed siebie setką szkiełek i soczewek, błyszczących, wygładzonych, skupionych na cudownym świetle. Czułość! Na nią trzeba móc sobie pozwolić, trzeba nie mieć jej wytrzebionej ze swych głębi! A co, gdy w poprzek naszych dusz przechodzą coraz to nowe rysy i pęknięcia? Co, gdy nasze soczewki tracą ostrość, bo nie ma na tym świecie zdolnego je naprawić okulisty? Co, gdy jedyną drogą jest patrzeć przed siebie tym zszarganym kalejdoskopem naszego ducha, przez który, za przeproszeniem, gówno widać?

Podniósł swoją herbatę, dopił zimne fusy i odstawił filiżankę ze stukotem.

– Fototropizm – kontynuował, jedną ręką wspierając się o stolik, a drugą gestykulując. – Choćby z zamkniętymi oczyma, choćby ślepi, wiemy, skąd pada na nas światłość, wystawiamy do niej twarz. Tropimy ją bijącą zza zasłon, kiedy cały dzień nie wychodzimy z łóżka, i kładącą się refleksem na chropowatej od farby ścianie, gdy leżymy na kozetce u lekarza. Jesteśmy jak chmiel, płyniemy z pchającym nas czasem, z ruchem wskazówek zegara okręcamy się wokół tyki pod ręką gospodarza. To od niej i od praw fototropizmu zależy, czy wydamy z siebie pachnące chmielowe szyszki, jak długo będziemy się wspinać i czy nas nie zetną…

Brednią byłoby opowiadać potem, że zapadła dramatyczna cisza. Kawiarniany gwar przechodził powoli z *adagio* ku popołudniowemu *andante*. Do kelnerki, która zebrała puste filiżanki i postawiła piwo przed filozofem, dołączył kolega w barmańskim fartuszku. Wąsacz siorbnął głośno piany i stuknął się kuflem z towarzyszem. Pozory podniosłego nastroju do reszty zburzył przejeżdżający na sygnale radiowóz. Ryk jego syreny poderwał do lotu spłoszone gołębie.

Literat i chłopak patrzyli na siebie.

– A hodowca? – zapytał ten pierwszy. – Kto nim jest?

– Wszyscy piszemy swoje traktaty o uprawie chmielu – odrzekł drugi, po czym podniósł wzrok na górującą w oddali wieżę zegarową. – Cały wic polega na tym, żeby nie pozwolić życiu pisać się samemu…

Zegar odcinał powoli kolejne sekundy światła.

eprasa.pl f2841e161d

WYWIAD

Legalista niepogodzony

z Lidią Sadkowską-Mokkas, autorką biografii *Menuet z Grochowiakiem*, rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Wielkopolski rodowód rzutował na życiorys Stanisława Grochowiaka?

Tak i to znacznie! Po przemierzeniu jego ścieżki życiowej uświadomiłam sobie, jak bardzo był leszczyński. Leszno i Wielkopolska wyposażyły go w wiele osobowościowych cech trwałych, wyróżniających go *in plus* w Warszawie, na dawnych ziemiach Kongresówki. Ma poczucie misji. Jest pragmatyczny i pomimo cyganeryjnego trybu życia świetnie zorganizowany. W działaniu ceni rzetelność, stawia na jakość. Z jednej strony – liryczny wirtuoz, z drugiej – rzemieślnik słowa, wierzący w tytaniczną pracę. Nie znosi rozmemłania, mrzonek, stroszenia pawich piórek, póz. Jest racjonalny, trochę w sensie pozytywistycznym. Szczyci się Wielkopolską i kresami zachodnimi. Koledzy z kręgu „Współczesności" zapamiętują, kiedy przekonuje, że ten region, ze swoją historią i patriotyzmem, może stanowić kolebkę, a nawet wzór dla kraju. Nie przepada za Krakowem. Podważa tezę, że kultura polska najbujniej rozkwitała na kresach wschodnich. Wrażliwy na słowo, z przekąsem dodaje, że jedyne co Warszawianie wymyślili w sferze języka to zdrobnienia w wydaniu kelnerskim jak: „wódeczka, śledziki, masełko, pieczywko". Z drażniącymi poetyckie ucho deminutywami musi się jako bywalec stołecznych lokali oswoić. Nie zabroni przecież kelnerom mówić.

Jak zapamiętał II wojnę światową?

Postrzega ten okres w kategorii traumy. Nie wraca do wspomnień w towarzyskich rozmowach. Jego znajomi, mający podobne doświadczenie, są zaskoczeni, kiedy mówiłam im, że okupację spędził w Warszawie. Nigdy im o tym okresie nie opowiadał. Nie szukał wspólnoty doświadczeń. Jako pięciolatek, jeszcze w Lesznie, niezmiernie mocno przeżywa aresztowanie, figurującego na niemieckiej liście proskrypcyjnej ojca – byłego powstańca wielkopolskiego. To zdarzenie implikuje ciąg zdarzeń. Exodus na terenie Generalnego Gubernatorstwa wraz z matką i rodzeństwem. Wyrwanie z leszczyńskiej arkadii, oddzielenie od ukochanego dziadka Antoniego (którego nigdy już *notabene* nie będzie mu dane zobaczyć), wzrastanie „wśród trupów bez głów i bez piersi". To musi pozostawiać ślady w psychice. Reperkusjami wojny, bomb, wystrzałów, zbiegania do mrocznych piwnic, staną się w okresie późniejszym lęki, neurozy, fobie. Może w tych przeżyciach tkwi sposób

eprasa.pl f2841e161d

obrazowania i źródło turpizmu? Niewykluczone. W dorosłym życiu boi się burzy, wybuchów, detonacji, ciemności. Śpi przy zapalonej lampce. Reminiscencje wojenne przenikają do twórczości. Pojawiają się w wierszach, utworach scenicznych (m.in.: *Particie na instrument drewniany*, *Szachach*, *Wergilim*), a także w prozie: *Trismusie*, *Totentanz in Polen* czy w niedokończonym scenariuszu telewizyjnym *Spacer po Atlantydzie*. Co zastanawiające, ale w pewnym sensie zrozumiałe, nigdy nie zmierzy się w utworach (pomijając publicystykę) z tematem powstania. Każda próba podejmowania wątku heroicznego zrywu musi zakończyć się podobnie jak ono – klęską. W dziale rękopisów Muzeum Literatury jest kilka rozpoczętych tekstów, które pozostały w wersji inicjalnej i nie doczekały się kontynuacji. Pod względem generacyjnym Grochowiak nie przynależy, jak dekadę starsze rodzeństwo, do pokolenia Kolumbów. Ogląda świat, jak przystało na chłopca, we fragmentach, nie wszystko rozumiejąc, „wspinając się na palcach ponad parapet lufcika wojennej rzezi". Ale widział, doświadczył, przeżył wiele. Może dlatego po latach będzie miał dystans do tromtadractwa i etycznych schematów. Wojna i pobyt w okupowanej przez Niemców Warszawie zweryfikują jego patrzenie na świat.

Przyjaźń życia nawiązał w ławie szkolnej?

Największą, najdłużej trwającą – tak. Jacek Łukasiewicz przybywa do Leszna po wojnie z rodzicami. Spotykają się z Grochowiakiem pod koniec klasy piątej w szkole podstawowej, a od szóstej aż do matury stanowią nierozłączny duet. Są ambitni, świetnie się uczą. Mają humanistyczne zainteresowania, ale diametralnie odmienne charaktery. Różnią się temperamentem, zachowaniem, sposobem prowadzenia rozmowy. Jacek – kontemplacyjny i ugodowy, Staszek – impulsywny, wybuchowy, buńczuczny. Różnice osobowości nie generują konfliktów, lecz jeszcze bardziej cementują przyjaźń. Następnie dwuletni okres pracy w redakcji „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", wspólne idee i cele. W okresie warszawskim, mimo że Jacek współpracuje ze „Współczesnością", więzi się rozluźniają. Ale nie zrywają kontaktu. Są sobie bliscy, niemal jak bracia. Nie zapominajmy o tym, że Jacek Łukasiewicz to najlepszy interpretator twórczości Grochowiaka. Uczynił najwięcej, aby ją wydawać i aby nie zalegała w czeluściach Muzeum Literatury. Jako krytyk, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego najczęściej pochylał się nad twórczością zmarłego przedwcześnie przyjaciela.

Który, jako nastolatek, zasmakował aresztu?

Owszem. I to kolejne, poza wojną, traumatyczne przeżycie. Ma niecałe osiemnaście lat, jest wychuchanym w domowych pieleszach prawie „jedynakiem" (starsze rodzeństwo zdążyło wyprowadzić się z willi przy Święciechowskiej). W świetnym stylu zdaje maturę, przez krótki czas jest, jak wynika z relacji kolegów, studentem na kierunku filologia polska Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ponieważ nie dopełnił powinności immatrykulacyjnych, zostaje skreślony z listy

eprasa.pl f2841e161d

i musi powrócić do Leszna. Nagle zyskuje, chociaż nie chce, sporo wolnego czasu. Łazikuje po mieście. Pije wino z kolegami. Zabija nudę, oddalając dręczące pytanie: „Co dalej?". W styczniu 1952 roku, pod wpływem alkoholu emocjonalnie reaguje na uwagę lokalnego stróża prawa. Dochodzi do szamotaniny, strąca służbową czapkę milicjanta i, co w stalinowskiej Polsce nie do wybaczenia, wykrzykuje obraźliwe słowa pod adresem Bolesława Bieruta. Brzemienne w skutki zdarzenie, zagrożone karą pięcioletniej odsiadki, obrasta legendą. Posiada wiele wersji. Te, które sam wymyśla, mają wydźwięk romantyczny i oprawę miłosną w tle. Bezpośrednią przyczyną zdarzenia miał być zawód miłosny. Z więziennych opresji ratuje go „łaska" władzy, a konkretnie mająca się zacząć Polska Rzeczpospolita Ludowa – amnestia ogłoszona z okazji uchwalenia konstytucji 22 lipca 1952 roku. Jak widać wchodzi w dorosłość z przytupem. Trudno o drastyczniejszą przygodę młodości.

Strzały Amora ugodziły go dwukrotnie?

Raczej wielokrotnie. Można powiedzieć – bez ustanku. Pierwsze poważniejsze uczucie pojawia się w liceum, a te mniej poważne wcześniej, jeśli mu wierzyć, w wojennej Warszawie. Jest kochliwy, fascynuje go kobiecość. Błyskawicznie potrafi się zauroczyć. Podąża za podnietami. Lubi seks. A jak bardzo – obrazuje kipiący wręcz zwierzęcym pożądaniem liryk *Zaklinanie*. Uczuciowych związków w dojrzałym życiu jest sporo, ale najważniejsze są dwa: z żoną Anną Magdaleną (Madzią), którą poznał w Lesznie, oraz z Marią Sołtyk, studentką architektury Politechniki Warszawskiej, a niebawem, za jego namową i sugestią, również warszawskiej ASP. Pokłosie zauroczeń stanowią erotyki. Jan Błoński zauważa, że Grochowiak to „najbardziej erotyczny poeta w całej miłosnej polskiej liryce". Myślę, że nie przesadził. Mało u kogo trafia się tak żarliwa namiętność, oparta na przekonaniu, że w miłości tkwi klucz życia, że niczego lepszego w prywatnym losie człowieka nie ma i nie będzie. Przyjaciel, Piotr Kuncewicz, przekonuje, że Grochowiak „dał usta uczuciom rówieśników". Jego stylem mówią zakochane pary, jego metaforą oswajają świat. O miłości, duchowej i cielesnej, pisze odważnie, bez pruderii. Nie uznaje przemilczeń, „erotyzmu dalekich sublimacji". Może dlatego tak euforycznie przyjmuje *Hymn bałwochwalczy* Haliny Poświatowskiej i publikuje na łamach „Współczesności" pochlebną recenzję pod wymownym tytułem *Ciało*. Ponieważ znajduje się w twórczym apogeum, opinia staje się dla poetki poświadczeniem talentu, glejtem płynącym ze strony uznanego autorytetu.

W rolach męża i ojca się sprawdził?

Sprawdza się pasjami, co wynika z trybu życia, ale i przeciążenia, nadmiaru zawodowych obowiązków. Ma „w krwioobiegu" wmontowany imperatyw, że musi utrzymać rozrastającą się rodzinę. Nigdy o powinnościach ojca i męża nie zapomina. Nawet kiedy w latach siedemdziesiątych częściej niż w mansardzie przy Morszyńskiej można go zastać w kawalerce Marii Sołtyk przy Saskiej, regularnie

eprasa.pl f2841e161d

wysyła pieniężne przekazy. Z rodziną jeździ na wakacje, podczas których organizuje pociechom kreatywne zabawy. Ale nie jest ojcem ciągle obecnym, wspierającym, biorącym na kolana. Może emocjonalny pancerz wynika z dzieciństwa – doświadczeń wyniesionych z relacji z ojcem, Bronisławem? Człowiekiem oschłym, pełnym zasad, o mentalności patriarchalnej, skupionym na obowiązkach, prowadzącym biuro pisania podań do władz administracyjnych. Kobiety życia, Madzię i Marysię, naprzemiennie zabiera ze sobą do domów pracy twórczej w Oborach i Radziejowicach. Obie na swój sposób kocha, chociaż jest mężem i partnerem niełatwym, co musi generować konflikty, a niekiedy przysparzać trosk i zmartwień. W obu kobietach znajduje oparcie. W sprawach zawodowych u Marii, która zawsze stoi po jego stronie i ocenia bieg zdarzeń subiektywnie, a w postępującej chorobie u boku oddanej mu bezgranicznie Madzi. Życie dwóch kobiet, nie licząc fascynacji przelotnych, kilkanaście lat orbituje wokół niego. On jest środkiem wszechświata. Przyjaciół i stronników ma Madzia, zwolenników ma Sołtyk. Nie jest to pokojowa koegzystencja, bo w uczuciowym trójkącie niekiedy wrze jak w tyglu. Od początku związku z Sołtyk uczciwie komunikuje, że nie rozwiedzie się z Madzią. I Maria taki układ, chcąc nie chcąc, akceptuje. Madzia ma temperament, reaguje gwałtownie. Nie zamierza być potulną żoną, tą „drugą", spychaną na margines. Stawia warunki, którym hardy mąż nie ma zamiaru sprostać. Konflikt zawsze wisi w powietrzu. Jedna z rozmówczyń, obserwując relację Grochowiaków, potwierdza: „Mogły tam być skrajne emocje, bo oni kochali się prawdziwie. W ich związku była miłość i gniew, ale nigdy nie było obojętności". Wielu dopatruje się w równoległych relacjach uczuciowych Grochowiaka determinacji obu kobiet: Madzi i Marysi. Pierwsza zostaje postawiona przed faktem. Nad życie kocha dzieci. Nie chce wykreślać z ich codzienności ojca. Wie, że bez jego finansowego wsparcia sobie nie poradzi. Druga nie potrafi odejść, zrezygnować z miłości. Uzależnia się od partnera emocjonalnie i fizycznie.

Studia polonistyczne w Poznaniu to legenda?

Raczej nie. Pozostały wspomnienia, relacje kolegów. Wędrówki w przerwach od zajęć w okolice Zamku Cesarskiego, recytacje wierszy zapisywanych w kajeciku. Chociaż, w przeciwieństwie do Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego (wówczas imienia Bolesława Bieruta), nie ma potwierdzenia w archiwach, że zdał egzaminy i był studentem. Prawdopodobnie, zawiadomiony o chorobie ojca, wyjechał pospiesznie z Poznania do Leszna, nie dopełniwszy powinności immatrykulacyjnych.

Przygodę z dziennikarstwem rozpoczął we Wrocławiu?

Tę poważną tak, ale tę młodzieńczą „przećwiczył" jako nastolatek w leszczyńskim liceum, redagując wraz z Jackiem Łukasiewiczem oraz Teodorem Krupkowskim szkolne gazetki: „Latarnia" i „Kręgi". Tutaj ciekawostka – w pierwszym tytule

eprasa.pl f2841e161d

Grochowiak nie pisał tekstów, a pełnił funkcję redaktora technicznego, ilustratora. To czas, kiedy usilnie marzy o studiach w wyższej szkole sztuk pięknych. Prawdziwe szlify dziennikarskie otrzyma w redakcji „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", wychodzącego pod patronatem PAX-u, kiedy redaktorem naczelnym jest Tadeusz Mazowiecki. Dziewiętnastoletni Grochowiak odpowiada za dział literacki. Uczy się makietowania, korekty, adiustacji, doboru grafik i ilustracji. Obdarzony zmysłem organizacyjnym, skupia ludzi. Poszerza kontakty, umacnia przyjaźnie. Prowadzi rozmowy z autorami tekstów, zazwyczaj sporo starszymi od siebie. Wnika w materię słowa i, co najważniejsze, nie zaniedbuje swojego pisarstwa. Na łamach pisma, którego siedziba mieści się na terenie parafii Kościoła św. Doroty, drukuje wiersze, opowiadania, recenzje, humoreski, poradnik dla młodych poetów „Listy redaktora rozsądnego". Dwuletni pobyt we Wrocławiu stanowi ważny etap w życiowej wędrówce Grochowiaka. W stolicy Dolnego Śląska pisze wiersze, które znajdą się w pierwszym jego tomiku *Ballada rycerska*. Tutaj mocuje się z tytułem zbioru. A tymczasem powoli dobiega kresu socrealizm w polskiej literaturze. Twórcy wydobywają się z socrealistycznego bełkotu. Pojawia się nowe pokolenie – „poeci wyzwolonej wyobraźni". Autorów łączy skłonność do przyjmowania ról, zakładania masek – dobrze osadzonych w tradycji, ale i we własnej biografii.

Pismo, które redagował, stało się trybuną generacji pisarskiej.

„Współczesność" – w inicjalnej fazie nieregularnik, potem dwutygodnik – to autorski pomysł Leszka Szymańskiego, który na fali popaździernikowych przemian pragnął stworzyć trybunę młodych. Po raz pierwszy Grochowiak pojawia się w redakcji jesienią 1958 roku, w momencie przejęcia pisma przez Ruch, kiedy redaktorem naczelnym nadal jest Szymański, który szykuje się do wyjazdu stypendialnego za granicę. Zaczynającą świecić blaskiem gwiazdę poezji, podobnie jak innych, ściąga wszędobylski Zdzisław Jerzy Bolek. Wkrótce zostaje Grochowiak p.o. redaktora naczelnego, a potem przez niecały rok pełni funkcję naczelnego. To najlepszy okres w historii pisma. „Współczesność" staje się bogata merytorycznie i edytorsko, w pełni demokratyczna, bo obowiązuje tylko jedno kryterium – wartość artystyczna utworów. Dla Grochowiaka naczelnego najważniejsze są: radość tworzenia oraz poczucie misji. Potem niespodziewana degradacja, pozbawienie stanowiska, a wkrótce odejście z dwutygodnika. „Współczesność" ulega fluktuacjom. Traci dziennikarski pazur i ferment odkrywczy. Upodabnia się do innych pism. Autorem określenia „pokolenie »Współczesności«", dobrze zadomowionej w historii literatury „etykietki", jest Jan Błoński.

Mainstream literacki, używając współczesnej terminologii, zarzucał Grochowiakowi współpracę z PAX-em.

Przeszłość paksowska, praca w redakcji „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego", a także w innych katolickich tytułach, m.in. w tygodniku społeczno-kulturalnym

eprasa.pl f2841e161d

„Za i Przeciw", w jakiś sposób go ostemplowuje czy stygmatyzuje, jak wszystkich spod skrzydeł Bolesława Piaseckiego. Sprytnie wykorzystują to w różnych momentach jego przeciwnicy, aby pozbawić go prestiżowych funkcji i żeby nie oślepiał blaskiem swojego talentu mniej zdolnych. Trzeba podkreślić, że on sam ma krytyczny stosunek do środowiska PAX-u i Kościoła, rozumianego jako instytucji, bo będąc kierownikiem literackim „Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego" we Wrocławiu wiele zobaczył. Pamiętajmy, że Grochowiak, pomimo młodego wieku, błyskawicznie pnie się na szczyty. To zasługa talentu, ale i szczęścia, któremu, powiedzmy otwarcie, sprzyjają zawierane znajomości.

Wydaje kolejne tomiki wierszy i prozatorskie zbiory w ogólnopolskich oficynach. Zdobywa rzesze zapatrzonych w niego poetyckich akolitów. Obdarzony charyzmą, umiejętnościami menedżerskimi, staje się guru, przywódcą stada. Jest naśladowany, „słychać" go w wierszach młodych. Rezonuje z ich emocjami i sposobem odbioru świata. Z tych powodów staje się dla władzy podejrzany, bo nigdy nie wiadomo, jakich problemów może systemowi przysporzyć. Poza tym nie należy do partii i, co więcej, należeć nie chce. Zakulisowe działania literackiego mainstreamu, podsycane przez czynniki partyjne, między innymi Biuro Prasy KC PZPR, które decydowało o obsadzie stanowisk w poszczególnych tytułach, odchorowuje. Intensyfikuje picie. Zwłaszcza w okresie zawirowań i napięć, kiedy niemal z dnia na dzień zostaje pozbawiony funkcji naczelnego w dwutygodniku „Współczesność".

Krzysztof Mętrak napisał, że więzi „pokolenia »Współczesności«", utrwalały trunki. Słusznie?

Picie oraz celebrowane „popojki" (określenie warszawskiego druha spod znaku Orientacji Hybrydy Zbigniewa Jerzyny) to środowiskowa specyfika, można powiedzieć, tradycja. Już Gombrowicz mawiał, że łatwiej wyobrazić sobie polskiego pisarza, który nie napisał żadnej książki, od pisarza niepijącego. Knajpy, knajpki, lokale, a w nich ludzie przeróżnej konduity, ekscesy, artystowskie popisy. Prowokacyjne drażnienie mieszczucha. Barwy młodości. Desperackie szukanie w dusznej rzeczywistość namiastki wolności, wentylu. Schizofreniczna, zakłamana sytuacja PRL-u sprzyja piciu. Co więcej, czyni je rytuałem, niebezpiecznie utrwala. W środowisku „ostatniej cyganerii dwudziestego wieku" sporadycznie można spotkać abstynenta (*vide*: Ernest Bryll). Warszawa, wskrzeszana z ruin, poturbowana i biedna, potrafi się bawić. W oceanie trunków oraz sączącego się jazzu odreagowuje wojnę, a przy okazji brak perspektyw, zgrzebność i szarzyznę. Literaci integrują się przy kielichu, ale ani na moment nie zapominają, że spacerują po linie w złudnej enklawie quasiwolności.

A może nałóg alkoholowy pisarza miał podłoże genetyczne?

Przyczyny były chyba złożone. Z jednej strony wynikały z chęci zabawy, towarzyskości, stadnego stylu życia, spędzania czasu poza domem, integracji redakcyjnych

eprasa.pl f2841e161d

zespołów. Z drugiej (w sensie psychologiczno-egzystencjalnym) z traum, przełamywania nieśmiałości, chęci wyzwolenia wyobraźni z wędzideł i hamulców, stymulowania procesu pisania. Chociaż, co potwierdzają najbliżsi (rodzina i przyjaciele), Grochowiak nie pisał nigdy w stanie upojenia alkoholowego. Jest utkany z lęków, przewrażliwiony, obciążony wojną. Obdarzony syndromem WWO (wysoko wrażliwej osoby), stanowi modelowy przykład osobowości neurotycznej. Na pewno w rytuale picia szuka nie tylko przyjemności, poczucia akceptacji, biesiadności, ale także ratunku, wentylu. Poza tym wyzwolenia z zakazów i konwenansów. Alkohol pojawiał się w domu rodzinnym w Lesznie. Podobnie jak w tysiącu innych polskich domów był wyrazem atencji i gościnności. Pojawiał się w postaci zabawowej – wina popijanego na plantach w środowisku licealnych kolegów. W okresie wrocławskim przybierał formę „niewinnych" likierów miętowych, sączonych w kawiarni Artystyczna przy Placu Wolności. Alkohol miał przełamywać sztywność, budować przyjazną atmosferę, wyzwalać kreatywność redakcyjnego zespołu, sprzyjać umacnianiu więzi.

Zmagał się z nim długo, lecz bezskutecznie…

Nie wiem, czy słowo „zmagał" jest w przypadku Grochowiaka adekwatne. Raczej, jak wynika z dramatycznego przebiegu życia, słabo się zmagał. Poza tym długo nie myśli o sobie jako o alkoholiku, bo przecież w ówczesnej warszawskiej bohemie piją prawie wszyscy. Tylko tym innym, jak zauważa, mniej to picie szkodzi. Szczupły, wycieńczony, nadludzko przepracowany, „zziajany jak mrówka" autor *Kanonu* atawistycznie nie znosi szpitali i „procedury" chorowania. Nigdy nie zdecydowałby się na leczenie w zamkniętym ośrodku, co w tamtym czasie stanowiło normę i do czego usilnie nakłaniali go przyjaciele. Nie dałby zaszyć sobie Esperalu. W latach siedemdziesiątych zdegradowany i zepchnięty z literackiego Parnasu przez pokolenie Nowej Fali, coraz częściej atakowany na łamach prasy, odczuwa silne stany depresyjne. Boi się, że niczego dobrego nie napisze, że się „skończy", niczego nie wyda. A zaprzestanie pisania, paradoksalnie i irracjonalnie, uważa za groźniejsze od widma czającej się śmierci. Dramatyzm zmagań, dychotomię, podział na Alfa i Bisa, obrazują wiersze, ale przede wszystkim sztuka *Lęki poranne*, stanowiąca świetne studium alkoholizmu.

W Warszawie mieszkał pod dwoma adresami?

Przybył do miasta w połowie lat pięćdziesiątych, po pobycie we Wrocławiu, korzystając z gościny kolegi z paksowskiego kręgu i „WTK", Zygmunta Lichniaka. Potem przez trzy lata zamieszkuje wraz z rodziną w domku w podwarszawskim Brwinowie. Następnie, jak wynika z ksiąg meldunkowych, wprowadza się do klimatycznej mansardy przy ulicy Morszyńskiej 3 na Sadybie, na peryferiach miasta – granicy Dolnego Mokotowa i Wilanowa. Zamieszkuje w przedwojennym bloku, wybudowanym dla podoficerów ze Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Poza wojskowymi budynek

eprasa.pl f2841e161d

upodobały sobie osoby z konotacjami artystycznymi. Czy na decyzję o zakotwiczeniu w tym miejscu wpływa fakt, że do niedawno miał tutaj pracownię malarz, profesor ASP, Stanisław Czajkowski? Myślę, że to musiało pobudzać jego wyobraźnię. Oddalona od centrum ówczesna Sadyba to „miasteczko w mieście". Zatopiona w zieleni wyspa, z odbudowanymi willami i blokami. Miasto Ogród, skonkretyzowanie modnej swego czasu idei Ebenezera Howarda. Okolica peryferyjna, prowincjonalna, prawie wiejska. Baśniowe miasteczko. Brukowane uliczki, gazowe latarnie, a za oknami w fosie kumkające żaby. W klimatycznym mieszkaniu Grochowiaków tworzy się artystowsko-cyganeryjny salon powojennej Warszawy. W latach siedemdziesiątych częściej można zastać Grochowiaka w kawalerce partnerki Marii Sołtyk na Saskiej Kępie, w praskich klimatach, na prawym brzegu Wisły. Ostatnim warszawskim adresem jest kawalerko-pracownia przy Czerniakowskiej 56, którą otrzymuje dzięki poparciu ówczesnego ministra kultury, Józefa Tejchmy, latem 1975 roku. Jest także adres pozawarszawski – drewniany domek, nasuwający skojarzenia z daczami Antoniego Czechowa, nad rzeką Liwiec, koło Wyszkowa – malownicze, urokliwe Puste Łąki w pobliżu sanktuarium w Loretto. Klimat miejsca sprzyja procesowi twórczemu. Powstaje tutaj wiele liryków i prac malarskich, wykonywanych w różnych technikach. Jest jeszcze jeden warszawski adres – blok na osiedlu Służew nad Dolinką przy Wałbrzyskiej 15. Mieszka tam, na zaproszenie Anny i Zbigniewa Jerzynów, razem z Madzią ponad miesiąc. Potem ponownie Czerniakowska. Na krótko, zanim w krytycznym stanie, po namowach żony i przyjaciółki Krystyny Brzechwy, trafi do Szpitala Czerniakowskiego przy Stępińskiej.

Czym zaowocowała zażyłość ze Stanisławem Rembekiem?

Z autorem poczytnych w międzywojniu powieści, znajdującym się wówczas na literackiej banicji, zaprzyjaźnia się, pracując w Instytucie Wydawniczym PAX przy Mokotowskiej 43. Rembek, jako zewnętrzny krytyk, pisze entuzjastyczną recenzję zbioru opowiadań Grochowiaka *Lamentnice*. Docenia weryzm zdarzeń. A potem wielokrotnie spotykają się towarzysko – w mieszkaniu Rembeków przy Marszałkowskiej 140, nieopodal Placu Dąbrowskiego, a w latach siedemdziesiątych w domku wynajmowanym przez Rembeków w Pustych Łąkach. Fascynacją sporo starszym przyjacielem zaraża Grochowiak kolegów z kręgu „Współczesności", gdzie Rembek ze względu na rangę oraz nonkonformizm cieszy się estymą. Właśnie dzięki autorowi *Nagana* odkrywa oazę szczęśliwości – Puste Łąki. Szkoda, że tak późno, kiedy sił na cieszenie się urokami miejsca zostało niewiele.

Uniknął zaangażowania w socrealizm, popełnił pean ku czci komunizującego prezydenta Chile (na szczęści obalonego!), niemniej od polityki autor *Ballady rycerskiej* się chyba dystansował…

Poetyka Grochowiaka lata świetlne oddalona jest od politycznej doraźności. Twórczość, zwłaszcza poezja, przebywa zgoła gdzie indziej – w kulturowych rewirach. Ale

eprasa.pl f2841e161d

Grochowiak nie jest pięknoduchem karmiącym się od rana do wieczora poetyckim słowem, więc udzielają mu się społeczne wrzenia. Reaguje na polityczne wstrząsy. W 1968 roku oburza go antysemityzm, wkroczenie wojsk Układu Warszawskiego (w tym polskich) na teren Czechosłowacji, co ma odzwierciedlenie w kilku wierszach z tomu *Nie było lata*. Potem nadchodzi rok 1970 i masakra na Wybrzeżu – reakcją Grochowiaka jest mocny w wymowie liryk *Z porannych gazet* (pierwotny tytuł *Z grudniowych gazet* został zmieniony po ingerencji cenzury). W „Kulturze" zdążył się ukazać w wersji oryginalnej. Zmieniony, zasili zbiorek *Polowanie na cietrzewie*. Wyrokami losu nie doczekał wolnościowych przemian, więc można jedynie dywagować, jakie zajmowałby stanowisko. Z przyczyn osobowościowych z pewnością nie nadawał się na roznosiciela bibuły czy działacza podziemia. Był przykładem, jak trafnie określał Janusz Krasiński, „legalisty niepogodzonego". Ale nigdy nie pomyślał o wstąpieniu do partii, co sporo by mu zawodowo ułatwiło. To prawda – przytrafił mu się panegiryczny poemat o Salvadorze Allende, lecz nie ulegał politycznej presji, co niejednokrotnie zdarzało się najlepszym. Nie zapisał się w historii literatury jako autor produkcyjniaka, tudzież strofek o Stalinie.

Poeta, prozaik, dramaturg, tekściarz, dziennikarz, scenarzysta – aktywność twórcza wynikała z konieczności utrzymania licznej progenitury, czy też może przeczucia kresu egzystencji?

Raczej z twórczego ADHD, adrenaliny, niepokoju. Zanurzony w barokowym przesycie, obdarzony wielością talentów, był z ducha człowiekiem renesansu. Maluje, gra na pianinie, komponuje muzykę, układa teksty piosenek, tworzy scenariusze sztuk – radiowych, teatralnych, telewizyjnych. Jako dziennikarz pisze recenzje, felietony, reportaże. Pełni funkcję kierownika zespołu filmowego Nike, a nawet przez rok, na odległość, kierownika literackiego Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Postrzegany jako mentor, uczestniczy w ogólnopolskich literackich festiwalach. Zasiada w poetyckich gremiach, a w sierpniu 1966 roku uda mu się „wystąpić" w jury sopockiego festiwalu. Inspiruje się malarstwem, ożywia motywy, wskrzesza duchy dawnych malarzy. W ich portrety wszczepia własne duchowe autoportrety. Przyjaźni się ze współczesnymi malarzami, między innymi: Krystyną Brzechwą, Jerzym Stajudą, Tadeuszem Dominikiem, Mieczysławem Piotrowskim. Utrzymuje korespondencyjny kontakt z chorym na gruźlicę, przebywającym w sanatorium, Józefem Gielniakiem. Inspiruje się jego twórczością, wykonuje podobne linoryty. Chętnie układa wstępy oraz posłowia do albumów zaprzyjaźnionych malarzy. Poddaje reinterpretacji romantycznych wieszczów, czyniąc ich bardziej ludzkimi i prawdziwymi. Zaledwie dwadzieścia lat twórczego życia, tak niewiele, a mamy do czynienia z mnóstwem napisanych tekstów, wielością równoległych pasji. A, jeśli uświadomimy sobie presję rodzinnych oraz zawodowych powinności, można być zaskoczonym erupcją talentu, nieograniczoną twórczą witalnością.

eprasa.pl f2841e161d

U schyłku krótkiego żywota zyskał rozpoznawalność dzięki telewizji…

Stał się medialny i rozpoznawalny. Chce docierać do ludzi. Pragnie kształtować ich myślenie o poezji. Często chodzi do radia i telewizji, co ma zarówno dobre, ale i złe strony. Poszerza krąg zwolenników, ale i wrogów. Telewizja, tuba peerelowskiej propagandy, utrwala sztuczny obraz Grochowiaka – namaszczonego, patetycznego, koturnowego, egocentrycznego, przemądrzałego eksperta od poezji. Specjalisty od wszystkiego. Z takim luzem, jak sugestywnie określa go jego przyjaciel i „nadworny" fotograf Erazm Ciołek, „nauczyciela na wakacjach". Chociaż zdarzają się chwile, zwłaszcza w schyłkowej fazie życia, kiedy przed kamerą potrafi być szczery, egzystencjalnie głęboki. Krzysztof Mętrak w *Dzienniku z pawlacza* zauważy, już po odejściu Grochowiaka, że schorowany chciał się przed odejściem wszystkim jeszcze raz, choćby w sztucznym cokolwiek świetle, uobecnić. Może.

Współpracę z „Poezją", „Miesięcznikiem Literackim" można określić mianem synekur?

Z „Poezją" – raczej nie. Na pewno nie traktował redakcji jako ciepłej posadki, bo bardzo się angażował. Może tej pracy nie widać w obfitości publicystycznych tekstów (drukuje na łamach wiersze), ale działania można zobaczyć za kulisami: w ściąganiu utalentowanych kolegów (m. in.: Brylla, Romana Śliwonika, Jerzego Harasymowicza), tworzeniu programów naprawczych, reaktywowaniu spotkań w klubie na Bagateli. Imponuje mu, że stał się obok Zbigniewa Bieńkowskiego jednym z dwóch zastępców Bohdana Drozdowskiego. Na końcu Grochowiak mocno przeżywa zwolnienie z redakcji. Decyzję o zakończeniu współpracy (na skutek rozbieżności w ocenie *Ziemi jałowej* Miłosza), odbiera jako złośliwość, manipulację. Czuje się upokorzony. Nie może się z tym faktem pogodzić. Frustracjom daje upust w diariuszowych zapisach *Permisi, non amisi* drukowanych w ostatnim tytule, z jakim się związał – „Miesięczniku Literackim". I to ten tytuł, kierowany przez Włodzimierza Sokorskiego, bardzo mu zresztą sprzyjającego, traktuje jako rodzaj synekury. Mocno cierpiący, z postępującą marskością wątroby, stara się uczestniczyć w kolegiach redakcyjnych. Spotyka na nich kolegów z dawnego składu dwutygodnika „Współczesność". Nie korzysta z taryf ulgowych. Nie zwierza się. Nie narzeka. Do końca pracuje, pisze, zaklina chorobę. Wytycza sobie dalekosiężne twórcze plany, co przeczy opiniom o świadomej autodestrukcji.

Co ze spuścizny pisarza przetrwało próbę czasu?

Na pewno poezja, którą uważał za jądro swojej komety twórczej, oraz dramat *Chłopcy*, oparty na losach poety i felietonisty satyrycznego pisma „Kolce" Stanisława Życzkowskiego (Es-Żeta), którego odwiedził w drugiej połowie lat pięćdziesiątych z Władysławem Lechem Terleckim w Bystrzycy Kłodzkiej. Sztukę pisze, jak można wnioskować po rękopisach w Muzeum Literatury, w emocjach – równy rok. Od maja 1963 do maja 1964 roku. Na marginesach luźnych kartek

eprasa.pl f2841e161d

formatu A4, w linię i w kratkę, maluje niebieskim długopisem postaci: Kalmity, Jo-Jo, Smarkula, Pożarskiego. W wywiadach podkreśla, że jest to utwór oparty na „wydarzeniu psychicznym, moralnym", jakim było umieszczenie zniedołężniałego męża przez dużo młodszą żonę w przytułku. Sztukę, która doczekała się wielu scenicznych realizacji, uważał za najważniejszą ze swoich „rzeczy na głosy". Określał mianem „dramatu heroicznego". W latach siedemdziesiątych myślał o kontynuacji wątku. Sam, na ironię losu, takim sędziwym „chłopcem", niegodzącym się na społeczną marginalizację, degrengoladę, nie został. Odszedł przedwcześnie, wkraczając zaledwie w początek smugi cienia, w wieku 42 lat. A co z twórczości nie przeminęło, nadal jest żywe? Zadziwiające, lecz Grochowiak podświadomie wyczuwał jakość oraz format tego, co pisał. Przy okazji wykazał się dozą profetyzmu, bo stało się dokładnie tak, jak sam przewidywał w jednym z wywiadów. Zapytany, co po nim zostanie, odpowiedział: poezja i *Chłopcy*.

eprasa.pl f2841e161d

Jan Zieliński

Przestrogi na czas kryzysu

Lustra

Jest w obu wierszach magia imion i nazw, przywołanych i domyślnych. U Międzyrzeckiego komediopisarz (nie retor) Menander z Aten oraz Ptolemeusz, nie słynny uczony Klaudiusz Ptolemeusz, tylko władca (domyślnej) Aleksandrii, założyciel dynastii Ptolemeuszów. U Hartwig medyk i alchemik Rhazes oraz włodarz perskiej prowincji Chorasan (Khorassaun).

Jest w obu wierszach starcie wiedzy (choćby tajemnej) i ignorancji (zawsze chciwej i bezwzględnej). Tudzież napięcie między wiedzą a władzą.

Oba są wierszami o powtarzalności. U Międzyrzeckiego słówko „zawsze" występuje dziesięć razy, a słówko „wiecznie" trzy. Hartwig jest zwięźlejsza: zaczyna od stwierdzenia „Za każdym razem kiedy" i nie musi go ani razu powtarzać, a przecież w tych czterech słówkach jest bolesna powtarzalność ciosów, nieuchronnie wiodąca do ślepoty i śmierci bohatera.

Różni je czas. U Międzyrzeckiego przełom wieku IV/III, u Hartwig – przełom IX/X. Różnica, bagatela, dwunastu stuleci, dwie różne ery. A jednak sprawy, o których mówią, są tak samo aktualne wtedy, i wtedy, i w naszych czasach.

Oba wiersze są przestrogami. Widać to już w tytułach: tam *Mając się na baczności*, tu *Rada na wagę złota*. Międzyrzecki wylicza, czego należy się wystrzegać, czego unikać (wiodących na manowce druków? nierealistycznych marzeń?). Hartwig podpowiada, jakim warto być (ostrożnym; dyskretnym; materialnie niezależnym).

A jednak powtarzalność dowodzi, że najlepsze przestrogi i rady pozostają z reguły niewysłuchane.

Artur Międzyrzecki

Mając się na baczności

Wśród zawsze tej samej gawiedzi
Zawsze tak samo ciekawej krzyża i stosu
Ci sami krążą instygatorzy
I wiecznie ci sami przekupnie ofiarowują druki
O upokorzeniu szatana Bazyleusza

eprasa.pl f2841e161d

Upadku Imperium i Szczęśliwej Wyspie
Niezidentyfikowanych Obiektach Latających
Alchemicznym kamieniu
Niezwyciężonym Zdobywcy
Legendach geografii

Zawsze ten sam kruk wrzeszczy Abrakadabra!
Zawsze ta sama pszczoła tańczy wokół róży
Zawsze ten sam człowiek myśli o tym skąd przyszedł
I dlaczego tu jest i gdzie są jego zmarli

Zawsze ten sam wygnaniec podpiera się kosturem
Na zawsze tej samej drodze w słońcu i kurzu
W zawsze tym samym poczuciu odosobnienia
Tak pełnym zadumy i zasmucającym do łez
I zawsze ktoś o tym pisze niepewny swego powołania
Z wiecznie tym samym dzieciństwem przed oczami
Z wiecznie tą samą śmiercią na karku
I zawsze ten sam Menander rozmyśla o swym zmarniałym mieście
Zastanawia się czy nie wyjechać na dwór Ptolemeusza
I zostaje w Atenach

Julia Hartwig

Rada na wagę złota

Za każdym razem kiedy bagdadzkiemu alchemikowi Rhazesowi nie udawało się przemienić metalu w złoto, jego protektor książę Khorassaun pieniąc się z wściekłości bił uczonego książką alchemiczną po głowie. Przyprawiło to wreszcie Rhazesa o ślepotę i śmierć. Zostawił po sobie wiele cennych pism, po które sięgali Avicenna i Albertus Magnus.

W swoich zasadach pouczał Rhazes poszukiwaczy kamienia filozoficznego, by od najwcześniejszych lat wdrażali się do ostrożności i dyskrecji. Nade wszystko jednak, pisał, nim przystąpicie do prób i doświadczeń, starajcie się zebrać środki finansowe. Zapewni wam to niezależność i swobodę w niepowodzeniach.

eprasa.pl f2841e161d

Tomasz Krakowiak

Przysypała ziemia

Podciągnąłem nogawki i zanurzyłem stopy w wodzie, mętnej po deszczu. Było na tyle wcześnie, że nad glinianką nie było jeszcze nikogo. Wędkarzy, a przede wszystkim Bartosza, który twierdził, że na dnie muszą być olbrzymie karpie, bo on przecież wpuścił w zeszłym roku narybek. Głupiego Grzesia, który przychodził i wrzucał różne śmieci do akwenu i trzeba było wzywać Staszka, starszego brata, bo tylko jego się bał. No i dzieciaków z sąsiedztwa, które urządziły sobie coś w rodzaju plaży, porośniętej trawą. I które próbowały się wykąpać, nawet tylko lekko zanurzyć, gdy nikt nie patrzył.

– Tu jest bardzo głęboko! Zakaz kąpieli! Nie widzieli znaku?!

– Płoszycie nam ryby i jeszcze żyłki nam poplączecie!

– Tam może być szkło, blacha. Widzieliście, co Grzesio tam wrzuca?!

Słyszeli za każdym razem, gdy ktoś ich nakrył. Ale i tak nie ustępowali. Mieli zawody, kto się dalej zanurzy. Piotrek wczoraj pobił rekord. Doszedł tam, gdzie już stracił grunt pod nogami i jeszcze zanurkował. Ale nic nie widział – opowiadał później – a na pewno nie było tam olbrzymich karpi na dnie. Zresztą woda przypominała mleko, tylko zielone.

Zapaliłem papierosa. Zaciągnąłem się tylko raz i przez nieuwagę upuściłem go. Ten osiadł na powierzchni zbiornika, przypominał igłę od kompasu, obracającą się z prawa na lewo.

– Cholera.

Wystawiłem rękę, pomogłem sobie nogą i wyłowiłem mokrego peta, zmoczyłem przy tym rękaw dżinsowej bluzy i o mało nie straciłem równowagi – niewiele brakowało, żebym się skąpał. Spojrzałem do paczki. Dwa. Na południe i wieczór. Sklep był w odległym o dziesięć kilometrów miasteczku, wybierałem się tam dopiero jutro rano. Rowerem. Jakoś musiałem przeżyć brak tej codziennej porannej rutyny. Ale byłem już lekko podirytowany.

Miałem wyciągać nogi z wody, gdy ktoś do mnie zagadał z tyłu.

– Co robi?

– Jak „co robi”? Moczę kulosy, nie widać? – odpowiedziałem, patrząc wciąż przed siebie.

– Co to kulosy?

– Nogi, Grzesiek, kulosy to nogi.

eprasa.pl f2841e161d

– Czemu moczy… ku-lo-sy? – wysylabizował wreszcie.

Odwróciłem głowę i spojrzałem na chłopca. Ciało miał silne, potężne, opalone. Na oko miał dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat. Ale rozmawiało się z nim jak z sześciolatkiem. Niezbyt ogarniętym sześciolatkiem.

Już chciałem go zbluzgać, ale się powstrzymałem.

– Grzesiu, gdzie jest Staszek?

– Domu.

– To idź do niego i powiedz, że dziś ryby nie biorą.

– Skąd wie?

– Skąd wie, skąd wie… Woda za mętna – wymyśliłem na poczekaniu, żeby urealnić zadanie dla chłopaka. On lubił zadania.

– Ryby nie. Woda mętna.

– Dokładnie.

– Staszek. Staszek tu.

– Nie, niech Staszek tu nie przychodzi. Idźcie do lasu. Albo jedźcie do miasta. W każdym razie trzymaj się brata i sam nie chodź po wiosce.

– Staszek tak. Sam nie.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Tak, właśnie tak, Grzesiu. Ty wszystko rozumiesz…

– Mokry, nie zapali.

– Co? – wyrwał mnie z zadumy nowym wątkiem.

– Pa-pie-ros.

Spojrzałem na giętki i glutowaty kształt, który cały czas trzymałem w prawej dłoni, nie wiedząc, co z nim zrobić. Do glinianki nie wrzucę, nie przy patrzącym na mnie uważnie Grześku. To by uprawomocniało jego proceder. W trawę też nie cisnę. W końcu otworzyłem pustą piersiówkę i tam go wrzuciłem, nie myśląc, co tak naprawdę robię, potem posmak papierosa czułem jeszcze przez kilka dni, aż aromat rumu go nie zdominował.

Grześ odszedł bez pożegnania i w środku rozmowy, jak to miał w zwyczaju. Chwilę zostałem sam. Jak by to było, gdybym to ja urodził się w jego skórze? Czy on nie ma łatwiejszego życia? Mniej problematycznego? Być wiecznie dzieckiem!

Z rozmyślań wyrwał mnie tubalny głos.

– Woda zimna?

– Zimna.

– To dobrze. Karpie wypłyną wyżej.

– Dlaczego?

Bartosz zamilkł. Niektórych rzeczy nie trzeba tłumaczyć. W każdym razie faceci nieraz tak robią. A może sami nie znają odpowiedzi? Wędkarz zajął się swoim rzemiosłem, a ja wstałem i wsunąłem sandały.

– Do zobaczenia. Dobrych połowów.

eprasa.pl f2841e161d

Znowu milczenie. Ale nie gburowate, prawdopodobnie wszedł w trans, w którym widział tylko czerwono-zielony czubek spławika i słyszał jedynie ruch trzcin i tataraku na wietrze.

Temu też dobrze – pomyślałem. Spławik, branie, ryba albo cisza przez czterdzieści minut i nic, flauta, pustka. I nie będzie smacznej kolacji, gdy płetwy boczne i górna będą chrupały jak chipsy. Żona Bartosza nie znosiła ryb, ale ceniła oszczędność. Bo robaki pochodziły z przekopywanej ziemi za studnią i były darmowe. Tłuste różowe rosówki. Nieraz przecięło się taką szpadlem, to obie części ruszały się jeszcze na tyle długo, że mogły trafić później na haczyk. Bartosz wkładał dżdżownice do metalowej puszki po herbacie i zamykał wieczko, w którym wcześniej zrobił gwoździem niewielkie otwory.

Życie wędkarza. I to skupienie na spławiku, godne mistrza zen. Uważność podniesiona do kwadratu – stwierdziłem w myślach.

– Dzień dobry, dzień dobry, panu – rozległy się różne piskliwe, zwielokrotnione głosy.

Chmara dzieciaków nadbiegała od strony wsi, by zająć swoją dziką plażę.

– Cześć – odpowiedziałem.

Tym przywitaniem, tym dzieńdobraniem, poczułem się lekko zaskoczony. Jakbym był jakimś wiejskim nauczycielem czy wikarym z miasteczka. Ale nie, wtedy by szczęśćbożyły. Chociaż – w tym wieku…

Poszedłem przed siebie, zupełnie nie wiedząc, co mam zrobić z tym dniem. Siedziałem tu już pół roku. Ludzie wiedzieli, że jestem elektrykiem. A że poza tym umiałem to i tamto naprawić i nie bałem się tykać urządzeń pod prądem, nazywano mnie „złotą rączką" i zlecano różne naprawy. A jak nie, to przydawałem się tu i ówdzie do noszenia czegoś czy do prostych prac remontowo-budowlanych. Nikt nie wiedział, po co naprawdę tu przyjechałem. Mieszkałem kątem u starej Hubkowej w najgorzej utrzymanej chałupie we wsi. Obiecałem ją odmalować i naprawić dziurawy dach – w zamian dostałem nocleg „na ile pan potrzebuje". Jadałem różnie, albo w barze, albo po domach, gdzie coś robiłem. Szanowali mnie, szczególnie kobiety, mężczyźni patrzyli lekko z ukosa. Przyjeżdża taki bubek z miasta, cały w dżinsie i mieni się istnym zbawcą, jakby inne chłopy ze wsi nie umiały naprawić kontaktu, opróżnić zapchanego odkurzacza czy odmalować kuchni. Byłem solą w ich oczach. Choć niektórzy gospodarze zachowywali zimny spokój.

– Przyjechał, to i wyjedzie, a naprawione czy pomalowane będzie.

– Po co my się mamy męczyć?

– Dokładnie, niech robi.

A ja miałem nocleg, jedzenie i jeszcze coś zarobiłem, z czego część odkładałem, a resztę przepieprzałem na papierosy i alkohol. Tu się nie dało nie pić. Wtedy to dopiero chłopy by mnie pogonili. Pić nauczyłem się praktycznie dopiero tutaj,

eprasa.pl f2841e161d

wcześniej gustowałem raczej w winie raz na tydzień i szampanie od święta. Tu królowała wódka, którą zastępowałem nieraz droższym rumem, no i oczywiście piwo, którego nie tykałem. To budziło pewne obiekcje, ale wyłgiwałem się problemami żołądkowymi. Za to gdy opróżniałem kieliszek za kieliszkiem, jak oni, stawałem się niewidzialny.

– Swój chłop. – Klepali mnie po ramieniu.

Starałem się nie upijać, choć raz mi się zdarzyło – kilka dni temu. Skończyłem remont łazienki u Fraszyńskiej – pomalowałem płytki, sufit, odepchałem rury i wymieniłem sitka w kranach – i wpadła mi dobra kasa. Dotarły do mnie wtedy plotki, że niektórzy mnie tu nie chcą. Trzeba było działać. Wszedłem do knajpy pod wieczór – był akurat piątek, na małym telewizorze pod sufitem leciał mecz, przybyło więc wielu amatorów piłki kopanej. Umazany jeszcze trochę na twarzy i dłoniach białą farbą, krzyknąłem od progu:

– Kolejka dla wszystkich.

Spojrzeli po sobie, by po chwili zawołać:

– Zdrowie! Zdrowie pana Rączki!

To nie było moje nazwisko. Tak mnie nazywali, bo nigdy się nie przedstawiłem.

– Zdrooowie!

Po godzinie i wielu przepiciach, bo każdy ze mną chciał, niefrasobliwie podszedłem jeszcze do baru – małej lady otwieranej do góry.

– Panie Mietku, otwórz mi pan rachunek.

– Na ile?

Popatrzyłem w jego piwne oczy.

– Do rana.

– Całą noc?

– Tak.

– Masz pan pieniądze, panie Rączka?

Pokazałem mu plik setek.

– Trzeba zapłacić z góry. Będę wydawał alkohol tylko do kwoty rachunku. Jakby coś zostało, to uczciwie zwrócę. Ale nie sądzę.

– Może być.

– Do końca meczu powinno starczyć. Do rana – nie wiem. I żadnych bójek! Pana osobiście do tego zobowiązuję.

– Sztama. – I uścisnęliśmy dłonie nad ladą.

Pan Mietek schował pieniądze do metalowej skrzynki, zamknął ją na klucz, szufladę na inny i krzyknął na cały głos:

– Cicho! Obywatel Rączka otwiera rachunek! Do rana!

Wiwatom nie było końca, choć nasza drużyna przegrywała 1–0. No i znowu, kto żyw, chciał do mnie przepić. Zbrataliśmy się wtedy. Wielu „zawodników" odpadło jeszcze przed końcem meczu, który przegraliśmy ostatecznie 3–1. Ponieważ nie miałem zbyt mocnej głowy, szybko się ululałem.

eprasa.pl f2841e161d

Bilans nocy – rachunek skończył się wpół do pierwszej, musiałem jeszcze dopłacić za wstawienie szyby, która ucierpiała w zderzeniu z „przypadkowo" rzuconym taboretem, ktoś też stracił zęba, ale na szczęście poza lokalem. Obudziłem się rano, z bolącymi głową i barkiem od niewygodnego snu, bo spałem na ziemi, za barem – przynajmniej na podłodze nie było odłamków szkła ani innych śmieci – przykryty szarym brezentem.

Pić. – Pomyślałem.

Poszedłem na zaplecze w poszukiwaniu mineralnej, ale znalazłem tylko szkło wysokoprocentowe. Zapukałem do drzwi pana Mietka, mieszkał w tym samym budynku – wdowiec, bez dzieci.

Po dłuższej chwili przekręcił zamek w drzwiach.

– Co, wytrzeźwiał?

– Chyba tak.

– Chodź ze mną. Jakieś śniadanie narychtuję.

– Pić!

– Wiem, wiem, zaraz dostaniesz wody. Z filtra.

– Przepraszam…

– Dobra, już dobra, okno się wprawi, potem się rozliczymy. Najważniejsze, że chłopy przekonane.

Spojrzałem na niego uważnie. Mówił, jakby wszystko wiedział.

– No, co się patrzy? Myśli, że nie wiem, po co otwiera się rachunek. Tylko świętej pamięci Rysiek Piorun do tej pory to zrobił. Wrócił z roboty w Niemczech. Nie chciałem brać od niego marek, ale w końcu się zgodziłem. Zadzwoniłem do miasta, do Pawła Rajmunda, który współprowadzi kantor. Podał aktualny kurs, przeliczyłem i okazało się, że to niezły majątek. Jeszcze Ryśkowi sporo oddałem. Ale od tej pory to był gość. Nikt się go nie czepiał, nawet jakby jakieś typki z innej wsi przyszły na rozróbę. Nosili go niemalże na rękach. Szkoda tylko, że… Ciebie też będą nosić. To nic, że wczoraj przegraliśmy. Wszyscy mówili tylko o tobie. Zobaczysz, będziesz bohaterem i trudno ci będzie kiedyś stąd odjechać, jak już zrobisz, co masz zrobić.

W tym momencie mrugnął do mnie.

Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć.

Gdy po śniadaniu wyszedłem z lokalu, dochodziła jedenasta. W drodze do domu pozdrowiło mnie życzliwie trzech mężczyzn i dwie kobiety – nikogo z nich nie znałem. Do tej pory żyłem tu raczej incognito, a witali się ze mną tylko ci, u których kiedyś robiłem.

– Panie Rączka, jak zdrowie?

– No to żeśmy wczoraj…

– Pan się nie martwi, my się zrzucimy z chłopakami na to okno.

– Dzień dobry! Jakby czegoś było trzeba…

eprasa.pl f2841e161d

Dopiero w swojej chałupie odnalazłem względny spokój. Stara Hubkowa nie słyszała o pijatyce zeszłej nocy, zresztą była przygłucha. Przeprosiłem, że nie spałem u siebie i jej nie uprzedziłem.

– A tam, panie, młody jest, młódkę pewnie znalazł…

– Nie, nie…

– Swoje wim. Już niejedną wiosnę…

Nie tłumaczyłem dalej.

– Może spać, gdzie kce. Nic mnie do tego.

Zamknąłem się w pokoju. Usiadłem przy notatniku i zacząłem pisać. Po jakimś czasie odpaliłem laptopa, choć bateria zdychała. W tamtym czasie własny internet na takim zadupiu to było coś. Ale nikomu się tym nie chwaliłem. Pielgrzymkowaliby.

A teraz szedłem przed siebie, nie wiedząc, co zrobić z tym dniem. Roboty we wsi się skończyły: dachy połatane, ściany odmalowane, sprzęty ponaprawiane.

Trzeba by się zbierać… Ale przecież jeszcze nie skończyłem… Skończyłem, nie skończyłem, jechać trzeba… Jeszcze trochę… Gadałem sam ze sobą.

Tymczasem w oddali dojrzałem tuman kurzu. Dzieciaki nadbiegały od strony lasu. Z oddali krzyczały, ale początkowo nie mogłem usłyszeć, co.

– …rzesia, Grzesia pobili.

– Jak to pobili?

– Pan biegnie z nami.

Pobiegłem, nie pytając o nic więcej.

Widok był opłakany. Bluzka rozdarta, twarz umorusana krwią, buty zdjęte. Grześ leżał, patrzył w niebo i coś bełkotał.

– Ty – zwróciłem się do jednego z chłopaczków – biegnij do wsi po Staszka, wiesz, gdzie mieszka?

Skinął głową.

– Powiedz, co się stało, i żeby przyjechał samochodem. Weźcie też jakieś czyste koszulki i dużą butelkę wody. I jakby miał plastry…

– Staszek, auto, koszulki, woda, plastry – powtórzył.

– Dobrze. Biegnij. Tylko ostrożnie.

Podszedłem do leżącego.

– Słyszysz mnie, Grześ?

– Lu bulgu lu…

– Boli?

– Bugu… – Zrobił grymas, wyszczerzył zęby i zaczął płakać. Nie miał górnej jedynki i chyba dwójki.

Obejrzałem go dokładnie. Na ciele widać było siniaki i zadrapania, jakby bito go jakąś tępą deską czy grubym kijem. Trzymał rękę pod żebrami, koszulka nasiąknęła

eprasa.pl f2841e161d

w tym miejscu krwią. Odchyliłem trochę T-shirt i zobaczyłem ranę. Raczej kłutą niż ciętą. Nie wyglądało to dobrze. Albo gruby gwóźdź w desce, albo jakiś pręt. Mógł mieć uszkodzone narządy wewnętrzne. Trzeba było do szpitala.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wezwać karetki. Ale zanim by przyjechali z powiatowego, i potem znowu tam, to już Staszek szybciej.

Zdjąłem dżinsową bluzę, zwinąłem w kłębek i przycisnąłem do rany, żeby krew się dalej nie sączyła. Dzieciaki stały nade mną i patrzyły.

Spojrzałem w stronę drogi. Nikt nie jechał.

– Grześ, trzymaj się. Zaraz przyjedzie twój brat.

– Stagu… Sta-gu.

– Tak, Staszek. Wszystko będzie dobrze.

– Proszę pana, jadą! – Krzyknął ktoś.

Faktycznie. Staszek ostro zahamował, podbiegł do nas, odepchnął mnie i krzyknął, co sił w płucach:

– Który to!?

– Staszek, spokojnie.

– Kto mu to zrobił?! Zabiję, zabiję jak psa!

– Słuchaj. Potem się tym zajmiemy. Teraz trzeba do szpitala.

– Jak to? Gdzie?

– Do powiatowego.

– Dlaczego?

– Wiesz, ma ranę w brzuchu, trzeba sprawdzić.

Na skroniach wyszły mu żyłki, cały poczerwieniał.

– I zęby ma wybite, też trzeba obejrzeć…

– Zajebię! – Uderzył pięścią w ziemię. – Zajebię skurwiela, który to zrobił!

– Stachu, spokojnie. Teraz musisz prowadzić. Tam jest objazd, bo kładą nowy asfalt. Znaki cię poprowadzą. I nawigacja.

– Jaka, kurwa, nawigacja? Wiem, jak jechać.

– Dobra, słuchaj. Otwórz drzwi, weźmiemy Grzesia pod ręce i nogi i położymy na tylnej kanapie. Będzie sobie leżał. Jeszcze mu przemyjemy rany wodą. Masz wodę?

Warknął pod nosem, ale zrobił, co mówiłem.

– W szpitalu idź na izbę przyjęć. Rozumiesz? Wjeżdżasz przez bramę, portierowi mówisz, że wieziesz rannego, parkujesz i po lewej masz budynek A.

Staszek już nic się nie odezwał. Mocno zacisnął zęby. Wyglądał jak jakiś bandzior czy mafiozo. Którym poniekąd był.

Gdy pojechali, powiedziałem dzieciakom, żeby wracały do domów. Rozejrzałem się po okolicy, wokół miejsca, gdzie leżał Grześ. Było tam trochę śladów butów, ale w większości zadeptane. W pewnym oddaleniu dojrzałem usypaną z kamieni górkę. Trochę dalej przełamaną gałęź. I ślady roweru. Poszedłem po śladach opon, ale pod lasem się urywały, bo na ziemi przeważało suche igliwie pomieszane

eprasa.pl f2841e161d

z szyszkami i mchem. Na sośnie ktoś wyciął nożem literę „P" – ale to też nie mogło mieć związku. Pokręciłem się jeszcze trochę po lesie, ale w końcu zrezygnowałem. „Nawet policja by tu nic nie znalazła" – pomyślałem.

Wróciłem nad gliniankę. Bartosza nie było, widać nałapał dość ryb, żeby jego żonka mogła je usmażyć czy upiec na obiad.

„Może on coś widział?"

Poszedłem w stronę wsi. Ktoś wyłonił się na horyzoncie. Tak, to był on.

– Panie Bartoszu, czy widział pan dziś Grzesia?

– No tak, wtedy, rano, jak zwykle. Coś mu nagadałeś i poszedł do brata.

– A później?

– Później już nie.

– Dziękuję.

– Proszę.

Nie dopytywał, dlaczego interesuję się Grzesiem. Nie był ciekawski, zajmował się tylko tym, czy bierze, czy nie i czy danego dnia złowi w końcu karpia giganta. Miał zawsze na tę okazję przygotowane dwa duże podbieraki. Teraz też niósł je z całym sprzętem.

– Karpie lubią nieraz po południu…

– Tak, tak, panie Bartoszu. Do widzenia.

Poszedłem dalej wolnym krokiem. Słońce paliło. Nie miałem nic do picia, w piersiówce na dnie leżał tylko mokry pet. Wyrzuciłem go na drogę i przydeptałem.

Wyjechałem stamtąd. Zrobiłem, co moje i tyle. Pożegnałem się ze starą Hubkową i panem Mietkiem z baru. Z resztą już nie. Musiałbym z każdym po kolei.

Rok później dowiedziałem się od listonosza, że wiele się zmieniło po moim wyjeździe. Grześ utopił się w gliniance. Nie wierzono w samobójstwo. Przecież mentalnie był dzieckiem – mówili. Dzieci się nie zabijają. Nie wykluczono udziału osób trzecich. Sekcja zwłok niczego nie wyjaśniła. Zwykłe utonięcie, woda w płucach. Może nieszczęśliwy wypadek. Staszek wiedział jednak swoje. Poprzysiągł zemstę, choć jeszcze nie wiedział, na kim. Gadał dziwne rzeczy, w nocy latał nago po wsi. W końcu wezwano karetkę i zawieziono go do powiatowego na psychiatrię, do budynku D. Ludzie zaczęli być nieufni. Nie wpuszczali już między siebie obcych. Niektórzy nawet gadali na mnie, że to może wszystko moja sprawka. W końcu gliniankę zasypano, żeby nie było więcej wypadków. Bartosz długo stał i patrzył, czy z wody, której lustro podnosiło się wraz z ziemią, nie wyłoni się jego karp. Ale nic się nie pojawiało, a oponę i stary rower, które faktycznie były na dnie, przysypała ziemia.

eprasa.pl f2841e161d

Grażyna Wojcieszko

Wariacja V

między prawdą a kłamstwem linia, lina czy sparciały sznur?
pewność i niepewność idą w parze, tańczą trzymając się za
ręce, jak stare małżeństwo pełne żalów, ale nierozłączne, jak
lina pełna dziur, jak ten zmurszały sznur, co jeszcze trzyma,
trzyma się serca, nadziei na jutro. jutro wstanie dzień.

pewność, że nie ma pewności. wstaje dzień? a może nie ma dnia?
a może to tylko jakiś sen. kłamstwo o tym, że kolejny dzień
się zaczyna. wiara czyni cuda i zobaczysz dzień w ciemnej
nocy, a może tylko światło księżyca. między dniem i nocą cienka
linia, a może lina, a może sznur, pękający, murszejący sznur.

Wariacja VII

nie wiem, jakie ma znaczenie prawda, czy to cień, czy sylwetka?
prawda leży gdzieś na dnie? i jak widziadło wyłania się z mgły?
jaka to sylwetka? szczupły linoskoczek, który mierzy wysokość
upadku? przecież można spaść w cień, w bezmyślność, w mary,
w podejrzliwość, w przypadek, w nieprzewidziane, w ciężki sen.

traf chciał, a może los postanowił: popiół z twojego papierosa
wiatr przyniósł do moich stóp. gdzie jest powód? kolejny raz
przyszedł, a potem odszedł czas? zwycięzcy nigdy nie mówią o
przypadku, przypadek to bóg, który rozdaje incognito karty.
traf chciał: popiół z papierosa wiatr przyniósł do moich stóp.

eprasa.pl f2841e161d

Wariacja VIII

przypadek, to zwykle skrzyżowanie losów i nie zależy
od niczego. nigdy nie wiemy dlaczego. dlaczego. ach
gdyby wiedzieć, znać przyczynę, ona też ma przyczynę,
gdzie jest powód przyczyny? z czego się wywodzi? czy to
portier, który otwiera nam drzwi i można wejść w pustkę

albo w szczęście? niespodzianki spadają jak deszcz, jak
motyle siadają na kwiatach i żadna prognoza pogody nie
podaje przyczyny. dlaczego dzisiaj motyl usiadł na twój
pachnący kwiat. pachnie tysiące kwiatów. czy motyl wie,
zna przyczynę? spija twój sok. chwila po chwili spija sok.

Wariacja IX

kształt koła. taki kompletny, taki ucieleśniający doskonałość.
fascynujący. trzeba zobaczyć, jak idzie. jak idzie swoją magią
od słońca do krągłości kobiety. od bańki mydlanej do pętli czasu,
do wiecznego powrotu. jak działa kojąco. jaką przynosi ulgę
śmierci. uwalnia śmierć od przyszłości. od całej małej nostalgii,

która plami zasady szczęścia. udaje mu się w cudowny sposób
połączyć trwanie z jeszcze raz. i nagle dramatyczny czas, który
ma początek i koniec, to tylko wieczne trwanie, pętla, po
której wszystko wraca. wraca do wiecznego powrotu,
do życia. śmierć bez żadnego skutku. w kształcie koła bez kursu.

eprasa.pl f2841e161d

Próba dialogu

Z Rafałem Wojasińskim rozmawia Maciej Krzemiński

W swojej twórczości często ukazujesz motyw przemijania, właściwie można powiedzieć, że jest to główny problem, który w różnych wariantach (słuchowiska, sztuki teatralne, opowiadania, powieści) nieustannie poddajesz artystycznej obróbce. Czy to jest związane z twoim postrzeganiem świata, czy to jedynie twórcze zmagania?

Są rzeczy, które widzę, a które potem znikają z pola widzenia. Są też ludzie, których widzę, a potem oni znikają z tego świata. Błąka się pamięć o tym w moim umyśle. Ale ona też zniknie wraz ze mną. Bo pamięć innych o tych samych rzeczach, o tych samych ludziach, jest już inną pamięcią. Pamięcią kogoś innego. Zamkniętą w innym umyśle. Można powiedzieć, że jest tyle pamięci, ile umysłów. Każdy pamięta świat po swojemu. Do momentu, aż przestaje go pamiętać. Przemijanie więc unicestwia. Ale też rodzi. Bez przemijania nie następuje tak zwana kolej rzeczy (od kiełka do koryta). Nie rozumiem do końca, co ma tak naprawdę wnosić to, że całe pokolenia pamiętają jakieś szczegóły. Najlepiej byłoby nic nie mówić na ten temat, poddać się temu, co da się zapamiętać, poddać się tej „prawdzie" w naszych głowach. Dlatego wolę napisać opowiadanie, sztukę, niż odpowiedzieć wprost na pytanie dotyczące motywu przemijania.... Mówienie wprost o czymś jest zawsze jakimś mówieniem o sobie, jakąś opinią. A ja nie do końca wierzę w wartość tak zwanej opinii ludzkiej. Tych opinii jest tak wiele, tych poglądów… A życie i tak po swojemu istnieje… Manipulujemy w naszych głowach, w społeczeństwach, ale życie pozostaje jednak życiem… I to za nim się tęskni może najprawdziwiej… Nie za ideą, nie za pojęciem prawdy czy sensu… Ale za życiem. To ono jest istotą. Kruchą, przemijającą, ale jest… Myślę sobie teraz jednak, że lepiej byłoby chyba nie mówić na ten temat. Wydaje mi się, że lepiej milczeć. Napisanie sztuki czy opowiadania jest moim milczeniem o przemijaniu. Człowiek siedzi na ławce na przystanku. Widzę go z daleka. Je kanapkę i czeka na autobus. Albo się zagubił. Albo nie wie, co ze sobą zrobić. Albo ktoś mu umarł. Albo się ktoś narodził. On jest z przemijania. I nie będzie go z powodu tego przemijania. To i tak tylko nieudolna próba powiedzenia o tym, o co mi chodzi. To jak posiadanie wiedzy bez możliwości dokonania procesu udowadniającego. Jak u Kurta Gödla w pierwszym twierdzeniu o niezupełności, że są zdania prawdziwe, które nie są dowodliwe, których nie można udowodnić,

eprasa.pl f2841e161d

posługując się zasadami danego systemu. Myślę, że coś w rodzaju wiedzy, której udowodnić do końca nie możemy, jest właśnie w nas. Wiedza o przemijaniu. Wiedza, która nie wynika tylko z obserwacji, ale również z dojmującego doświadczenia świadomości. Jakby nie można się dowiedzieć niczego więcej ponad to, że to wszystko jest. Wszystko, cokolwiek widzimy, cokolwiek sobie wyobrazimy, w cokolwiek uwierzymy. Jakby nie można się niczego więcej dowiedzieć. Jest i przemija. Wiemy, przede wszystkim z nauki, że rzeczywistość istnieje. Nawet poznając źródła, wciąż dowiadujemy się tego, że jest. To jest. Nic wyżej? A gdyby wiedzieć o czymś, co nie jest rzeczywistością w rozumieniu fizyki, a daje się udowodnić? Czy jest to możliwe? Może jest. Ale ja o tym nie wiem. Może nie jestem wstanie wiedzieć. Więc zostaję z tym, co mam w głowie. Wątpliwościami, niejasnościami – przy danych dotyczących konkretnych dowodów na istnienie rzeczy, ludzi, psów, drzew, planet.

Wielu twoich bohaterów zostaje odrzuconych przez wspólnotę, najczęściej powodem jest stygmat odmienności. Starość, choroba, odmienne wartości, pozycja społeczna to niektóre z przykładów. Dodam, że niezależnie od wstrzemięźliwości podmiotu mówiącego, czuje się autorską solidarność z tymi postaciami. Dlaczego jest w twoich utworach tak dużo tego typu bohaterów?

Zastanawiam się czasami, dlaczego tak jest, że jeden musi istnieć na świecie w takiej postaci, a inny musi w innej. Przypadek, biologia, ewolucja itd. No ale co to jest za informacja, że silniejszy wygrywa, że jednego geny są lepsze, drugiego gorsze, jeden ładniejszy, drugi brzydszy, itd. No jest to jakaś prawidłowość. Ale co to jest za informacja? O nieetycznym wymiarze natury? O tym, że natura nie myśli, a działa według pewnych zasad? Co to za informacja dla osoby postawionej w sytuacji bez szans? Jest na to odpowiedź? Prawa fizyki odpowiadają? Matematyka? A może miłość jest jedynym ratunkiem i jedyną odpowiedzią? Ona zdaje się być tu jedyną formą „rozumienia". Bo przecież żeby był ładny wilk, ileś wilków chorych i słabych musi ponieść ofiarę. I wtedy mamy piękno przyrody. Ale czy to jest jeszcze piękno, jeśli tyle kosztuje? Czy chodzi o zimną estetykę? Tylko? Jeśli jest piękno przyrody, to musimy uwzględnić wszystkie zabójcze instynkty, popędy. Zjadanie się wzajemne, nawet w ramach jednego gatunku, bezlitosne zabijanie dla rozrodu, dla terenu, dla przywództwa w stadzie. A u ludzi. No właśnie. Przecież odkąd istnieje nasz gatunek, istnieje prawdopodobnie wojna, zbrodnia. Czyli życie bez zbrodni, wojny, zabijania, istnieć nie może? No chyba nie, jeśli wciąż się tym jakoś absurdalnie „żywi". I jeszcze pytanie: Jak to jest, że jednemu przypada rola zbrodniarza, a innemu ofiary, a jeszcze innemu obserwatora, który może mieć dobre samopoczucie, bo nie jest w żadnej z tych ról…? I co zdecydowało o tym, że ktoś jest w danej sytuacji, jednej z tych trzech? Wolna wola? Przypadek? Zbieg okoliczności? Znalezienie się w „złym" miejscu? Geny? Determinizm biologiczny? Los? Fatum? Inteligencja? Choroba psychiczna? Pochodzenie?

eprasa.pl f2841e161d

Szerokość geograficzna, w której akurat ktoś się znalazł? Narodowość? Wyznanie? Wzrost? Siła fizyczna? Zamożność? Próbuję się z tym uporać w mojej nowej książce *Ludzie czerwonego słońca*. Książka jest zilustrowana 20 reprodukcjami obrazów Franciszka Maśluszczaka. Obrazom nadałem nowe tytuły w postaci cytatów z tej krótkiej książeczki. Mam nadzieję, że to nada szerszego wymiaru tekstowi. Ale to już oceni czytelnik.

Dużą wagę w swoim pisarstwie przywiązujesz do natury. Z jednej strony bywa ona w twojej twórczości prezentowana jako bezpieczne, a na pewno bardziej przyjazne miejsce dla człowieka. W wielu twoich utworach świat przyrody w opozycji do tego, co stworzył człowiek, bardziej zachwyca. Jednocześnie to właśnie natura ma niszczącą i destrukcyjną, także dla człowieka moc. Jaki jest zatem twój stosunek do natury?

Natura jest tym, co my. Rodzajem istnienia. W czasie i przestrzeni. Nie da się istnieć poza przestrzenią, a więc i poza czasem. Czyli jest jakieś ograniczenie. Nawet martwy nie istnieje poza naturą. Jest zresztą z tego samego „budulca" co żywy. Przestrzeń okazuje się może kluczem. Co zdaje się być truizmem. Już chyba Kant zapisał, że nie można nawet sobie wyobrazić braku przestrzeni. Więc jest oczywista i jednocześnie niezwykle zagadkowa. Na pewno fizycy potrafią piękniej o tym mówić, może piękniej niż poeci. Tak czasami sądzę. Zresztą bywa, że współczesna nauka bardziej działa na moją wyobraźnię niż poezja, sztuka. Dzisiejsze rozważania dotyczące kosmologii, fizyki, logiki tworzą czasami dla mnie o wiele głębsze metafory niż literatura. Wielu naukowców dziś mówi w prosty sposób o bardzo skomplikowanych zagadnieniach. Kurt Gödel, Penrose czy Michio Kaku są dla mnie równie interesujący jak Georg Trakl, Bernhard, T.S. Eliot czy Wittgenstein. Nawet jeśli wiele zagadnień rozumiem powierzchownie, to to jednak bardzo pobudza moją wyobraźnię do zadawania pytań. No ale na dole, przy samej ziemi, gdzie życie odbywa się bardziej fizjologicznie, gdzie trzeba znaleźć swoje miejsce, jedzenie, dach nad głową, pierwszorzędną rolę, odgrywają, niestety, siła, spryt, cwaniactwo, przemoc czasami. No i co wtedy z teorią grawitacji? Co wtedy z twierdzeniem Gödla? No właśnie. Trzeba wstać, trzeba się najeść, trzeba znaleźć miejsce, w którym spokojnie spędzi się noc. Czasami to nie możliwe, ale każdy chyba czuje, że trzeba tego szukać. Z jakiegoś powodu trzeba. Nie ma jak się z tego wywinąć. A niektórym przychodzi to z ogromnym trudem, i śmiem mniemać, że często z powodu pewnego determinizmu, które zafundowało organizmom życie. Czyli piękna natura.

W twojej twórczości rzadko pojawia się współczesna technologia, niekiedy można odnieść wrażenie, że opisujesz świat przed rewolucją cyfrową…

Tak działa moja wyobraźnia. Jeden z moich ulubionych pisarzy, Cormac McCarthy, w książce *Droga* opisuje świat jakby po technologii, po zagładzie. Przed i po

eprasa.pl f2841e161d

jest może podobnie. I myślę, że w środku też się jakoś nie zmieniamy przez pokolenia. Zmieniają się poglądy, podejście do spraw obyczajowych, społecznych, ale wojny prowadzimy w pewnym sensie „w starym stylu". Jesteśmy wciąż przede wszystkim efektem staroświeckiego życia, a nie technologii.

Twoi bohaterowie często są zawieszeni między tym, co prozaiczne i codzienne – spanie, jedzenie, ubieranie się, praca, a tym, co wiąże się z sensem ich egzystencji – rozważania o śmierci, miłości, relacjach międzyludzkich. Czy uważasz, że to uniwersalny rys ludzkiego życia?

Nie mam żadnej spójnej koncepcji w tym zakresie. Czasami coś, co jest bardzo lokalne, prowincjonalne okazuje się uniwersalne, a to, co światowe –zaściankowe, zmanierowane i często nadęte. Nie mam na to recepty. Może rodzaj szczerości w literaturze jest uniwersalny, nawet nieprzyjemnej szczerości. Może rzemiosło bywa uniwersalne, oryginalna wyobraźnia, autentyczność. A może pewna bezkompromisowość. A może przeciętność, której nie oblekamy w idee, demagogię? Nie wiem. Mniej świadomie piszę. Świadomie staram się poprawiać to, co piszę. Może tak.

Czy masz jakieś swoje ulubione miejsce?

Kujawy. Gdziekolwiek jestem, one są tam, gdzie akurat się wybieram. Pod różnymi postaciami, w różnej formule. Tak mocno pewnie nie przyswoję już żadnego krajobrazu, żadnej przestrzeni, atmosfery.

Jaki widzisz związek między człowiekiem a miejscem, w którym on żyje?

Może na tym polega w jakiejś mierze los. I umiejętność przyjmowania tego losu. Nie odrzucenia, a właśnie przyjmowania. Nie wiem, czy ten związek musi być bardzo determinujący, może bywa uwalniający. Człowiek próbuje nadać wartość, tak zwany sens, swojemu życiu. W danym miejscu i czasie. Ale on się ciągle wymyka. Chyba że sprowadzimy go do logiki, matematyki, to niektóre rozterki po prostu nam odejdą w procesie oceny rzeczywistości i losu ludzkiego. Będą zewnętrzną, tak zwaną obiektywną prawdą, a nie tą, którą nam roi nasz rozum, nasze rozterki moralne, lęki, wierzenia. (A może tylko problem etyczny jest jedynym naszym prawdziwym problemem tożsamościowym?) Związek między człowiekiem a miejscem, w którym się wychowywał lub żyje, jest ewidentny. Nie mamy innego miejsca niż to, które nam się trafiło na naszej drodze życia. Ten związek to warunek czasu i przestrzeni, o którym mówiliśmy na początku naszej rozmowy. Nie da się tego ominąć, więc w tym rozumieniu nie da się ominąć swojego losu. To oczywiście uproszczenie, ale język, konstrukcja zdań skazują nas nieustannie na uproszczenia. Stąd może tak wiele nieporozumień pomiędzy osobami, które posługują się od dzieciństwa tym samym językiem, żyją w tej samej kulturze, podlegają podobnym systemom edukacyjnym. Myślę, że to nie tylko problem zdolności,

eprasa.pl f2841e161d

inteligencji, to również problem samego języka jako narzędzia. Język nas kłóci. I zakłóca też niejako związek pomiędzy człowiekiem a miejscem, w którym żyje w kontekście innych, obcych lub swoich. Język nie tylko potrafi nas związać bardzo mocno z miejscem życia i otaczającymi ludźmi, ale również potrafi oddalić czasami od miejsca, jak i od człowieka. Dajmy na to dwie osoby pochodzące z tej samej wsi, kończące tę samą szkołę, posiadające podobny iloraz inteligencji, mający podobne doświadczenia dzieciństwa, mówią o tej samej rzeczy, na przykład o kolorze niebieskim… Ale im bardziej zagłębiają się w temat, im bardziej odnoszą się do problemu szczerze, tym bardziej wpadają w nieporozumienie, a nawet w pewnym momencie zaczynają się kłócić, zaczynają przekonywać do swojej koncepcji koloru niebieskiego. Zmierzają w kierunku wojny, mając taką samą wiedzę, nazwijmy to, naukową, na temat koloru niebieskiego. Bo ich świadomość nie jest narzędziowa. Jest indywidualna w jakimś wymiarze i potrzebuje swojej racji (władzy – z wyrachowania lub bez). To samo możemy odnieść do szerszych problemów: rodzinnych, środowiskowych, wyznaniowych, pracowniczych, narodowych i tak dalej. I to wszystko dzieje się dzięki temu wspaniałemu narzędziu, jakim jest język. I co z tym z robić? Jak sobie z tym poradzić? Dotąd nikt tego nie dokonał poza wymiarem indywidualnym, bo wielu, którzy od wieków mówią o pokoju, wywołuje wojny, żyje z wojny. W wymiarze szerszym więc się to nie udaje. Może stąd właśnie sens sztuki, która jest często bardzo indywidualnym spojrzeniem. Przenosząc to na grunt malarski, takie rozwiązania ujrzałem na obrazach Francisa Bacona w galerii w Dublinie. Porozumienie przez zakłócenie schematu porozumienia.

Język bywa wspaniały w dramacie, poezji czy prozie, ale zdaje mi się, że może też mocno infantylizować umysły i pojmowanie rzeczywistości, jak dzieje się często w mediach społecznościowych, w polityce czy, niestety również, w budowaniu systemów wartości i stosunków międzyludzkich. No tak. Mogę się mylić, zakładając, że rozum jest jednak skazany na błądzenie i omyłki, ale może ktoś przeczyta to, o czym rozmawiamy i stwierdzi, że jest coś w tym ciekawego, że może warto pociągnąć ten, czy inny wątek rozmyślań. Wciąż, wiesz, wraca mi ta myśl, że milczenie byłoby bardziej na miejscu. To milczenie przez opowiadanie, dramat. No ale się wypowiedziałem. Podjąłem tę próbę rozmowy z tobą. I może niech tak to zostanie. Jako próba rozmowy. Tylko tyle.

Dlaczego piszesz?

Bo nie umiem inaczej.

eprasa.pl f2841e161d

Karol Maliszewski

Kanikuła albo... Felieton rozproszony

Ze snów i przypomnień

*

Czytam ponownie pierwsze opublikowane opowiadanie Olgi Tokarczuk. W *Świątecznym zabijaniu ryby* na plan pierwszy wysuwa się matka, zaś ledwie wzmiankowany ojciec pozostaje w niedopowiedzianym, raczej negatywnym, cieniu. Proces zabijania świątecznej ryby został rozpisany na etapy. Ważna jest dopracowana konstrukcja tekstu, ale ważny też problem irracjonalnego, rytualnego zabijania zwierzęcia. Mamy zarodki problematyki, która zostanie rozwinięta w przyszłości. Pojawia się wyjątkowa wrażliwość na ból i krzywdę tego, co pozaludzkie. Nie zostało to jednak wyeksplikowane na zasadzie gniewnego słowotoku, nastoletniej ekspresji. To już zostało skonstruowane, i w takiej właśnie formie wydaje się czytelnikowi dotkliwe, zaczyna go niepokoić, uwierać. Nastolatka prosi o refleksję na temat tego, co odwiecznie rytualne, pyta o sens mechanicznych powtórek, o obyczajowość wywodzącą się z różnych praktyk przemocy, a także o uświęcanie tych praktyk.

Ostatecznie nie dowiadujemy się, kto zabił rybę. Uśmiercono ją jakby poza opowieścią, skupioną na tym, co czuje narratorka w związku z zaistniałą sytuacją („Pomyślałam: jakakolwiek była siła mojej destrukcji, nie mogłabym zrobić jej nic złego”[1]) oraz na tym, jak zachowują się pozostali członkowie rodziny. Pojawienie się ryby staje się przyczyną nieporozumienia i konfliktu, spokój rodziny zostaje zakłócony. Chociaż opis podzielono na etapy, jakby „rozstrzelono” i zatrzymano w czasie, to sama akcja rozgrywa się szybko, siłą obyczajowego bezwładu dąży do natychmiastowego zakończenia. Działanie zaczyna się od słów matki – „Trzeba zabić tę rybę”, od opisu jej bezradności w obliczu tego, co przyniosła ta obca, pływająca w wannie, istota: „Moja mama nie ma już pieniędzy i boli ją wątroba – siedzi i płacze. Mój ojciec jest zły dla niej”. Córka usiłuje wspomóc matkę. Uważa, że to ona cierpi najbardziej, ojciec na poważnie nie jest brany pod uwagę w tym seansie feministycznej empatii. Narratorka, żeby ulżyć matce, może i sama zdecydowałaby się na zabicie, nawet otwiera książkę z opisami i rysunkami ryb. Dowiaduje

[1] Natasza Borodin (Olga Tokarczuk), *Świąteczne zabijanie ryby*, „Na Przełaj” 1979, nr 39, s. 18. Podaję za: *Światy Olgi Tokarczuk*, red. M. Rabizo-Birek, M. Pocałuń-Dydycz, A. Bienias, Rzeszów 2013, s. 335.

eprasa.pl f2841e161d

się z niej, że to stworzenie „ma serce po stronie brzusznej, że mózg prosty, dwupuszkowy, że chrzęstny szkielet zamiast kostnego", ale ta wiedza ani nie pomaga, ani tym bardziej nie zachęca do czynu, fascynacja i obrzydzenie, o których wspomniała wcześniej, nie ustępują. Wprawdzie w tytule mamy „zabijanie ryby", lecz, jak się wydaje, opowiadanie dotyczy męczeństwa matki i bezduszności ojca, który nie czuje i nie rozumie, swoim zachowaniem nie dociera do istoty tego, co się wydarza: „Moja mama jest blada i zmęczona, wisi skóra na jej twarzy. Dziś pachniało od niej miętą i ziołami. Mamo, mówię, nie martw się, i skubię pyłki z jej sweterka. Ojciec wbija gwoździe. Jaki ten mój ojciec".

*

Jak pięknie poezja traci terytorium, by za chwilę coś z niego mozolnie odzyskać. Te wysiłki przebiegają w medialnej ciszy, mało kogo obchodząc. Inaczej być nie może, poezja jest stanem szczególnym literatury, nie pasuje do słowotoku mediów, do informacyjnego szumu. Ale mnie jeszcze obchodzi, organizatorów festiwalu również. Spotykamy się nie po to, aby nerwowo zasypywać słowami jakąkolwiek przepaść czy opiewać organiczną dysfunkcyjność tych dziwnych ludzi, poetek i poetów. Spotykamy się na luzie, by mówić wierszem i dziwić się, że jeszcze umie znaczyć teren – ten gość z innego świata, z alternatywnego wymiaru, pogłos mowy ginącej po to, by się na nowo odrodzić. Takie Chmury Literatury w starym browarze, zamienionym w Nowej Rudzie na bibliotekę. Nie twierdzę, że na tych spotkaniach można się uzależnić. Zapraszam szczególnie tych, którzy do tej pory omijali nas z daleka. Nie dajcie sobie wmówić, że poezja jest tylko dla wybranych. A nawet jeśli tak, to daj się wybrać.

*

Wieczór wspomnień w świetlicy. Przycupnąłem na chwilę przy drzwiach. Z szumu wyłowiłem ciąg zdań. „Pamiętam też jak ojciec szedł na wojnę. Bardzo wtedy płakałem. Kuzyn dał mi na pocieszenie trąbkę i zaprowadził do królików. Ojciec z wojny już nie wrócił. Zginął pod Kołobrzegiem"[2]. Potem zapadłem się w sobie. Następne opowieści snuły się wokół jak dym. Wspominano ogień, który towarzyszył ich dzieciństwu, ogień wciąż budzący w nocy. Zapadłem w letarg, z którego wyrwało mnie uderzenie zegara. Stał w kącie za niemieckich czasów, wysoki, połyskliwy, czarny, stał i teraz, ciągle na chodzie, jakby niechętny i zgrzytliwy. Uroczyście wybita godzina nigdy nie powróci. Dlatego mielimy słowa, szybko spisujemy wspomnienia bardzo starych ludzi, przyglądamy się uważnie miejscom kiedyś

[2] Znaleziona na półce (w czasie wakacyjnego wypadu) książka pt. *Stankowice – miejsce – ludzie – historia* dostarczyła inspiracji, można by ją cytować bez końca.

eprasa.pl f2841e161d

niemieckim albo czeskim, teraz polskim. A nazwy te nic nie znaczą, są jak etykietki w muzeum pełnym sprzętów, które wyszły z użycia. Owszem, muzeum bezimiennego czasu zwiedza się w pośpiechu, kupując bilet, by wziąć udział w iluzji rozumu i rozwoju. Pies leżący w przedsionku tej instytucji więcej czuje, zupełnie się nie siląc. Wiadomo, z czasem się nie zadziera, w cichym panteonie jest bóstwem największym. Ale to tylko pies.

albo psia gwiazda
zmuszony do
wypoczywania leży

na plecach i nie poznaje
własnych odnóży

tak wyglądają
jak jeszcze nigdy
nie wyglądały

ergo
kim ja jestem

nie znajdując odpowiedzi
kuli się w sobie

wspomina jak to kiedyś
jeździło się na wakacje

nie było
z tym
żadnych problemów.

*

Ojciec, mimo że „gorszy" w hierarchii domowych bytów (niepokojący równoważnik zdania „Jaki ten mój ojciec" nie rozwiązuje tego jednoznacznie), coś jednak robi. Wobec niezdecydowania matki i córki zwraca uwagę jego, choćby i złowroga, aktywność. Być może jest tym, który ostatecznie bierze sprawy w swoje ręce, ale do końca tego nie wiemy. Narratorka skupia się na „okropnych" doznaniach własnych („Trzask o wannę zabijanej ryby, echo chrząstek, pękającego naskórka, przeskoczenia nerwów. Trzask, trzask i zakrywam uszy rękami") i z większą uwagą obserwuje to, co rozgrywa się w świecie matki. Tak właściwie anonimowe „zabicie"

eprasa.pl f2841e161d

jest tylko chwilą między zapaleniem przez matkę papierosa a jego zgaszeniem. W etapie piątym pada najmniej słów: „Mama gasi papierosa i wszyscy zamykamy się w swoich pokojach. W takich okolicznościach zabito rybę".

To zabicie nie przysłużyło się rodzinie, przeciwnie – doprowadziło do dysonansu, do chwilowego rozpadu, uwidocznienia już wcześniej istniejących pęknięć. Święto mające służyć wspólnotowości, staje się w tym opisie jej zaprzeczeniem, antyświętem. Podczas lektury odczuwałem coś, co nazwałbym konstatacją „daremności święta". Tak jakby pod każdym rytuałem, gestem, stylem czaiło się złowieszcze przeciwieństwo, coś na pograniczu nieudolnej imitacji czy nawet parodii. W tym ujęciu wszystko wydaje się podszyte potencjalną aporią. Wydobywanie na jaw możliwej do wyobrażenia aporetyczności (czegoś będącego próbą rozwiązania bezradności wynikającej ze ścierających się przeciwieństw) też zostanie w przyszłości rozwinięte przez pisarkę. I jeszcze: „A na dworze słychać święto, święto, święto i ludzie zabierają się do strojenia pachnących choinek – ja do układów krwionośnych w żółtej okładce". Są więc jacyś ludzie, którzy zabierają się do czegoś, i jest ona, indywidualistka, zdecydowanie zabierająca się do czegoś innego. To ważny moment opowiadania i w ogóle wczesnego „formatowania umysłu". Mówi się tu o samodzielności i oryginalności, o odwadze myślenia poza ludzkim stadem. Nie chciałbym tego interpretować jako przejawu antyklerykalizmu, wyniesionego z domu laickiego wychowania. To samoświadome przeczucie odrębności i samotności, wyznaczników przyszłego umiejscowienia „piszącej kobiety" w układzie społecznym.

eprasa.pl f2841e161d

PROZA

Aleksandra Domańska

Notatki (29)

1.
Prima aprilis 2026

Nie widzieliśmy się od dawna. Gdy po latach spotkaliśmy się na jakiejś imprezie, rozmowa się nie kleiła, bo niewiele już o sobie wiedzieliśmy. A jednak potem Marek zadał sobie sporo trudu, by ponownie nawiązać ze mną kontakt, wypytując o mnie wspólnych znajomych. Gdy więc po paru dniach zadzwonił, było mi miło, że jednak chce odnowić tę znajomość. Chętnie wdałam się w pogawędkę. Teraz bardziej dociekliwie niż na przyjęciu wypytywał o moje sprawy, ja opowiadałam, on słuchał. Wreszcie udało mi się rozmowę zwekslować na jego temat.

– A co tam u Magdy? – spytałam o jego żonę, która była moją koleżanką ze studiów.

– A kiedy ostatni raz ją widziałaś? – odpowiedział pytaniem.

Trochę mnie to zdziwiło, ale odparłam, że jakiś czas temu, gdzieś na ulicy, ale nie było okazji, by porozmawiać.

– I nic nie wiesz? – dociekał dalej.

Zaprzeczyłam.

– No to jedną rafę uda nam się ominąć.

Domyśliłam się, że z tym małżeństwem jest coś nie tak, nie drążyłam więc tematu.

– A firmę prowadzicie dalej z Kacprem? – spytałam, zadowolona, że pamiętam jeszcze imię jego brata.

– Dlaczego pytasz? – znów zaskoczył mnie pytaniem.

Ok, pomyślałam, facet nie chce mówić o sobie, a ja nie jestem też aż tak bardzo ciekawa tego, co u niego słychać. Tylko o czym tu więc dalej gadać? No i wreszcie, po co on szukał kontaktu ze mną?... Zapadła krępująca cisza.

– Czytałaś ostatnią książkę Witka? – Marek znów przejął inicjatywę.

Witek był naszym kolegą mocno zaangażowanym w sprawy polityczne.

– Nie – przyznałam ze wstydem.

– I nie słyszałaś, jak został zaatakowany przez grupę Sławka?

eprasa.pl f2841e161d

Sławek też był naszym kolegą mocno angażującym się w politykę, nie wiedziałam natomiast, że będącym teraz w opozycji do Witka. Czy Marek jest zwolennikiem opcji Sławka, czy Witka? Poczułam, że wkraczamy na grząski grunt.

– A byłaś na pogrzebie Krzyśka? – padło kolejne pytanie.

Krzysiek był ważną postacią ze środowiska Witka, nieprzychylnie recenzowanego przez środowisko Sławka.

Przyznałam, że nie byłam na pogrzebie Krzyśka. Zrozumiałam, że dla Marka mogło to być sygnałem, że jestem po stronie Sławka. Skojarzyłam też z pewnym lękiem, że Magda, była już chyba żona Marka, współpracowała kiedyś z tym Sławkiem, powzięłam więc podejrzenie, że to mogło mieć wpływ na ich pożycie małżeńskie.

Rozmowa z Markiem stawała się dla mnie coraz bardziej męcząca, było już dla mnie jasne, że jestem przez niego poddawana testom służącym ocenie mojej orientacji politycznej czy światopoglądowej. Tylko po co?

On zaś prowokował dalej, zapewne moja niechęć do opowiedzenia się po którejś ze stron narodowej barykady stanowiła dla niego zachętę do dalszych studiów nad moją plemienną przynależnością. Przy pomocy następnych i chwilami trochę podstępnych pytań, chciał wysondować po kolei, czy jestem prounijna, czy proamerykańska; propalestyńska czy proizraelska; prorządowa czy proprezydencka. A ja ciągle czekałam na to, by wreszcie się dowiedzieć, po co odbywa się ta nasza rozmowa.

No i w końcu okazało się, że nie było żadnych ukrytych motywów, po prostu, gdyśmy się spotkali przypadkowo, zapragnął odnowić tę naszą znajomość, ale nie bezwarunkowo – najpierw musiałam zostać poddana procedurze, którą nazwać można „kwestionariuszem osobowym", kwalifikującym mnie – lub nie – do zaszczytnego miana jego znajomego.

Słabym pocieszeniem jest fakt, że takie towarzyskie weryfikacje to nie jest tylko polska specjalność, lecz uniwersalna przypadłość ludzkości, opisana przez Kurta Vonneguta arcytrafną uwagą: „Poglądy są znakami rozpoznawczymi przyjaciół i wrogów, ich treść nie ma znaczenia. Przyjaciele zgadzają się ze sobą, by dać wyraz swej przyjaźni, wrogowie nie zgadzają się ze sobą, by dać wyraz swej wrogości".

I pojęłam, że nie będąc ani przyjacielem, ani wrogiem zarówno Witka, jak i Sławka, nie mam kwalifikacji do bycia przyjacielem Marka, ale fiasko tego testu, któremu zostałam poddana, szczęśliwie wykluczyło mnie też z grona jego wrogów.

2.
Panie Prezydencie...

Tę piosenkę usłyszałam po raz pierwszy podczas mej podróży po Czechach. To było jakieś średniej wielkości miasto, nazwy nie pamiętam, na scenie małego amfiteatru usytuowanego w centrum brzydkiego blokowiska śpiewał Jaromír Nohavica.

eprasa.pl f2841e161d

Nigdy wcześniej nie słuchałam go na żywo. Oniemiałam z wrażenia. Nie rozumiałam tekstów, a jednak natychmiast uległam magnetyzmowi tego pieśniarza. Śpiewał z zespołem lub sam, grając na gitarze lub heligonce, a słuchacze wypełniający amfiteatr do ostatniego miejsca śpiewali wraz z nim. Widać było, że znają wszystkie jego piosenki. Nie było to jednak głośne skandowanie, lecz cichy wtór niezagłuszający głosu wokalisty. Uderzyła mnie niezwykle intymna więź między nim i publicznością, jakby to nie był koncert a spotkanie. Zmierzchało, w oknach brzydkiego blokowiska tu i ówdzie zapalały się światła, a mały amfiteatr był jak jakaś amfibia wypełniona poezją. I czymś jeszcze: ciepłem i serdecznością.

Jedna z pieśni szczególnie utkwiła mi wówczas w pamięci – ballada *Panie Prezydencie*. Ma ona formę listu zwykłego obywatela, takiego z brzydkich blokowisk, skierowanego do swego przywódcy z ufnością, że może mu powierzyć swoje codzienne troski. Jest tam o tym, że dzieci o nim zapomniały, że jogurt, parówki, piwo i trolejbus podrożały, że go młodzi zwolnili z fabryki po trzydziestu latach pracy. Nohavica intonował poszczególne zwrotki, a cały amfiteatr śpiewał wraz z nim refren (tłumaczenie z internetu):

Pan to zrozumie
Pan przecież wie wszystko
Pan się naradzi, Pan to rozwiąże
Pan mnie uratuje
Panie Prezydencie,
Chcę tylko odrobinę szczęścia.
Po cóż innego przecież dzwoniliśmy
Kluczami na rynku.

Adresatem tej pieśni był piastujący wówczas urząd prezydenta Václav Havel, symbol przemian ustrojowych w Czechosłowacji, były dysydent, pisarz, intelektualista, przez wielu czule nazywany „Vaszkiem", jako że nie budował dygnitarskiego dystansu. No i był jednym z nich – tych, którzy podczas „aksamitnej rewolucji" w 1989 roku, demonstrując przeciwko staremu porządkowi, dzwonili wspomnianymi w tym refrenie kluczami na znak, że czas, by władze komunistyczne „poszły do domu". Niemniej dystans między rezydującym już wtedy od lat na Hradczanach Havlem a uczestnikami koncertu Nohavicy był solidny („ile on ma trosk z całą tą Europą, kosmosem i w ogóle wszystkim!"), ujmujący więc był widok obywateli czeskich cicho i w skupieniu powtarzających apel zawarty w pieśni (gdy w Polsce byłby on wykrzyczany pieśnią buntu!…).

Wiele razy potem słuchałam Nohavicy, parokrotnie byłam na jego koncertach i zawsze wtedy, gdy słyszałam *Panie Prezydencie*, wracało wspomnienie tamtego koncertu i tego wyjątkowego, niezapomnianego i nierealnego obrazu relacji między obywatelami a ich przywódcą.

eprasa.pl f2841e161d

Parę lat później w ramach projektu *Świat według Nohavicy*, który był zbiorem polskich wersji jego pieśni, Krzysztof Daukszewicz przedstawił swoją wersję tego utworu. Był rok 2008, prezydentem Polski był wówczas Lech Kaczyński. Dziś czytam to i przesyłam w formie adresu prostego obywatela, nucąc cichutko:

Panie Prezydencie, i proszę, w obcych progach
Przyjaciół trzeba szukać, a nie widzieć w każdym wroga
I poproś swych ministrów, niech mówią ciut spokojniej
Ja nie chcę wiedzieć, że Pan w kraju z rządem też na wojnie.
Panie Prezydencie, niech Pan mnie raz wysłucha
Niech Pan nas weźmie serio i nie dąsa się ciągle
Daj się Pan udobruchać,
Panie Prezydencie, nie będzie końca świata,
Gdy podasz rękę z takim słowem,
Jak zwracasz się do brata.
Panie Prezydencie…

(19.06.2026)

3.
Sztuczna inteligencja i profesor Duch

Svenowi Zagale

Chcąc napisać o czymś, na czym się zupełnie nie znam – o sztucznej inteligencji – musiałam się wesprzeć kompetencjami tych, którzy się znają i swą wiedzą dzielą się na łamach prasy. Trzeba trafu, że specjalistami od sztucznej inteligencji, z których opiniami na ten nie-ludzki temat się zetknęłam, są profesorowie o całkiem ludzkich nazwiskach: Duch i Mądry. Jakby jednak oni nie humanizowali tego zagadnienia, wszelkie doniesienia o postępach w rozwijaniu sztucznej inteligencji przyprawiają mnie o zawrót głowy i ataki paniki. Ale cóż ja, skoro sami twórcy AI przyznają, że już zaczęli jej ustępować i stali się dla niej „za wolni". „Systemy, które stworzyliśmy – powiada profesor Duch – przekraczają nasze zdolności i w wielu wymiarach przestaliśmy być dla nich partnerem. […] Pytanie, które się zatem rodzi, to czy możemy znaleźć jeszcze jakieś intelektualne wyzwanie, w którym będziemy mieli przewagę? Następnym krokiem może być tzw. *god mode*, czyli boski tryb, w którym nie będziemy rozumieć nieprawdopodobnie szczegółowych odpowiedzi na pytania, które zadaliśmy systemowi".

Bezradność twórcy wobec dzieła to jedno, a drugie to jego uzależnienie od niego, wyrażające się już dziś obrazem człowieka pochłoniętego studiowaniem zawartości smartfona, co w zmasowanej wersji, na przykład w wagonie metra w godzinie szczytu, wygląda apokaliptycznie, gdy tłum postaci bez cienia emocji na twarzy,

eprasa.pl f2841e161d

bez wyrazu i jakby bez życia wpatruje się w ekrany. Jakby ich już po tej stronie nie było, jakby zostali już wessani przez treści, które produkuje dla nich algorytm. „Interfejsując się ze światem wyłącznie przez algorytm – przeczytałam u innego specjalisty – przestaniemy doświadczać go bezpośrednio i możemy przeoczyć moment, w którym – dążąc do wygody – utracimy umiejętność bycia autentycznym, nieuśrednionym człowiekiem".

Profesor Duch też przestrzega: „Transhumanistyczne człowieczeństwo przyszłości, wychodząc poza ramy »tradycyjnego« humanizmu, może bardzo szybko się zdegenerować społecznie, np. tracąc umiejętności budowania czy utrzymywania relacji międzyludzkich".

„Transhumanistyczne człowieczeństwo, które się interfejsuje ze światem przez algorytm" to perspektywa, która mnie, dość jednak jeszcze analogowej, nie mieści się… no właśnie w czym? W głowie?... No i w tej mojej głowie, zanurzonej z powodu tych perspektyw w otchłani pesymizmu, zrodził się w końcu obraz przyszłości, w którym garstka „niezcyborgizowanych" jeszcze ludzi uprawiać będzie coś, co roboczo nazwałam „wzmożonym humanizmem", żeby nie powiedzieć: „humanizmem desperackim"! Grupkę tę zobaczyłam w swej wyobraźni ukrytą – na wzór pierwszych chrześcijan – w katakumbach, by tam zajmować się jakimiś zupełnie niepotrzebnymi światu aktywnościami. Nie będą to jednak arystokratyczne z ducha świątynie nauki i sztuki jak podpowiada tradycyjny humanizm, będący pochwałą wiedzy, bo tę wchłonęła już w siebie sztuczna inteligencja w stopniu zupełnie nie-ludzkim. Będziemy się tam ćwiczyć w innej dziedzinie: w *niedoskonałości*, bo to nasza niedoskonałość będzie główną tarczą obronną przeciwko niej. Pierwszy z brzegu przykład: dowiaduję się, że dziś jeszcze Doda może wypełnić swymi fanami Stadion Narodowy, powoli jednak rodzi się pytanie, jakiego rodzaju satysfakcję będzie mogła uzyskać publiczność na jej występach, gdy wokół namnożą się o wiele sprawniejsze cyfrowe wersje (jak choćby Michael Bennett, wykonawca rewelacyjnie brzmiących ballad, tylko że nieistniejący, bo wygenerowany przez AI). To, co wówczas będzie mogło przykuć uwagę, to te właściwości Dody, które ją różnią od perfekcyjnego pieśniarza cyfrowego – jakiś błąd, fałsz, potknięcie, pot na czole… Ciekawość będą mogły też wtedy wzbudzić sygnały, jak prują się na jej obliczu osiągnięcia medycyny estetycznej, dowodząc jej ludzkiej natury niezależnie od nakładów finansowych podlegającej upływowi czasu. Dziś pewnie też niejeden chętnie tropi te niedoskonałości, ale na razie z mściwą satysfakcją, że i jej się nie udaje, ale wkrótce zmieni się to w uczucie sojuszu, współczucia i sympatii, co będzie wyrazem więzi z przedstawicielem zagrożonego gatunku i bratem w niedoli. Nasza niedoskonałość stanie się znakiem rozpoznawczym i przepustką do świata „wzmożonego" („desperackiego") humanizmu.

Drugim atrybutem tego tajnego stowarzyszenia zasiedlającego nowe katakumby będą – pocieszam się – *niewiedza i ciekawość*. O ile żarłoczna sztuczna inteligencja, która pochłania wszystkie osiągnięcia ludzkości, by żonglować nimi jako swoim

eprasa.pl f2841e161d

potężnym zasobem, może w każdej chwili dysponować także moją wiedzą, nie może jednak skorzystać z mojej niewiedzy! To, czego nie wiem, a czego jestem ciekawa, jest poza zasięgiem jej wszechwiedzy i wszechmocy. Niewiedza to obszar mojej wolności i niezawisłości! Nie wiedząc, wyprzedzam ją o krok i wymykam się.

Nie wiem, co by na to powiedział specjalista od sztucznej inteligencji, profesor Duch, ale myślę sobie, że nie produkty naszej wiedzy, ani nasza zrodzona z pychy dążność do doskonałości, lecz nasza niedoskonałość właśnie oraz nasza niewiedza skłaniająca do zadawania pytań to bastion naszego „wzmożonego" („desperackiego") humanizmu. Udzielać odpowiedzi będzie już tylko sztuczna inteligencja. Nam pozostanie pytać.

I jeszcze jedno: solidarność w tej naszej niedoskonałości i niewiedzy. A nawet czułość we wzajemnych relacjach, bo niedoskonali godni jesteśmy współczucia – dla swych ograniczeń, błędów, fałszów, potknięć i niepowodzeń medycyny estetycznej niezdolnej uczynić nas nieśmiertelnymi.

Dziękuję za inspiracje, panie profesorze Duch.

eprasa.pl f2841e161d

Niełatwo zerwać rodzinny węzeł

Z Anną Nasiłowską o jej książce *Węzeł rodzinny* rozmawia Jan Skoumal

„Węzeł rodzinny, mocno zawiązany, nie do rozplątania". Czym on właściwie jest? Na ile oplata nas od urodzenia, a na ile wplątujemy się w niego sami?

Największe znaczenie ma początkowa nieświadomość istnienia tego węzła, z czasem ukazującego się naszym oczom za sprawą historii przekazywanych przez starszych członków rodziny. Patrzę na ten mój węzeł już z perspektywy autorki książek biograficznych, której zadaniem jest odczytywanie przekazu stojącego za życiem konkretnej osoby. Narzędzia biografa sprawują się doskonale także przy badaniu historii własnej rodziny. Wcześniej, opierając się na opowieściach mojego dziadka, napisałam powieść *Konik, szabelka* (2012), wykorzystując kilka stron pamiętnika, który zaczyna się 18 listopada 1918, od momentu przybycia do Warszawy, żeby wstąpić do wojska. Tam jednak trzymałam się tematyki wojny polsko-bolszewickiej, dobierając jedne, a odrzucając świadomie inne wątki, co jest praktyką typową dla prozaika, a nie biografa. Musiałam utrzymać charakter opowieści, jej styl i język.

Wbrew obawom książka *Konik, szabelka* spodobała się pani mamie. Mimo że była ona przeciwna badaniu przez panią rodzinnych dziejów…

Takie postawy brały się z niebezpieczeństw czysto politycznych. Gdy w latach siedemdziesiątych słuchałam o POW, Legionach, a potem wojnach na wschodzie, o paradzie wojsk Piłsudskiego i Petlury w Kijowie, o tajnej misji mojego dziadka, która zaprowadziła go na Krym, wiedziałam, że są to opowieści politycznie niecenzuralne. Sam dziadek wielokrotnie przyznawał, że to dobrze, iż nigdy niczego nie spisał. Bał się, że mógłby sprowadzić nieszczęście na rodzinę.

Węzły mają to do siebie, że różne siły próbują je zerwać: za PRL-u strach każe ludziom milczeć, a za niemieckiej okupacji – wyrzucić szablę i ordery do rzeki, o czym także pisze pani w książce.

Pewne rzeczy się tai, gdy rodzinie grozi realne niebezpieczeństwo. We wrześniu 1939 roku gdzieś pod Sandomierzem mój dziadek utopił w Wiśle swoją szablę i ordery. I oczywiście mogłabym na podstawie tej informacji zbudować cały scenariusz do poruszającego filmu: ktoś mówiłby „nie, nie, tak nie można,

eprasa.pl f2841e161d

to nasze dziedzictwo", a dziadek odparłby „muszę" i teatralnym gestem cisnąłby wszystko do rzeki. *(śmiech)* Ale na to nie ma miejsca, gdyż tak po prostu musiało się stać.

Zerwanie węzła nie jest jednak wcale takie proste, prawda?

Polityczne próby zerwania węzła rodzinnego są zawsze powierzchowne. To, co dzieje się w naszych rodzinach i czego dotyczy nasza codzienność, jest głębsze i realniejsze niż jakikolwiek ustrój czy ideologia. Oczywiście, próbuje się nam opowiadać uogólnione historie – o tym, co robili Polacy, co robili Niemcy, co Rosjanie, a co Żydzi. Gdy jednak wejdziemy w szczegóły, wszystko to okazuje się i prawdą, i nieprawdą. Pewien Niemiec, lekarz, zwolnił mojego tatę z obozu pracy – zobaczył przed sobą chorego na gruźlicę chłopca o blond włosach i aryjskim wyglądzie, przemawiającego płynnie po łacinie. Inny, dokwaterowany do naszego domu, wzruszył się w święta i przyniósł do wigilijnego stołu mojej rodziny radio nastawione na Londyn. To jednak nie przeszkodziło mu potem, gdy front się cofał, w zrabowaniu niemal wszystkiego, co znalazł w gospodarstwie.

Mówimy o historii XX wieku, a przecież węzeł rodzinny sięgać może do czasów wręcz mitologicznych. Gdy go prześledzić, dotrzemy na przykład do jednego z wojów w drużynie Bolesława Śmiałego, mordującego biskupa Stanisława…

Ja w takie rodzinne mitologie ani wierzę, ani nie wierzę. Uważam jednak, że ktoś powinien w końcu przyznać się do zbrodni na przyszłym polskim świętym – dlaczego więc tej odpowiedzialności nie miałabym wziąć na siebie ja – poprzez węzeł rodzinny? Sprawa przecież długo uchodziła za jednoznaczną, choć taka nie jest: Gall Anonim przedstawia tamte wydarzenia niejednoznacznie. Jest to bardzo mitotwórcza historia, jak się okazuje, także dla mojej rodziny. Nie miałabym odwagi wymyślić jej samodzielnie, ale raz zasłyszanej – nie pozwoliłam popaść w zapomnienie. Tym bardziej więc zdziwiło mnie, że ktoś, kogo potem spotkałam, także dysponował opowieścią o przodku w drużynie króla Bolesława… Zajmuję się zawodowo historią literatury, więc jestem przyzwyczajona do tego, że także z nieprawdziwych historii wiele wynika. Gdyby z ludzkiego życia wyrzucić fikcję i wyobraźnię, zostałoby coś bardzo suchego i nieciekawego.

Badając rodzinne opowieści, łatwo trafić na grunt historii całego kraju czy Europy. Od dalekiej krewniaczki, pracującej w warszawskiej bibliotece, do zaginionego archiwum emigracyjnego rządu droga nie jest daleka, prawda?

Pewnym odkryciem była dla mnie historia Elżbiety Skierkowskiej, ciotki, której nigdy nie poznałam. W trakcie powstania warszawskiego pracowała w bibliotece przy Koszykowej i została tam do końca, do października 1944. Dyrektor biblioteki, Ukrainiec, uciekł wówczas z Niemcami, zabierając ze sobą skrzynie z archiwum ukraińskiego rządu emigracyjnego Petlury, które następnie trafiły do Pragi,

eprasa.pl f2841e161d

a stamtąd – prawdopodobnie do Kijowa. Moja ciotka była jedną z ostatnich osób, która wiedziała o istnieniu tych dokumentów w Warszawie.

Elżbieta była duszą twórczą. Dla takich chyba nie ma zbytnio miejsca w pani rodzinie, z gruntu praktycznej. A jednak rozmawiamy teraz o kolejnej książce autorstwa uznanej poetki…

Uważam się za duszę twórczą, ale mocno osadzoną w rzeczywistości. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na przedłożenie sztuki przed podstawowe życiowe obowiązki, takie jak utrzymanie siebie i dzieci. Tak mi wpojono, dla mnie to oczywiste, ale nie można powiedzieć tego o każdym. Uświadomiłam to sobie w trakcie niedawnej dyskusji o zabezpieczeniu socjalnym artystów, podczas prac nad ustawą o statusie artysty. Dla mnie własne miejsce w życiu równa się etatowi i ekonomicznemu bezpieczeństwu. Ale jest jeszcze inne zobowiązanie – pracy społecznej. Trzeba zadbać o swoją grupę zawodową. Tak jak robił to mój tata, który zawsze działał w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich. Bo tak trzeba, na tym polega odpowiedzialność.

Ile czasu zajęło pani zebranie materiałów i przygotowanie książki o swojej rodzinie?

Tego czasu nie było. Gdzieś między pisaniem *Historii literatury polskiej* a biografią Sławomira Mrożka napisałam pierwszą część. Nie zbierałam już wtedy materiałów, ale wiele z nich wpadało mi wówczas samo, przypadkiem. Przykładowo rozmowa z Andrzejem Wielowieyskim o 3. Pułku Ułanów, w którym służył mój dziadek. Nie doszłoby do niej, gdyby wcześniej w jego ręce przypadkiem nie trafiła powieść *Konik, szabelka*, którą z kolei zostawiłam na biurku kogoś innego… Pisanie wiąże się właśnie z takimi fantastycznymi przypadkami.

Na początku książki pojawia się kwestia tego, czy ciało ma swoją pamięć. Czy po zbadaniu historii rodziny zna pani odpowiedź na to pytanie?

Nie, zdecydowanie nie. Wiele osób uważa, że ich choroby biorą się z pewnych traum pokoleniowych. Ja jednak postanowiłam pójść inną drogą i zadać sobie pytanie o to, co niosą moja świadomość i pamięć. Znajduję tu zarówno traumy, jak i odpowiedzi na nie. Czy ciało może je pamiętać? Cóż, uważam, że moje ciało całkiem dobrze zniosło wojny i okresy niedostatku z czasów przed moimi narodzinami. *(śmiech)*

„Ciągłość oznacza kumulację" – również takie zdanie pada w *Węźle rodzinnym*. Ciężko mówić o kumulacji, gdy popatrzymy na historię Polski…

Dla mojej rodziny miało to wymiar przede wszystkim ekonomiczny. Wojna, a później także i zwykła lekkomyślność, pozbawiły nas tej kumulacji, kazały zaczynać od zera. Mam tylko pamięć – o znacjonalizowanym zakładzie i o domu,

eprasa.pl f2841e161d

w którego miejscu powstała stacja benzynowa. Jest też rondo w Rawie Mazowieckiej, nazwane imieniem mojego dziadka, Henryka Skierkowskiego, twórcy odmiany cebuli rawskiej. Położone jest w zupełnie innej części miasta niż ta, w której mieszkała moja rodzina. W każdej chwili może jednak zniknąć – wystarczy zwykła zmiana organizacji ruchu, nie trzeba do tego wojny. To jest stara literacka sztuczka: za pomocą opowieści, poprzez słowa przywrócić życie czemuś, czego już nie ma. Mam nadzieję, że mi się to udało.

eprasa.pl f2841e161d

ESEJ

Grzegorz Wiśniewski

Patriarcha literatury mołdawskiej

Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku dane mi było osiąść jako doktorant na parę lat w Moskwie i zyskać szeroki dostęp do przebogatej oferty kulturalnej radzieckiej metropolii, od razu zwróciła moją uwagę stała i obfita tam obecność twórców, dzieł i wydarzeń artystycznych z poszczególnych ówczesnych republik związkowych, i tych europejskich, i tych azjatyckich. Niewiele przedtem z ich kulturą obcowałem, skwapliwie więc spieszyłem tę znajomość pogłębić. I z ciekawością oglądałem na przykład występy czy to estońskiego Teatru Vanemuine z Tartu, czy to Teatru Opery i Baletu z Erywania (m. in. ze znakomitą inscenizacją *Gajane* Arama Chaczaturiana, opero-baletem *Dawid z Sasunu* Edgara Oganesjana, reżyserowaną przez naszego Bolesława Jankowskiego *Normą* Belliniego z legendarną Gohar Gasparian w roli tytułowej), czy to Teatru Opery i Baletu z Tbilisi. Olbrzymie wrażenie wywarła na mnie urządzona w Galerii Trietiakowskiej wystawa dzieł wykształconego w Polsce wielkiego Litwina Mikalojusa Čiurlionisa – jednego z najwybitniejszych przedstawicieli światowej awangardy malarskiej początków XX wieku.

Z kulturą ówczesnej Mołdawii kojarzyły mi się w tych i późniejszych latach przede wszystkim trzy nazwiska. Sopranistka Maria Bieşu (1935–2012) była jedną z czołowych radzieckich śpiewaczek operowych, poza Związkiem Radzieckim – który zjeździła wzdłuż i wszerz –występowała na najważniejszych scenach Europy, Azji i Ameryki z mediolańską La Scalą i nowojorską Metropolitan na czele, a wraz z pierwszą nagrodą w konkursie im. Miury Tamaki w Japonii otrzymała tytuł „Najlepsza Cho-Cho-San na świecie". Mimo licznych innych propozycji do końca życia pozostała wierna rodzimemu Teatrowi Opery i Baletu w Kiszyniowie, który dziś nosi jej imię; w Moskwie mogłem wysłuchać jej świetnego recitalu, jaki dała wiosną 1977 roku w najważniejszej sali koncertowej stolicy – Wielkiej Sali Konserwatorium Moskiewskiego. Reżyser filmowy i pisarz Emil Łotianu (1936–2003) był twórcą między innymi wielokrotnie nagradzanych, a inspirowanych mołdawskim folklorem, poetyckich filmów *Lautarzy* i *Tabor wędruje do nieba* (tego ostatniego na motywach opowiadań Gorkiego), a także wysmakowanej ekranizacji prozy Czechowa *Dramat na polowaniu*; swoje pierwsze filmy kręcił w Kiszyniowie, w roku 1975 przeniósł się do Moskwy, potem na pewien czas powrócił do Mołdawii.

eprasa.pl f2841e161d

Trzecia spośród ówczesnych największych dla mnie postaci kultury mołdawskiej to zmarły przed trzema laty w wieku 95 lat w glorii największego mołdawskiego pisarza XX wieku prozaik i dramatopisarz Ion Druță (dawniej pisany też u nas: Druce). Urodzony w wiejskiej rodzinie, mieszkał w Mołdawii do lat sześćdziesiątych, kiedy to, krytykowany przez mołdawskie władze i nękany przez tamtejszą cenzurę, wyjechał do Moskwy, w ZSRR bardziej niż prowincja tolerancyjnej; w Moskwie też pozostał do końca życia, choć kontakty z ojczyzną utrzymywał, a w końcu lat osiemdziesiątych został wybrany honorowym przewodniczącym Związku Pisarzy Mołdawii (z którego jednak dekadę później wystąpił). Tworzył najpierw w języku mołdawskim, potem pisał także po rosyjsku lub na rosyjski swe utwory sam tłumaczył. Za najważniejszą jego powieść uważa się *Brzemię naszej dobroci* – opublikowaną w 1968 roku, a po polsku w przekładzie Andrzeja Szymańskiego wydaną osiem lat później – miniepopeję o mołdawskiej stepowej osadzie Czutura, malującą jej pogmatwane losy w ciągu blisko półwiecza od końca I wojny światowej aż do połowy stulecia, gdy Besarabia-Mołdawia była kolejno carska, rumuńska, radziecka, znowu rumuńska i znowu radziecka; powieść, momentami ocierająca się o realizm magiczny, tchnie ukochaniem ojczystej ziemi-żywicielki, przesycona jest ciepłym liryzmem, czasami współczującym humorem.

Z kolei najwybitniejszym utworem dramatycznym Druțy stała się *Największa świętość* – konfrontująca dwóch niegdysiejszych szkolnych kolegów – kołchozowego pastucha i wysokiej rangi działacza, filozoficzna i romantyczna sztuka-przypowieść, „piękny poemat o ludzkiej godności i wartościach postawy humanistycznej, a jednocześnie rzecz gorzka i niezmiernie krytyczna" (Michał Misiorny), przejmujący protest przeciw wszystkiemu, co nieludzkie w stosunkach między ludźmi i w stosunku ludzi do przyrody. Inscenizacje *Największej świętości* zajęły trwałe miejsce w dziejach teatru zarówno rosyjskiego, jak i polskiego. Jej polska prapremiera miała miejsce w przekładzie Grażyny Strumiłło-Miłosz w tym samym, co rosyjska, roku 1977, przy tym równocześnie – 5 listopada – w dwóch teatrach, Współczesnym w Warszawie i im. Jaracza w Łodzi. Spektakl warszawski, który świetnie pamiętam po dziś dzień, w reżyserii Macieja Englerta, z piosenkami Agnieszki Osieckiej, z Henrykiem Borowskim, Janem Englertem i Martą Lipińską w głównych rolach, stał się prawdziwym wydarzeniem – reżyser otrzymał zań Nagrodę im. Konrada Swinarskiego, Borowski zaś – Grand Prix Kaliskich Spotkań Teatralnych. Rzecz jeszcze w tym samym sezonie zagrano we Współczesnym sześćdziesiąt jeden razy, wnet też zarejestrowano ją dla Teatru Telewizji, gdzie wyemitowano ją w maju 1979 roku. Ze sztuk Druțy poza *Największą świętością* wystawiano u nas *W imię ziemi i słońca*, z jego prozy zaś poza *Brzemieniem naszej dobroci* przekładano *Ostatni miesiąc jesieni* (Elżbieta Wassongowa) i *Liście smutku* (znowu Andrzej Szymański). Na polskich ekranach szedł, aczkolwiek tylko w dyskusyjnych klubach filmowych,

eprasa.pl f2841e161d

oparty na O*statnim miesiącu jesieni* film Wadima Dierbieniowa pod tym samym tytułem. Raz po raz zwracał się też Druță w swych dramatach i powieściach ku odleglejszej przeszłości – czasom Piotra Wielkiego i Katarzyny II czy ostatnim latom życia Lwa Tołstoja.

Zmarł 28 września 2023 roku w Moskwie; zgodnie ze swoją ostatnią wolą spoczął w ojczyźnie, w położonym w pobliżu wsi, gdzie przyszedł na świat, naddniestrzańskim mieście Soroki. Przedtem w Kiszyniowie żegnali go trzej byli prezydenci Mołdawii – Lucinschi, Voronin i Dodon; urzędująca głowa państwa, Maia Sandu, ogłosiła dzień pogrzebu dniem żałoby narodowej.

eprasa.pl f2841e161d

Piotr Milewski

Zapiski z Północnej Wyspy. Część druga

Cztery pory roku, czyli *shiki*

Cztery pory roku na Hokkaido są bardzo wyraziste, charakterystyczne, wydzielone. Każda z nich ma swój urok. Każda oczarowuje i zaskakuje swym magicznym pięknem. Jesień jest najbardziej kolorowa. Zima tonie w bieli. Wiosna eksploduje spóźnioną zielenią, a latem zieleń ta dojrzewa. Tym, co Północną Wyspę najbardziej odróżnia od pozostałych części Japonii, jest brak uciążliwej letniej pory deszczowej, zwanej niekiedy przez Japończyków z południa piątą porą roku. Na Hokkaido ona nie występuje i tego zazdroszczą mieszkańcom ich krajanie z pozostałych wysp.

Cztery pory roku na Hokkaido zachwycają swoim pięknem. Każda z nich ma jednak inne oblicze – obok chwil pełnych zachwytu potrafią przynieść także wyzwania i trudne doświadczenia. Tak jest choćby zimą. Po pierwszym zachwycie nad śnieżną bielą przychodzi czas, gdy zima zdaje się nie mieć końca. Daje się we znaki wilgocią unoszącą się w powietrzu, nieustannymi opadami śniegu lub mroźnym wiatrem smagającym twarz. Zima nie kończy się wtedy, gdy powinna się już skończyć. Ona trwa i trwa i trwa, testując cierpliwość i wytrzymałość tutejszych mieszkańców, wpędza niektórych w depresję, tylko po to, by – kiedy zniknie płonna nadzieja – ustąpić wiośnie i uzmysłowić, jak bardzo była oczekiwana i jaka piękna to pora. Piękna, ale krótka. Podobnie lato. Dopiero ciepła i długa jesień niedosyt ten kompensuje. Wyruszmy więc w wędrówkę po Hokkaido w rytm czterech pór roku. Zacznijmy od jesieni.

Jesień, czyli *aki*

Jesień na Hokkaido zaczyna się powoli. Gdzieś na przełomie września i października osiąga pełnię i trwa w najlepsze do końca listopada. Nie jest to pora smutna i posępna, lecz radosna i niebywale barwa, w czasie której natura odsłania nieskończoną paletę kolorów. Stoki wzgórz i doliny pokrywa bujna roślinność, która przybiera odcienie zieleni, żółci, brązu, czerwieni, a nawet pomarańczu i tworzy kolorowy kobierzec.

Duże, owalne liście wiśni mienią się żółcią i czerwienią przełamaną miejscami bursztynowymi odcieniami. Malutkie listki krzewów azalii, które ciągną

eprasa.pl f2841e161d

się szpalerami wzdłuż krawędzi trawników, zachodzą niewiarygodnie intensywną czerwienią, z dnia na dzień ciemniejszą, aż do szkarłatu i karminu. Bluszcz oplatający pnie drzew tworzy krwistoczerwone kolumny w lasach, parkach i skwerach.

Po deszczu powietrze staje się krystalicznie czyste, a każdy detal krajobrazu nabiera wyrazistości. Szczególnie pięknie wyglądają wtedy drobne, jasnożółte liście smukłych topoli, tańczące na wietrze na tle ciemnych, głęboko spękanych pni. Obok nich złocą się liście brzóz, których białe pnie kontrastują z żółcią przechodzącą miejscami w jasny brąz. Dopełnieniem tego obrazu są ciemniejące jarzębiny i rozłożyste korony potężnych wiązów, z których liście z każdym dniem opadają coraz szybciej.

Najbardziej zachwycają jednak japońskie miłorzęby. Ich korony lśnią niezwykle intensywną żółcią, która z czasem płowieje, ustępując ciepłym odcieniom pomarańczu i beżu. Spacerując przepiękną miłorzębową aleją na terenie miejscowego uniwersytetu, wydaje się, jakbyśmy poruszali się wewnątrz niekończącego się żółtego tunelu. Wydzielany przez miłorzębowe korony intensywny, cierpki, nieprzyjemny zapach nie zniechęca licznych zbieraczy małych ciemnożółtych owoców, których pestki zawierają duże ilości życiodajnych substancji.

Wreszcie, jak w całej Japonii, tak i na Hokkaido – choć przyznać trzeba, że w mniej spektakularny sposób niż choćby w Kioto i budząc mniejsze emocje – jesienne kolory *kōyō* wyrażają się również w barwach japońskich klonów *momiji* o smukłych, wielopalczastych listkach, które występują w dwóch odmianach. Pierwsza, ta najbardziej znana i podziwiana, jesienią przybiera intensywny, jaskrawoczerwony kolor, druga natomiast mieni się odcieniami żółci. Towarzyszą im klony *kaede* o szerokich, pełnych liściach mieniących się beżem i jasnym brązem. Jesienny krajobraz to również cała gama zieleni – od ciemnozielonych jodeł, przez nieco jaśniejsze świerki i cisy japońskie, których kora łuszczy się w delikatne paski o brązowych, fioletowych i szarych tonach, po jasne modrzewie.

By podziwiać tę niesłychanie kolorową mozaikę, nie trzeba wyjeżdżać z miasta. Ale prawdziwą, zapierającą dech w piersiach jesień odnaleźć można w terenie. Stąd to czas wycieczek i wspólnych wypadów, których celem jest podziwianie jesiennych krajobrazów. Połączenie indywidualnej kontemplacji ze zbiorową zabawą. Najpiękniejsze widoki rozciągają się z mostów rozwieszonych nad przełęczami i ze szczytów górskich w Parku Narodowym Daisetsuzan. To właśnie tam, w samym centrum wyspy, jesień pojawia się najszybciej. Stamtąd stopniowo rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach, i tam też najszybciej się kończy.

Jesienią powracają z mórz i oceanów łososie, bezbłędnie odnajdując rzeki, w których przyszły na świat i resztkami sił przeprawiają się w ich górę, by złożyć ikrę i dać życie kolejnym pokoleniom. To właśnie ich powrót świętują podczas uroczystej ceremonii Ajnowie, rdzenni mieszkańcy Hokkaido. Z kolei ich ogromną liczbę i wyczerpanie po długiej wędrówce wykorzystują niedźwiedzie, które polują na nie na płyciznach. Z myślą o ochronie ryb przed niedźwiedziami, a jednocześnie by zachować

eprasa.pl f2841e161d

równowagę ekologiczną, w ujściach rzek na zachodnim wybrzeżu Hokkaido, w okolicach Rumoi, Ishikari i Mashike, organizowane są niezwykłe połowy. Tysiącami odławia się tam ryby, które po wyczerpującej wędrówce są już skrajnie osłabione.

Jesień to także ostatni moment, by cieszyć się piknikami na świeżym powietrzu. Nieodłącznym elementem takich spotkań jest charakterystyczne dla Północnej Wyspy grillowanie baraniny, znane jako czyngis-chan. To również czas licznych lokalnych festynów organizowanych w szintoistycznych chramach.

W drugiej połowie listopada pojawiają się coraz silniejsze zimne wiatry z zachodu, gdzieś znad Syberii, przynoszą ze sobą ciężkie chmury, z każdym dniem coraz większe, coraz ciemniejsze, wolno sunące po błękicie nieba, zajmujące coraz więcej przestrzeni i coraz bardziej zachłannie strzegące promieni słonecznych. Potrząsają koronami drzew i strząsają liście, które szybko brązowieją i przekształcają się w zbitą brunatną masę zalegającą wzdłuż poboczy, murków, bram i krawężników. Natura jeszcze przed nadejściem monochromatycznej zimy przygotowuje wszystkich do barwnej monotonni.

Z dnia na dzień mieszkańcy Hokkaido przywdziewają cieplejsze ubrania, wysokie buty na podbiciach. Miejsce powiewnych spódnic i bluzek zajmują grube palta i płaszcze, szaliki, rękawiczki, a nawet czapki.

Czasem przyroda płata jeszcze figla, wydając na świat jeden, dwa piękne słoneczne dni, podnosi niespodziewanie temperaturę i hojnie szermuje światłem słonecznym, czym dezorientuje ludzi i wprowadza chaos w ich garderobach. Jakby dla otuchy, by pocieszyć mieszkańców Hokkaido przed nadchodzącą już wielkimi krokami zimą.

A potem zaczyna padać deszcz. Duże i zimne krople z głośnym pluskiem rozbijają się na chodnikach, maskach przejeżdżających samochodów, witrynach sklepowych. Przychodzi też pora na pojedyncze ciężkie płatki śniegu, które zupełnie jeszcze nie przypominają kształtem i rozmiarami swoich zimowych krewnych. Aż pewnego dnia spada śnieg. Ten pierwszy, niekiedy już w październiku lub na początku listopada jest wciąż wybrykiem przyrody. Białe okruchy są tylko chwilę, w okamgnieniu rozpływają się na twarzach przechodniów i na ciepłym asfalcie, by w postaci białej pary powrócić, skąd przybyły. To wezwanie do zwiększenia gotowości. Dopiero ten następny śnieg, pod koniec jedenastego miesiąca, zapowiada nadejście nowej pory roku. Szczyty wzniesień pokrywają się białym puchem, z którego sterczą, niczym gruba szczecina, gołe kikuty pni i gałęzie drzew. Wtedy też jesień dobiega końca i zaczyna się znana w całej Japonii zima na Hokkaido.

Zima, czyli *fuyu*

Wraz z nadejściem grudnia, gdy już z całą pewnością nastaje zima, śnieg poczyna sobie coraz zuchwalej. Jeszcze w pierwszych dniach miesiąca, w dość regularnym,

eprasa.pl f2841e161d

powtarzającym się rytmie, śnieg topi się, a następnie zamarza i przekształca ulice w śliskie lodowiska. Widać czerń asfaltu, brunatny brąz gnijących liści, ciemną zieleń traw. Wciąż żegna się z jesienią. Ale bardzo szybko, najwyżej dzień, dwa później biel odradza się na ulicach miasta. Z każdym dniem coraz grubsza warstwa śniegu przykrywa bielą krajobraz. I jest tak przez najbliższe pięć miesięcy, do końca kwietnia.

W telewizji emitowany jest godzinny program szczegółowo objaśniający sposoby pieszego poruszania się po ulicach, szczodrze wypełniony szczegółowymi ilustracjami najbezpieczniejszych ułożeń stóp, z podaniem optymalnych kątów, odchyleń i ich rozstawu. Gdy ogląda się to po raz pierwszy, wywołuje zdziwienie, ale jeśli niedługo później trafi się na uliczną szklankę, kilka zapamiętanych ze szklanego ekranu uwag okazuje się niezwykle przydatnych. Lecz mimo to widok przechodniów ślizgających się, histerycznie przebierających nogami, chwytających się niewidzialnych poręczy, wywijających w powietrzu rękami i wreszcie z pełnym impetem opadających na twardy chodnik staje się stałym elementem grudniowego, miejskiego krajobrazu. Tak, to już definitywny początek słynnej zimy na Hokkaido.

Krótko przed Nowym Rokiem, niekiedy na początku stycznia, zima uderza z całą swą potęgą. Miliardy płatków śniegu targane gwałtownymi podmuchami wiatru wirują w powietrzu. Sekret tutejszego zimna nie tkwi jednak w temperaturach, ale w wilgoci. To właśnie ona, przynoszona przez otaczające wyspę morza i ocean, sprawia, że chłód jest odczuwalny bez przerwy i przenika aż do kości. Na niewiele zdaje się przywdziewanie kolejnych warstw ubrań. Jedynym, skutecznym sposobem, zgodnie z japońskim przysłowiem, że to, co szkodzi, najczęściej też leczy, jest zwalczanie wilgotnego zimna… kąpielą w gorących źródłach *onsen*. Po zanurzeniu się w basenach z wulkanicznie podgrzaną, pełną mineralnych składników wodą, ciało stopniowo rozgrzewa się. Czuć, jak ciepło przenika głęboko do wnętrza, „im lepsza woda, tym głębiej", mówią miejscowi, „tym dłużej utrzymuje się ciepło".

W największych miastach nawarstwiający się puch spychany jest nocami przez wielkie, żółte pługi z jezdni na pobocza i układa się wzdłuż ulic w śnieżne hałdy. Ciężkie buldożery zagłębiają potem w nich swe paszcze i wrzucają je na ciężarówki. Ryk silników pojazdów wywożących góry śniegu na wyznaczone miejsca przerywa zwyczajową ciszę zimowych nocy.

Na początku roku nadchodzą burze śnieżne, z nieba dzień i noc sypią się płatki śniegu. Widoczność ogranicza się do kilku metrów, czasem brak jej zupełnie, znika górująca nad zachodnią częścią miasta góra Moiwa. Atmosferę białej grozy dopełnia wyjący przeraźliwie mroźny wiatr, bez przerwy zmieniający swój kierunek i chłostający mlecznobiałymi falami sypkiego śniegu. W czasie śnieżnej zadymy w ciągu kilku godzin spada kilkadziesiąt centymetrów śniegu, a miękka biała masa zakrywa prawie wszystko co stoi na ziemi, wdziera się w każdą szczelinę, w każdy otwór w ubraniu, w kieszenie, w usta, w przymrużone oczy. Na ulicach i chodnikach tworzą się wysokie zaspy, a przechodnie zaczynają stąpać gęsiego. Na nic

eprasa.pl f2841e161d

zdają się rozpostarte nad głowami parasole, śnieg razem z wiatrem mają na nie doskonałe sposoby. Na bocznych uliczkach pod zwałami białego puchu giną samochody. Przy stacjach metra spod białego puchu wystają kikuty kierownic rowerów. Stoją tak bezbronne i bezużyteczne od listopada do kwietnia, zanim po odwilży znów ujrzą światło dzienne.

Śnieżna burza kończy się równie niespodziewanie jak się zaczyna. Szary kożuch z chmur rozstępuje się i powraca błękit. W słoneczne południe śnieg skrzy się i znów podziwiać można przykryte białą pierzyną góry. Wzdłuż wybrzeża, w dolinach pomiędzy górami malutkie domki giną w bieli. Ciepłe popołudniowe słońce oświetla krajobraz, pokrywa go złocistobrązowym makijażem i na krótką chwilę świat staje się bajkową krainą śniegu, *yukiguni*. Podziwiany z wnętrza budynku świat wydaje się niezwykle spokojny, łagodny, wręcz anemiczny. Urozmaicają go ospałe zimą iście hitchcockowskie stada gorzko pokrakujących gawronów, okupujące licznymi grupami łyse gałęzie drzew i co jakiś czas, z doskonałą synchronizacją, grupowo podrywające się do krótkiego okrężnego lotu, by powrócić na poprzednio zajmowane miejsca. Jedynie szumiący i wyjący w szczelinach okiennych framug wiatr zakłóca ten ulotny, idylliczny widok i przypomina o potędze przyrody. Ulotny, bo zimą popołudnia szybko się kończą, ustępując miejsca ciemnościom.

W styczniu Hokkaido daje już pełną gwarancję, że nie zabraknie śnieżnego puchu. Wszędzie i o każdej porze. I to każdego dnia innego. Najczęściej lekkiego, sypkiego, dającego się szybko odgarnąć, a niekiedy wilgotnego, ciężkiego i kleistego, który można kroić i w postaci bloków układać w śnieżne chaty *kamakura*, kiedy indziej znowu przypominającego naelektryzowane kuleczki styropianu, lepiące się pojedynczo do ubrań i z trudem dające się strzepnąć. Taki właśnie, mający kształt owalnych kulek śnieg, gdy pada, wydaje głośny szelest, przypominający odgłosy letniej ulewy.

To właśnie puchowy śnieg sprawia, że Hokkaido jest jedną z japońskich mekk sportów zimowych, a liczne stoki od rana do wieczora wypełniają się miejscowymi i przybyłymi z całego świata amatorami śnieżnych szaleństw.

Zimą białe czapy śniegu ozdabiają rozłożyste korony świerków. Powiewy wiatru strząsają je efektowanie. Gdy śnieg jest suchy i sypki, spadające płatki przypominają iskrzący się puch, tworzący delikatną mgiełkę. Gdy nabierze on wilgoci, ciężkie czapy opadają z hukiem.

Liczne na Hokkaido wulkany najpiękniej wyglądają właśnie zimą. Wierzchołki tych nieczynnych przez kilka miesięcy przykrywa gruba warstwa białego śniegu, z oddali wyglądająca jak siwizna na czubku stożkowatej głowy. Równie piękny jest ciągle dymiący stożek Shōwa-shinzan, na którym śnieżne łaty przeplatają się jak w patchworku z pomarańczowo-brązowym żlebami.

Zima to również okres, gdy nad północne wybrzeże Hokkaido z Morza Ochockiego napływają wielkie kry, zakrywając szczelnie powierzchnie słonej wody i zapewniając główną atrakcję w tej części wyspy – przybrzeżne wyprawy lodołamaczami.

eprasa.pl f2841e161d

Pomimo srogości, zima jest również porą radosnych festiwali. Najbardziej znane odbywają się w jej stolicy. Otwiera je w połowie listopada iluminacja centralnej alei Parku Odori i prostopadłej do niej ulicy prowadzącej do stacji kolejowej, czyli *Sapporo White Illumination*. Błyszczące światełka tysięcy żarówek skrzą się w zimowym powietrzu i odbijają na ośnieżonych ulicach. Niedługo potem tuż obok wieży telewizyjnej w centrum miasta startuje miesięczny Monachijski Jarmark Bożonarodzeniowy. Prawdziwy zimowy karnawał rozpoczyna się w drugim tygodniu lutego i trwa kolejny tydzień. To znany na całym świecie Festiwal Śniegu i towarzyszący mu mniejszy Festiwal Lodu. Na wspomnianej już alei w Parku Odori i w innych miejscach Sapporo powstają wielkie kilkunastometrowe rzeźby ze śniegu.

Przedstawiają znane na całym świecie budowle, portrety popularnych postaci, obrazują to, o czym głośno było w poprzedzającym roku. Wielotonowe śnieżne konstrukcje tworzone są z niesłychaną starannością, z zachowaniem zadziwiającej precyzji. Obok licznego grona wolontariuszy, głównymi budowniczymi są żołnierze japońskich sił samoobrony stacjonujący na Północnej Wyspie, zaprawieni w zmaganiu ze śnieżnym żywiołem. Śnieg do budowy rzeźb dowozi się z otaczającej miasto równiny Ishikari. Wraz z rozpoczęciem festiwalu Sapporo staje się stolicą całego archipelagu. Odwiedza je ponad milion turystów, najświeższe doniesienia pojawiają się w ogólnokrajowych wiadomościach, a piękno rzeźb jest na ustach wszystkich. Gdy wreszcie festiwalowe szaleństwo dobiegnie końca, miasto znowu nagle robi się ciche, a jego mieszkańcy powracają do późnozimowej nostalgii.

Są też dziesiątki mniejszych, lokalnych wydarzeń. Odnaleźć je można w każdym zakątku zimowego Hokkaido. Jednym z nich jest Festiwal Lodu Jeziora Shikotsu znanego z niezwykłego jasnobłękitnego koloru wody. W czasie dnia ten sam kolor zachowują lodowe konstrukcje, które w nocy rozbłyskują dziesiątkiem intensywnych barw i wraz z długimi cieniami nadają miejscu magiczny, ale ciepły charakter.

Raz, dwa razy w roku przychodzi okres, gdy wydaje się, że zima nigdy się nie skończy. Śnieg pada wtedy nieprzerwanie przez dwa, trzy dni i tyleż nocy. Nikt nie nadąża z odśnieżaniem, mniejsze drogi robią się całkowicie nieprzejezdne, autostrady są zamykane, loty i przeprawy promowe odwoływane. Ustaje codzienna walka z żywiołem, rodzi się coś jakby uległość, niekiedy nawet odrętwienie. Im bliżej środka wyspy, tym mocniejsze, bo więcej tam śniegu, opady dłuższe, mroźniejszy klimat i mniej światła. To właśnie tam, w okolicach miasta Asahikawa, japońskiego bieguna zimna, temperatura potrafi spaść poniżej minus 25 stopni, tam niekiedy w wielometrowych śnieżnych zaspach nikną domy, i – by przeżyć – trzeba mozolnie wykopywać śniegowe tunele. To najtrudniejszy okres w całym roku. Lecz właśnie wtedy, gdy już wszyscy, zmęczeni pięciomiesięczną monotonią tracą nadzieję, wychodzi słońce i zaczyna powoli topić jęzory śniegu i lodu. Kończy się kwiecień i w powietrzu czuć już nadejście długo oczekiwanej i zawsze spóźnionej wiosny.

CDN.

eprasa.pl f2841e161d

Beata Kurek

Jana Vermeera Kobieta w niebieskiej sukni

Stoi przy oknie
Czyta list
Historycy sztuki do dzisiaj
nie mają pewności
czy fiszbinowa konstrukcja
po której spływa niebieska tkanina
zakrywa jedno
a może dwa ciała?
Niebieska czy zielona?
I co to za list?

Patrząc na jej pochyloną głowę
światło bijące z twarzy
wiem że właśnie wybiera imię
planuje mu dobre życie
i spokojny sen
nad którym już teraz czuwa
opierając rękę na brzuchu

***
Roztrzęsłam się
Spadł mi poziom cukru
piję kolejną kawę
wielosłodzoną
bo nie wymyślili jeszcze
ekstraktu z ciebie

Może to nawet lepiej
mam cię na języku
tylko dla siebie

eprasa.pl f2841e161d

***
Myślisz że omijasz śmierć
ale tak naprawdę
z każdym obrotem globu
jej cieniutkie włosy
owijają się wokół
twoich kostek
i powoli sięgają wyżej
Tego rodzaju kokon
powstaje najciszej

Galaktyka strachu

Teraz jesteś
Nawet kiedy osobno
to nadal mogę wysyłać
myśli do ciepłej
gwiazdy obecności
Kiedy znikniesz
moje uczucia będą
jak kosmiczne odpady
krążące w braku powietrza
o najniższej energii

Przedwiośnie

Namaszczenie piór po zimie
wymaga rozbicia lodu
i dostępu do wody
żebym mogła od nowa
unosić się
na powierzchni
twoich ust

eprasa.pl f2841e161d

ESEJ

Anna Kalinowska

Osiem desek cztery łapy

W samo południe 23 lutego 1927 roku czterej narciarze stanęli na oblodzonym szczycie Howerli – najwyższej góry w pasmie Czarnohory. Towarzyszył im czarny pies rasy wilczur. Śmiało można założyć, że to pierwszy pies, który wdrapał się na szczyt i to w zimowych warunkach. W przedwojennym albumie czarno-białe, przez czas sfatygowane zdjęcie dokumentuje scenę finału narciarskiego rajdu studentów Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego. Dzielni chłopcy pokonali na nartach rekordowy dystans ponad 1000 km na szlaku wzdłuż Kresów Wschodnich II Rzeczpospolitej. Od Suwałk aż po Worochtę – modny kurort w Karpatach.

Jednym z czwórki uczestników tego wyczynu określanego przez ówczesną prasę „wielkim sportowym wydarzeniem roku 1927" był mój ojciec Adam Kalinowski. W ćwierć wieku później ja – sześciolatka ciekawa świata – męczyłam tatusia prośbami, aby zamiast bajek na dobranoc opowiadał mi przygody z tej narciarskiej wyprawy. Mogłam słuchać bez końca, zwłaszcza od momentu, kiedy w zespole rajdowym pojawił się pies. Dwóch z rajdowych kolegów taty – Konstantego Pietkiewicza zwanego Kostkiem oraz Julka, czyli Juliana Kozłowskiego – poznałam ze zdjęć z albumu. Obaj zginęli podczas wojny. Czwarty z narciarzy z fotografii na szczycie Howerli – Jan Lechowski – często bywał u nas w domu. Słuchając opowiadań taty, łatwo więc mogłam sobie wyobrazić każdego z ich bohaterów. Mnie jednak najbardziej intrygował pies. Jak i skąd się ten wilczur (jak ówcześnie nazywano psy w typie owczarka niemieckiego) pojawił?

Zacznijmy od tego, że koszty trwającego trzy tygodnie rajdu, nawet w bardzo spartańskich warunkach, przekraczały możliwości studenckiej kieszeni. Ponieważ cel był szczytny – popularyzacja sportu narciarskiego także i w odległych częściach kraju – Adam, Jan, Kostek i Julian, mianowany kierownikiem rajdu, zostali przez rektora PIWF-u zaopatrzeni w urzędowy list polecający. Dokument ten zalecał „miejscowym czynnikom" na trasie otoczenie sportowców opieką i zapewnienie miejsca nocnego odpoczynku. Na początku wyprawy na ten apel gościnnie odpowiedział właściciel pewnego ziemiańskiego dworku otoczonego parkiem. Kiedy ugoszczeni narciarze ruszyli dalej, psy gospodarza odprowadziły ich aż do bramy parku i grzecznie zawróciły do domu. Oprócz jednego. Ten uparł się iść dalej z narciarzami. Czarny wilczur dołączył do grupy i za nic nie dał się odpędzić.

eprasa.pl f2841e161d

W końcu sprytnie ich oszukał. Niby zawrócił do dworku, ale gdy uszli już parę kilometrów, wilczur zdyszany i zadowolony z siebie ich dogonił. Nie mieli wyjścia. Pies postawił na swoim. Nazwali go, co oczywiste, Rajd. Szczególnie blisko związał się z Kostkiem. Kostek dzień w dzień troszczył się o nowego przyjaciela. Starannie opatrywał mu łapy pokaleczone igiełkami zmarzniętego śniegu i nawet sprokurował ochronne psie „buty" z uciętego w tym celu rękawa swojej koszuli flanelowej. Było to duże poświęcenie, bo jedna ręka marzła bardziej, ale i pies umiał się Kostkowi odwdzięczyć. Na dowód, że ciepłe relacje między psem a „jego" człowiekiem były obustronne, spróbuję odtworzyć z pamięci stosowną historię z tatusiowych opowiadań na dobranoc.

Mróz był dokuczliwy, blade zimowe słońce chyliło się już ku linii horyzontu, zmarznięty śnieg stawiał opór nartom, a oni, po nieprzespanej nocy, gdy we wsi odmówiono im noclegu, mieli już pięćdziesiąt kilometrów w nogach. Byli wpółżywi ze zmęczenia, kiedy nagle poczuli zapach dymu z kominów. Widok wsi, pierwszej po wielu godzinach marszu przez śnieżne pustkowie, przywrócił im siły. Nadzieja noclegu i gorącej zupy sprowokowała całą czwórkę narciarzy do wymiany marzeń kulinarnych. Krupnik, a może zalewajka na wędzonce? Lepiej barszcz lub kartoflanka. Rajd, który wlókł się na końcu z opuszczonym ogonem, teraz wysforował się na przód grupy.

Zatrzymali się przed dostatnio wyglądającą chałupą z tabliczką „Sołtys". Julian odpiął narty, wyciągną z kieszeni list polecający od rektora i zastukał do drzwi. Cisza. Jeszcze raz, już bardzo mocno. Nic. Zastukał w okno. Po dłuższej chwili drzwi się uchyliły. Ukazała się otulona kraciastą chustą baba, dzierżąc w dłoni bojowo skierowaną miotłę. Zniechęcającym tonem oświadczyła:

– Sołtysa nie ma w domu. A ja tu nikogo do chałupy nie wpuszczę. Już tu we wsiach ludzie gadają, że jak tylko te łapserdaki na deskach gdzieś się pojawią, to krowy mleka nie dają, kury jaja tracą, konie ponoszą. Wynosić mi się stąd!

Po tej tyradzie groźnie zamachała miotłą nad głową Julka. Nieustraszony kierownik odważnie podsunął sołtysowej pod nos list rektora.

– Niech pani gospodyni łaskawie popatrzy – zalecenie władz, prośba o udzielanie pomocy sportowcom, którzy…

Nie dokończył, zakrzyczany przez sołtysową:

– A pudzies! Co mi tu pismem macha, ja nie cytata, nikogo też słuchać mi nie trzeba, darmozjadów pasać nie będziem. Nikt takich cudaków we wsi nie przyjmie. Nie macie tu czego szukać. Wywrotowcu jedne! A pudzies!

Kostek włączył się ugodowo:

– My nie chcemy wiele. Tylko przenocować. A za strawę zapłacimy.

Sołtysowa wzruszyła ramionami i pogardliwie odkrzyknęła:

– Już ja widzę to wasze płacenie! Co mi tu będzie gadał… My miejscowi ludzie ubodzy, komora pusta, sami głodujemy. A wy tu szpiegujecie, co by nam jeszcze zabrać?

eprasa.pl f2841e161d

Słysząc, że urzędowa prośba rektora nie przyda się nawet psu na budę, Janek zaapelował do serca groźnej sołtysowej:

– Pani gospodyni, nic nie chcemy zabierać nikomu. Odwrotnie. Dajemy przykład korzyści, jakie można mieć z nart. A wy pozwólcie nam przenocować w jakimś ciepłym kącie. Całą dobę wędrowaliśmy… Miejcież choć trochę serca.

Sołtysowa nieco zmiękła.

– Do chałupy was, odmieńce, nie wpuszczę. Na sianie na stryszku obórki możecie zalegnąć. I przed świtem was tu nie ma.

Huknęła drzwiami i po chwili relacjonowała mężowi wyniki spotkania z narciarzami. Wszystko słychać było przez ścianę, jako że sołtysowa darła się głośno, co wskazywało, że mąż jest przygłuchy.

Sołtys pochwalił żonę:

– Nie trzeba nam tu obcych – oszustów i wichrzycieli, co to by chcieli miejscowym w głowach mieszać. Żeby tylko nic nie wyszpiegowali.

Noc nie należała do najprzytulniejszych. Mróz był siarczysty. Wgramolili się na niski stryszek obórki główkując, jak wciągnąć tam psa. Problem rozwiązał sam Rajd – jednym susem znalazł się na górze i zabrał się do rozkopywania siana. Umościli się w wydrapanej jamie razem z Kostkiem i przytuleni ogrzewali się wzajemnie… Julek obudził wszystkich jeszcze przed świtem i zarządził natychmiastowy wymarsz, żeby nadrobić stracony czas oraz znaleźć nocleg w bardziej gościnnej okolicy. Utraciwszy nadzieję na zupę, marzyli choćby o kawałku chleba. Adam dobił ich jeszcze mówiąc, że jak w nocy wyszedł za potrzebą, to zobaczył postać z latarką w jednej i rzeźnickim nożem w drugiej ręce. Przeraził się, że gość idzie, aby ich zaszlachtować, ale ten podszedł prosto do drzwi w przybudówce ganku. Otworzył drzwi szeroko i oświetlił wnętrze latarką. W jej świetle Adam zobaczył, jak tam z belki u powały na hakach zwisały połcie słoniny, pęta kiełbas i co tam jeszcze wyrabia się po świniobiciu. Adamowi zrobiło się mdło z głodu. A ten gość to z pewnością był ten niby nieobecny sołtys. Przygłuchy szczęśliwie nie słyszał, jak Adamowi w brzuchu burczy.

Ruszyli w milczeniu, chcąc jak najprędzej opuścić niegościnne strony. Odeszli już sporo od wsi, kiedy Kostek krzyknął dramatycznie:

– A gdzie pies? Trzeba tu poczekać, a jak za chwilę się nie pojawi, muszę po niego wrócić!

Julek był przeciwnego zdania:

– Idziemy dalej. Straciliśmy już sporo czasu. Pies jak zechce, sam nas znajdzie. A nie wykluczam, że znów znalazł sobie nowych kompanów.

Kostek był zrozpaczony. Zabolała też uwaga Juliana sugerująca ewentualną zdradę Rajda. Ale szef to szef. Ruszył niechętnie, ciągle oglądając się za siebie.

Byli głodni i zziębnięci, słońce zasłaniał strop z burych chmur. Ale najbardziej bolała ta nieufność, a nawet złośliwa niechęć mieszkańców tych okolic. Kryzys kiełkujący już od pierwszego dnia na Wołyniu, kiedy to leśniczy odmówił noclegu,

eprasa.pl f2841e161d

zmuszając zmordowanych narciarzy do nocnej jazdy, narastał z każdym następnym przejawem nieżyczliwości i osiągnął teraz apogeum. Po co ten cały wysiłek? A rzucić to wszystko, zdjąć narty i do domu... Kostek czuł, że jeszcze chwila i się rozpłacze. Do tego dołożył się i żal, że nawet ten bliski mu pies teraz też ich opuścił. Ciągle bolały go słowa Julka. Nie chciał wierzyć, że Rajd wybrał innych. Obawiał się czegoś jeszcze gorszego. Mógł psa skrzywdzić ktoś z tej ponurej okolicy. Trudno. Trzeba zacisnąć zęby. Nie jest tu dla opieki nad zwierzętami. Mają ważny sportowy cel do osiągnięcia. Sunęli więc, ale bez zapału. Niespodziewanie Kostek wyhamował, z całej siły wbijając kijki w śnieg. Tym razem nie posłuchał Juliana. Chcąc nie chcąc, zatrzymali się wszyscy. Odwrócili się, jakby coś im kazało spojrzeć za siebie. Niegościnna wioska ledwie majaczyła w szarości zimowego poranka, kiedy od tego powoli jaśniejącego tła oderwał się ciemniejszy obiekt. Zapadając się, to wynurzając ze śniegu, zmierzał w ich stronę. Za chwilę nie było wątpliwości – to pies! Zaczęli wołać niemal chórem:

– Rajd, Rajd!

Przyzwyczaili się, że na dźwięk swojego imienia Rajd radośnie poszczekiwał. Tym razem cisza. Kostek usprawiedliwiał brak odpowiedzi:

– Łajza jedna, wstydzi się, że nas zgubił.

Nagle zauważył:

– On coś niesie w pysku. Jak ma szczekać?

Za parę minut Rajd już opierał łapy na ramionach Kostka. W nienaturalnie rozdziawionej paszczy błyszczały zęby zaciśnięte na podwójnym pęcie kiełbasy. Z kiełbasy zwisał sznurek, a na końcu sznurka telepał się hak z wielką drzazgą wyrwaną z drewna belki. Musiał być w nią głęboko wbity. Kostek z tryumfem spojrzał na Juliana, po czym pęto kiełbasy, które Rajd oddal mu bez protestu, podniósł w górę jak wieniec laurowy zwycięscy.

Julian nic nie powiedział, tylko z kieszeni kurtki wyjął scyzoryk i podzielił zdobyczną kiełbasę na pięć równych części. Tę ze śladami psich zębów Rajd połknął jednym klapnięciem szczęki. Delektowali się każdym kęsem, a każdy kęs poprawiał im nastrój. Pozostała jednak nierozwiązana zagadka: jak Rajdowi udało się upolować taką zdobycz. Teorii było kilka, ale przyjęto wersję najbardziej prawdopodobną. Rajd musiał wsunąć się do spiżarni za sołtysem, kiedy ten nocą przyszedł sobie połasuchować. W panującym w spiżarni mroku nie zauważył warującego za beczkami z kapustą czarnego psa. Ten, kiedy został sam, podskakując – a jak wysoko potrafi, dowiódł już parę razy – uwiesił się zębami na kiełbasie. W końcu wyrywał hak z nadpróchniałej belki. Może i coś jeszcze zwędził, kiedy uwięziony w spiżarni czekał na okazję ucieczki. Gdy tylko drzwi się uchyliły – zapewne zrobiła to sołtysowa –jednym susem, nie wypuszczając zdobyczy z zębów, wyskoczył ze spiżarni i pognał za nimi.

– To ma na sumieniu kradzież – odezwał się moralizatorsko Jan.

Kostek nie miał wątpliwości co do dobrych intencji Rajda.

eprasa.pl f2841e161d

– E tam, żadne złodziejstwo. Po prostu pies wziął rewanż za to, jak nas potraktowano.

Wszyscy parsknęli śmiechem i ruszyli dalej, dworując sobie, że muszą zwiększyć tempo, aby wymknąć się pogoni sołtysowej z miotłą. Słońce przebiło się przez chmury, śnieg był nośny i po paru godzinach opuścili niegościnne strony, przekraczając niewidzialną granicę Małopolski Wschodniej, czyli dawnej Galicji. Tam już w każdej miejscowości, przez którą wiodła trasa rajdu, nie mówiąc już o Lwowie i Stanisławowie, witano narciarzy z honorami i zapewniano serdecznie wikt i opierunek także i dzielnemu psu. Ale to już kolejne historie z tatusiowego „mówionego serialu" na dobranoc.

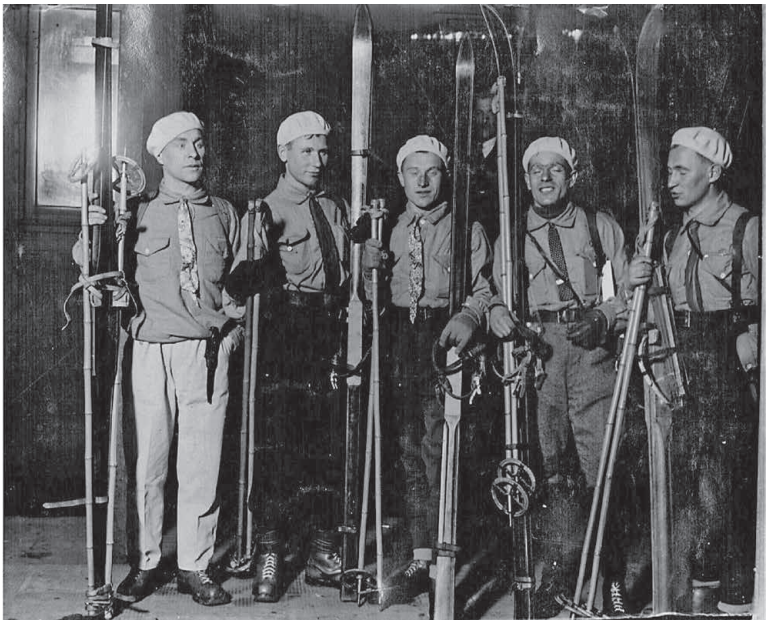

Uczestnicy rajdu narciarskiego, 1927 rok.

eprasa.pl f2841e161d

FELIETON

Witold Kaliński

W dolinie Popradu

Na łamach polskich czasopism – i w kuluarach – trwa niegłośna dyskusja o tym, jak wspierać publikacje (i czasopisma) humanistyczne. Czy humaniści powinni pisać artykuły i książki w języku polskim (nieco prowincjonalnym, aczkolwiek „lubianym" przez AI), czy też po angielsku, a raczej – po amerykańsku.

Tymczasem w ustroniu o wiele głębszej prowincji autorzy amatorzy historii nie mają wyboru. Dysponują głównie polszczyzną, z nalotem nienachalnej gwary. Myślę o dolinie Popradu, rzeki cokolwiek niewiarygodnej, skoro „powinna" płynąć do Dunaju, a „się przełamała" i skierowała ku Wiśle.

Przełomy są dwa: najpierw Poprad, odbity przez Góry Czerchowskie (Słowacja) zmienia kierunek na północny, a po niewielu kilometrach, gdy pokonuje graniczne Beskidy, tworzy pełen uroku przełom pomiędzy miasteczkami: Muszyna i Piwniczna-Zdrój. W centrum owego zjawiska sytuują się dwie Łopaty: Łopata Słowacka i Łopata Polska (obie zawdzięczają swe istnienie meandrom górskiej rzeki) oraz nabierający nowej urody Żegiestów-Zdrój. Wspomnimy tu o dwu książkach, wydanych niemal równocześnie, a odmiennie przybliżających historię i współczesność tego niewielkiego regionu.

Że wieś Żegiestów istniała znacznie dawniej niż dziewiętnastowieczny Zdrój, zacznę od publikacji Henryka Czerwińczaka, wieloletniego tutaj sołtysa. Książka nosi tytuł *Żegiestów. Między pasterską chatą a uzdrowiskiem*. Jest to próba połączenia zbieranej latami wiedzy o dziejach wsi z usilnym, godnym uznania dążeniem do zapisania imion i nazwisk osób, które tu żyły, czy to tworząc substancję wsi, czy też działając na pobliskich urzędach. Żałować można, że autor nie położył akcentu na żywe wspomnienie uczestnika – przecież Henryk Czerwińczak urodził się w Żegiestowie i tu dorastał – co byłoby równie cenne, jak podjęta próba „przecedzenia" biografii, byśmy jej śladów domyślali się w zapisie ludowych obrzędów. Czytelnik chętnie dowiedziałby się, jak dorastał i dojrzewał autor, co z prac i obyczajów wyniósł dla siebie, jak go kształtowały. Jednak zamiar autora jest inny: oddać choć cząstkę sprawiedliwości każdemu, czyj głos „woła do nas z oddali". I to jest cenny gest.

Historyk amator ma trudność, gdy dokonuje wyboru jakiejś tezy, a nie ma możliwości uzasadnić swej decyzji. Czy istniało plemię Wiślan? Jak mogło istnieć „tu", skoro „około XII wieku rozpoczął się pierwszy etap osadnictwa na tych terenach"?

eprasa.pl f2841e161d

Trzy strony dalej czytamy: „najwcześniejsze ślady osadnictwa w regionie sięgają X wieku, o czym świadczą liczne znaleziska archeologiczne związane z Rusinami-Chorwatami, uważanymi za domniemanych przodków współczesnych Łemków". Jednak mało kto uważa „przedhistorycznych" Chorwatów za etnicznych przodków późniejszych Rusinów, którzy tu napływają z południa karpackim szlakiem 500 lat później. Sprawy zapewne wyglądały nieco inaczej, choć genetyka historyczna ciągle nas zaskakuje.

Liczne i cenne ilustracje, acz nieco zamglone, dowodzą po równo z tekstem staranności autora przy gromadzeniu materiału. Ta tendencja jest zresztą szeroko dziś obecna. Mnożą się opowieści o tej czy innej wsi, skoro i życie „ludzi prostych" stało się ważnym tematem tworzonej historii w jej różnych, odkrywczych, a czasem modnych ujęciach. Dobrze, że Henryk Czerwińczak znalazł wśród trudów życia czas na ujawnienie zasobów swej pamięci.

Co ciekawe, praca o Żegiestowie ma tę cechę, że dzieje uzdrowiska wtapia w narrację o wsi, przez co zanika narzucające się skądinąd wrażenie, że Żegiestów-Zdrój i Żegiestów-wieś to dwa faktycznie odmienne organizmy, nie tylko powstałe i rozwijające się w innym czasie i według całkiem odrębnych „zasad", istotowo różne pod względem kultury (w Zdroju polska, we wsi przez setki lat łemkowska), tyleż współżyjące, co i wzajem zdystansowane; czasem – sobie niechętne. Prawda, dziś jest to jedno sołectwo, wykraczające ramionami osiedli w dół i w górę Popradu. Prawda, dziś jedno wyznanie rzymskie (ale dwa budynki kościelne). Lecz wiele różnic. Te zaznaczą się w innym opracowaniu.

Krzysztof Płowiec, drugi z prezentowanych tu autorów, napisał zatem *Żegiestów-Zdrój. 1846–2026. Od odkrycia źródeł do nowoczesnego uzdrowiska*, pracę elegancko wydaną przez Towarzystwo Przyjaciół Doliny Popradu, nawiązujące swą nazwą do poważnego stowarzyszenia, zawiązanego w latach trzydziestych minionego wieku, a grupującego wpływowe osoby z całej Polski.

O żegiestowskim Zdroju napisano wiele popularnych książek i artykułów, obfitujących w niemało opisów zdrowotnych walorów wód tam płynących, a nareszcie – anonsów o słuszności i kosztach pobytu. Książka Krzysztofa Płowca znacznie się od nich różni. Poprzedzona wprowadzeniem Diany Dryglas (AGH), poświęca kolejne rozdziały na systematyczne, wnikliwe omówienia – etap po etapie – faz rozwoju (i kryzysów) uzdrowiska, leżącego dwa kilometry od wylotu łemkowskiej wsi, a wbitego w stromą górską formację, dominującą nad wijącym się Popradem. Starannością dokonanej kwerendy znacznie przekracza swe poprzedniczki; niektóre oswojone lokalnie opowieści kwestionuje.

Światło pada na „agentów historii", osoby rzeczywiście sprawcze: na inwestorów, badaczy wód zdroju, organizatorów przedsięwzięcia. Nazwiska kolejnych właścicieli: Medweckich, Krukierków, ostatnio – Cecchinich stanowią punkty skupienia narracji. Szerszy kontekst historyczny dobrany jest starannie, uwzględnia to, co niezbędne w przebiegu wykładu. Najsłuszniej autor uznał za istotne zejście do

eprasa.pl f2841e161d

szczegółu. Są tu więc i cenniki pobytu, i reklamy Zdroju, i architektoniczne szkice ważniejszych budowli. Jest kilkanaście dokumentów i kilkadziesiąt kart widokowych (pocztówek), czasem z ożywiającym widoki tekstem dawnych nadawców, spoglądających na nas z wieku XIX.

Lektura książki pozwala ujrzeć, jakimi drogami – wśród perypetii historii oraz kryzysów ekonomicznych, lecz przez dłuższy czas z dala od wojen – powstało i mogło się rozwijać niewielkie zrazu uzdrowisko. Jak w kropli wody odbija się w opowieści Krzysztofa Płowca historia wielu podobnych inicjatyw. Odbrzmiewają w opowieści podobne dzieje poszczególnych manufaktur i fabryk, przedsiębiorstw rolnych i banków. A na pewno – innych uzdrowisk.

Mamy tu „lata pionierskie" Żegiestowa-Zdroju do 1866 roku, rozwój uzdrowiska równoczesny z pozyskaną autonomią galicyjską, zaś po Wielkiej Wojnie, czyli po roku 1918 – wejście w świat spółek kapitałowych i rosnącego zadowolenia – krótkotrwałego przecież – z odzyskanej niepodległości. Nastąpiła tragedia cywilizacyjna w latach 1939–1947, po niej wywłaszczenie właścicieli pensjonatów, ale i znaczny sukces demokratycznego bez wątpienia Funduszu Wczasów Pracowniczych. Po latach, wraz ze zmierzchem PRL-u, przyszło załamanie FWP, wieloletni znów kryzys, a dziś imponująca odbudowa i powiększenie substancji uzdrowiskowej w rękach kolejnego prywatnego inwestora. Nie licząc kryzysów, pięć znaczących faz istnienia, a każda inna. Szósta się rozpoczyna.

Już choćby z tego powodu, a więc nie będąc (jeszcze) entuzjastą doliny Popradu, czytelnik ma powód sięgnąć po książkę Krzysztofa Płowca. A przecież i zamieszczone w niej fotografie mają walor dokumentu. Liczne zdjęcia czarno-białe snują opowieść mijającego czasu, a piękne fotosy barwne stanowią same w sobie promocję fascynującej cząstki Beskidów.

Walorem opracowania jest uchwycenie równowagi między esejem historycznym a oświetleniem kulturowym, krajoznawczym i – na koniec – balneologicznym. Esej ten, napisany przez amatora w najlepszym z sensów tego słowa, jest dziełem wnikliwym, uważnym dla faktów, powściągliwie miłosnym.

I na koniec: dlaczego zwróciliśmy uwagę na publikacje, skierowane w zasadzie do lokalnego odbiorcy? Niepokoi nas bowiem szalona dowolność opinii i ocen, zazwyczaj nie znoszących sprzeciwu, a bałamutnych – w lokalnych wydawnictwach. W stopniu najwyższym dotyczy to tekstów o dziejach ostatniej wojny, gdy liczby mniemanych partyzantów rosną wielokrotnie, a konfidentów – maleją do zera. Jak napisała pewna kobieta w podaniu o przyjęcie do ZBoWiD-u: „Co właściwie chcecie ode mnie nic mi nigdy nie udowodnicie, ja mam bogatą przeszłość okupacyjną, mnie chyba Pan Bóg będzie świadkiem, bo ograbiłam tylko 6 osób" [autentyczne]. Jak jednak bez krytycznej lektury oddzielić dobrą opowieść od komiksu, nie wiadomo. Jak zapobiec pedagogice, fundowanej na fałszywych wzorcach – również. Tym bardziej warto odnotować książki wartościowe.

eprasa.pl f2841e161d

Małgorzata Kulisiewicz

Bard

Jeden ze znajomych Inge Lammel, włoski etnomuzykolog, działający w ruchu odrodzenia folkloru Sergio Liberovici zaprosił mnie do udziału w międzynarodowym festiwalu Musiche della Resistenza, Muzyka Ruchu Oporu, który miał się odbyć w Teatro Comunale di Bologna w kwietniu 1965 roku. Inge wysłała do Sergio moje nagrania z warszawskiego radia. Posłuchał i zafascynował się pieśniami.

Pożyczyłem autentyczny pasiak od znajomego, byłego Häftlinga z Krakowa, i kupiłem bilety na pociąg. Basia postukała się w głowę.

– Kiciu, nie wierzę w twoją karierę.

– Basiu! Ale przecież ja nie dla kariery i tym bardziej nie dla pieniędzy będę śpiewał!

– Mam nadzieję, Kiciu, że nie planujesz teraz co chwila wyjeżdżać, bo ja tego nie zniosę…

I Basia wykrakała, bo śpiewanie zaczęło się na dobre. Musiałem jeszcze załatwić paszport, który, jak się okazało, miał być ciągle potrzebny, i włoską wizę. W zorganizowaniu ich pomógł mi Staszek Hadyna, który był w partii. Staszek kibicował mi.

– Dobrze, że coś robisz. Nie marnujesz życia. Pozwiedzaj trochę Włoch, bo to znakomita okazja. I nawiąż znajomości, żebyś mógł nadal wyjeżdżać.

– Ty wspaniale się realizujesz, Stachu, więc i ja muszę.

Kilka dni później, wieczorem, byłem już w Bolonii. Sergio Liberovici i Margot, jego żona, pieśniarka, odebrali mnie z dworca, odwieźli do hotelu i zaprosili na następny dzień na próbę do teatru. Italia przywitała mnie znakomitą pogodą, choć był dopiero początek kwietnia. Rozświetlone miasto aż zapraszało do wieczornego spaceru. Mieszkałem w hotelu niedaleko głównego miejskiego placu Piazza Maggiore. W pobliżu znalazłem wąską uliczkę Via Pescherie Vecchie. Były tam restauracje i knajpki, które oferowały proste przystawki, lokalne sery, szynki i wino. Znakomite miejsce na kolację w przepięknej scenerii. Byłem zachwycony – proste, lokalne produkty, do tego niesamowita atmosfera. W naszym socjalistycznym kraju tego nie było.

Następnego dnia rano zobaczyłem Bolonię w całej okazałości. Plac miejski Piazza Maggiore na tle malowniczych wzgórz, domy z pomarańczowej cegły, kopuły kościołów, labirynty ulic, słynna fontanna, symbol miasta, na Piazza del Nettuno.

eprasa.pl f2841e161d

Posąg Neptuna, jego trójząb, widziałem już w logo Maserati, bolońskiego producenta ekskluzywnych samochodów. Oprzytomniałem trochę z zachwytu i udałem się spacerowym krokiem w kierunku Piazza Giuseppe Verdi, przy którym znajdował się Teatro Comunale. Zaraz miała się zaczynać próba. Sergio i Margot przywitali mnie serdecznie i zaprosili do dołączenia do grona osób, które już czekały. Mówiłem po włosku, ale najlepiej porozumiewałem się w języku niemieckim i ku mojemu zaskoczeniu było tu kilka osób, takich jak Dieter Süverkrüp z Düsseldorfu czy Fasia Jansen i bracia Konrad z Hamburga, z którymi mogłem mówić w tym języku. Od razu zaprzyjaźniłem się z nimi, szczególnie z Dieterem. Clebert Ford i Harold Bradley, pochodzący ze Stanów, długo już występowali we Włoszech. Byli to pieśniarze folkowi, którzy próbowali sił również w aktorstwie. Z Cyganem Vasic Zivan Giką, gitarzystą, pieśniarzem i kompozytorem, który pochodził z Jugosławii i wyemigrował na stałe do Paryża, też dało się dogadać po włosku. Zaczęliśmy próbę, każdy miał ze sobą gitarę. Sergio przedstawił nam Lamberto Trezziniego, jednego z dyrektorów Teatro Comunale, który miał razem z nim zapowiadać i prezentować artystów. Lamberto chciał nas poznać, zobaczyć, co zaśpiewamy. Sergio przedstawił szczegółowy program i okazało się, że ja występuję trzeciego dnia, w niedzielę 11 kwietnia razem z Clebertem Fordem i Margot. W tej części znana aktorka z Bolonii Luciana Negrini miała czytać, między naszymi występami, *Listy skazanych na śmierć rebeliantów*, całość tworzyła więc coś w rodzaju spektaklu. Wszyscy mieli przygotowane pieśni partyzanckie, rewolucyjne, antywojenne, obozowe lub nowe utwory, napisane specjalnie, o podobnym rezonansie lub stylu. Zaczęła Fasia, śpiewała swoim niskim fascynującym głosem pieśń *Spalona ziemia w Niemczech*, towarzyszyli jej trzej młodzi bracia Konrad, którzy grali na gitarach. Dziewczyna była piękną Mulatką, jak się okazało córką afrykańskiego dyplomaty. A pieśń miała być sprzeciwem wobec atomowego wyścigu zbrojeń.

Nagle wpadła do sali prób grupa ludzi mówiących podniesionymi głosami po słoweńsku. Jeden z mężczyzn dźwigał akordeon. Był to chór Coro LIPA Di Ajdovščina, jego opiekun i dyrygent mówił po włosku. Po zajęciu miejsc i wysłuchaniu najważniejszych informacji uciszyli się w końcu. Sergio opowiadał o naszym tournée, mającym nastąpić zaraz po występie w Bolonii. Mieliśmy w ramach festiwalu odwiedzić kilkanaście mniejszych miast na północy Włoch i zakończyć nasze koncerty w Turynie 25 kwietnia, akurat w 20. rocznicę wyzwolenia północnej Italii spod faszyzmu. Włosi w tym dniu świętowali, był to dzień wolny od pracy, organizowali marsze i parady, spodziewaliśmy się więc dużej publiczności. Scena miała być na powietrzu, na słynnym Piazza San Carlo. Poczułem się w swoim żywiole. Nareszcie pieśń Rosebery d'Arguto dotrze do wielu ludzi. Mieliśmy jeszcze dwa dni prób przed inauguracyjnym występem, jak się okazało, bardzo potrzebnych.

Sergio i Margot zaprosili mnie na kolację u nich w domu. Tam dowiedziałem się wielu nowych rzeczy o śpiewaczce. Naprawdę nazywała się Margherita Galante Garrone i była córką bohatera ruchu oporu, po wojnie sędziego i historyka. Jej

eprasa.pl f2841e161d

mistrzami byli francuscy bardowie Georges Brassens i Boris Vian. Razem z Sergio Liberoviciem i Fausto Amodeim należała do muzycznej grupy Cantacronache, która była popularna wśród młodzieży włoskiej. Ja z kolei opowiedziałem im większość swoich obozowych historii. Wspomniałem też o Rosebery d'Arguto i jego duchowym testamencie.

– A ty wiesz, Aleks, że ja jestem też z pochodzenia Żydem?

– W wieku czternastu lat jako partyzant walczył z faszystami – dodała Margot.

– Każdy z nas ma za sobą swoją przeszłość – westchnąłem i usiadłem do fortepianu, który był w mieszkaniu. Zacząłem brzdąkać.

– Nagrywam piosenki robotnicze, protestacyjne i chłopskie na taśmy podczas wypraw terenowych.

– To tak jak ja – przerwałem brzdąkanie. – Tylko że ja nagrywam tylko obozowe.

– Materiały przydają mi się do teatru muzycznego, dla którego piszę. Przemycam je również w audycjach radiowych.

– Zapytam cię teraz o coś, póki jesteśmy sami – zmieniłem temat. – To ważne dla naszych występów.

– Mów Aleks, doradzimy. – Uśmiechnął się do Margot. Pocałowała go czule.

– Pożyczyłem pasiak od obozowego znajomego i mam zamiar w nim wystąpić?

– To bardzo dobry pomysł – zgodzili się ze mną oboje. – Ale mam jeszcze jedną koncepcję. Mam zamiar tańczyć. – Spojrzeli po sobie zdziwieni. – Może niedokładnie się wyraziłem. To będzie bardziej coś w rodzaju pantomimy. Do pieśni *Musulman Kippensammler*. Przy słowach: „Hopaj-siupaj, połamańcze/ J-jupaj-siupaj! Jo se tańcę/ Rzygam ciepłą krwią"[1].

– Straszne… – szepnęła Margot.

– Tym bardziej musisz występować, Aleks. Żeby ludzie pamiętali. Pewnie twój występ podziała bardzo na ich uczucia. I oczywiście, zrób tę pantomimę.

– Mam nadzieję, że dużo osób nas zobaczy na tym festiwalu. – Margot chciała zmienić temat na przyjemniejszy.

– Dlatego wymyśliłem, że wstęp wszędzie będzie bezpłatny. Dla prostych ludzi, może też robotników, którzy nigdy nie byli albo bardzo rzadko bywają w teatrze – dodał z zapałem Sergio.

Żal mi było się rozstawać z tą sympatyczną parą, ale zrobiło się już późno, a jutro zwiedzanie i następna próba. Dziś nie wszyscy zdążyli wystąpić.

* * *

Zjawiłem się w porę przed Teatro Comunale. Teraz dopiero miałem czas wszystkiemu się przyjrzeć. Wielki, wystawny teatr. Stary osiemnastowieczny budynek z podcieniami w kolorze bolońskim, czyli bladopomarańczowym. Góra, pierwsze

[1] Konrad Strzelewicz, *Zapis. Opowieść Aleksandra Kulisiewicza*, Kraków 1984.

eprasa.pl f2841e161d

piętro, jaśniejsza, prawie biała. Nad arkadami tarasy. Po przedstawieniu można wyjść na taras z widokiem na Piazza Giuseppe Verdi i napawać się atmosferą Bolonii. Sergio pokazał nam ogromną, niezwykle wysoką salę, w której mieliśmy wystąpić. Widownia miała kształt dzwonu. Miała cztery kondygnacje lóż, balkon królewski i galerię. Całość zdobiły ciężkie draperie, a z sufitu zwisał ogromny żyrandol. We wnętrzu dominowała zieleń – zielone były kurtyna i fotele dla publiczności, utrzymane w odcieniach oliwki i groszku. Z kolorystyką harmonizowały charakterystyczne dla Bolonii pomarańczowe ściany, które w blasku świateł nabierały ciepłego, złocistego odcienia. Sam ogrom sali robił ogromne wrażenie i budził tremę. A gdy Sergio przypomniał, że na tej scenie występowali między innymi Dawid Ojstrach, Artur Rubinstein i Arturo Toscanini, poczułem jeszcze większy respekt. Na co dzień na scenie prezentowane były klasyczne symfonie i opery, występowały chóry ze śpiewakami z Miejskiej Szkoły Operowej w Bolonii. Dzisiaj mieliśmy ćwiczyć na scenie, gdzie ważna była przestrzeń. Szczególnie dla chórów, bo Margot miała też występować z towarzyszeniem Chóru Teatro Comunale di Bologna. No i chór ze Słowenii, nie wspominając o moich tańcach, musiałem opracować ruchy sceniczne. Spełniło się marzenie o występach w takim miejscu. Głos mi dopisywał. Poza tym było świetne nagłośnienie. Dzisiaj dołączył do nas jeszcze jeden człowiek, Hassan Badri, inaczej Bestandji Said, jeden z najlepszych muzyków algierskich. Śpiewał przeciw rasizmowi i kolonializmowi. Wykonał pieśni *Słodki kraj* i *Solidarność afrykańska*. Co za różnorodność godna podziwu, tym bardziej że pod koniec próby zjawił się jeszcze hiszpańskojęzyczny Antonio Jimenez. Ale Sergio dobrze nad tym panował, to była jego pasja.

Wyszedłem z teatru zadowolony i skierowałem się w stronę mojego hotelu. Po drodze chciałem dalej zwiedzać miasto, tym bardziej że niedaleko teatru przy Via Zamboni był uniwersytet, podobno najstarszy na świecie. Skierowałem się później do Piazza Maggiore. Zauważyłem, że to także ulubione miejsce ulicznych artystów. Młodzież przesiadywała na schodach tutejszej bazyliki. Na rogu jednej z ulic śpiewał z gitarą człowiek o niezwykle smutnej, naznaczonej cierpieniem twarzy. Przystanąłem, żeby go posłuchać. Pieśni były wesołe, współczesne. Ale zaciekawił mnie i zacząłem z nim rozmawiać. Okazało się, że to były więzień Mauthausen-Gusen. Wyczułem to, miałem rację. Nazywał się Giuseppe Cioni. Żył biednie, zdrowie mu szwankowało, musiał śpiewać po ulicach. Poczułem jakąś bliskość z tym człowiekiem. Rozmawialiśmy długo. Zabrał mnie do swojego domu na przedmieściach. Dawno już nie widziałem takiej biedy. Była to buda z kawałków drewna. Miał liczną rodzinę, która myślała, że jestem bogatym cudzoziemcem i prosiła o datki. Giuseppe przedstawił mnie jako kolegę z obozu. Jego czwórka dzieci bardzo mnie polubiła, choć dałem im wtedy tylko grosiki i zrozumieli, że mnie się też nie przelewa. W nocy napisałem piosenkę pod wpływem doznań ze spotkania: „O tobie śpiewa miasto w słońca toni,/ nieznany grajku mój, Giuseppe Cioni…”[2].

[2] Konrad Strzelewicz, *Zapis. Opowieść Aleksandra Kulisiewicza*, Kraków 1984, s. 93.

eprasa.pl f2841e161d

Postanowiłem Włochowi kupić jakiś niedrogi garnitur. Znaleźliśmy taki w wypożyczalni strojów, utargowałem cenę. Zamieszkał obok mnie w hotelu i stał się teraz nieodłącznym towarzyszem do zwiedzania. Któż, jak nie rodowity Bolończyk, pokaże mi najlepiej to miasto. Ale najpierw nagrałem na magnetofon jego wspomnienia obozowe i pieśni, które pamiętał. To było dla mnie bezcenne.

Sergio Liberovici powiedział, że nasze występy będzie nagrywać RAI, Radiotelevisione Italiana z Rzymu, i już wtedy wpadł na pomysł płyty długogrającej, którą stworzy z naszych utworów. Stwierdził, że naprawdę musimy się bardzo postarać. Giuseppe Cioni miał mi sekundować z widowni i uwiecznić występ na moim ruskim magnetofonie. Zaprosił całą swoją rodzinę i wszystkich znajomych, bo wstęp był przecież wolny. Cieszyłem się, że przyłożę rękę do sukcesu festiwalu, dbając o jego publiczność. Ale organizatorzy też nie zasypiali gruszek w popiele. Na każdy dzień był przygotowany osobny plakat i publiczność mogła zobaczyć reklamę nie tylko w podcieniach teatru, ale i na mieście. Wziąłem jeden, informujący o moim występie z Margot i Clebertem Fordem, na pamiątkę. Wydarzenie było zapowiadane w lokalnych gazetach. Czekała nas jeszcze ostatnia próba. Sergio poprosił mnie o włoskie lub niemieckie tłumaczenie moich pieśni, bo chciał je razem z Lamberto przedstawić we fragmentach przed moim występem. Dostałem zeszyt i musiałem w te pędy pisać. Słuchałem piąte przez dziesiąte innych występów, wszystkie były dobre i miały posmak jakiejś młodzieńczej świeżości. Poza tym były różnorodne. Nie zabrakło pieśni stających się powoli klasykami, jak obozowa *Die Moorsoldaten*, którą mieliśmy wykonywać wszyscy, czy *We Shall Overcome*, pieśń protestu czarnoskórych i ruchu na rzecz praw obywatelskich robotników amerykańskich, która stała się z czasem ponadczasowym protestsongiem. Oderwałem się trochę myślami i przeniosłem w czasy okupacji. Pojawili się przed moimi oczami przyjaciele. Jaka szkoda, że Dawid już nigdy nie zagra na fortepianie w takim teatrze, Vera nie zaśpiewa, a Rudi nie będzie dyrygował. Tylko ja, jako jedyny spośród nich, niosę przesłanie muzyczne i muszę się bardzo postarać. Oddałem gotowe tłumaczenia Sergio i włączyłem się do próby.

Dzisiaj był z nami też przyjaciel Liberovicich Giovanni Morelli, muzykolog z Akademii Sztuk Pięknych w Bolonii. Słuchał uważnie moich pieśni i przejęty zapytał po próbie, czy możemy je nagrać dla niego. Zgodziłem się i utrwaliliśmy aż czternaście moich pieśni, o wiele więcej, niż obejmował koncert. Morelli stwierdził, że może uda mu się później wykorzystać je w jakiejś audycji radiowej. Wieczorem odwiedziłem rodzinę Cioniego. Może potem nie będę już miał czasu. Rozgrzany śpiewem w teatrze zrobiłem im koncert wybranych pieśni. Ani jeden utwór nie był w języku włoskim, ale czułem, że wpatrują się we mnie jak zahipnotyzowani, szczególnie czwórka dzieciaków. Zabroniłem Giuseppe tłumaczyć słowa pieśni obozowych, żeby ich nie zaszokować. Wybrałem repertuar różnorodny, z pieśniami ludowymi, ale i tak byli pod wrażeniem. Najbardziej przejęta była czternastoletnia córka Cioniego. Piosenka ułożona przez dzieci *Za lagrem szumi*,

eprasa.pl f2841e161d

szumi gaj mocno wzruszyła całą rodzinę. Nucili melodię razem ze mną. I nie mogli uwierzyć, że w obozach były również dwu- i trzyletnie dzieci.

Pamiętnego dnia zabrałem ze sobą pasiak z naszytym moim numerem obozowym. Tylko w Bolonii mogłem w nim wystąpić, bo potem będą otwarte estrady albo w mniejszych miejscowościach nie będziemy mieć gdzie się przebrać, tak nam powiedzieli. Czapka była trochę za mała, bo właściciel miał mniejsze ode mnie gabaryty. Postanowiłem, że będę ciągle w pasiaku, nawet przy pieśniach wspólnych. Nastąpiło uroczyste otwarcie festiwalu, którego dokonali Lamberto Trezzini i Sergio Liberovici. Przedstawili nas publiczności, o każdym występującym mówiąc kilka zdań. Zaczęło się mocno, od chóru Coro LIPA Di Ajdovščina. W rytmie marsza wykonali antywojenne pieśni *W ataku* i *Cierpienie*. Później serca widzów skradł jugosłowiański Cygan z Francji Vasic Zivan Gika. Z uczuciem zaśpiewał *Wielka jest trwoga Cyganów* po chorwacku i *Smutek mojego życia* po francusku. Pieśni o wojnie i lagrach, gdzie zabijano Cyganów. Powiedział, że w czasie drugiej wojny światowej jego ojciec i brat oraz wujkowie stracili życie w obozach koncentracyjnych. Zakończył pieśnią cygańską *Miłość do kraju*. A więc trzy języki, pełna internacjonalność. Fasia z braćmi Konrad po niemiecku ostrzegała w swoich pieśniach przed zagładą atomową i nawiązywała do krematoriów. Antonio Jimenez po hiszpańsku wykonał pieśni protestu i utwory antywojenne ze swojego kraju.

W drugim dniu Dieter Süwerkrüp nawoływał w swojej balladzie: „nie kopmy bunkrów, przecież nie jesteśmy jak zwierzęta – krety". Liberovici opowiedział trochę o tym bardzie, znanym już w Niemczech. Jako wieloletni członek Komunistycznej Partii Niemiec w NRF był nieugiętym zwolennikiem lewicowej kultury. Jego twórczość charakteryzowała się wirtuozowskim akompaniamentem na gitarze, grami słownymi i aktualnymi odniesieniami politycznymi. Dlatego te utwory można było czasem zrozumieć jedynie we współczesnym kontekście. Uważany był za jednego z głównych ojców założycieli ruchu autorów piosenek protestu i pieśni folkowych w Republice Federalnej.

Potem algierski muzyk Hassan Badri śpiewał przeciw rasizmowi i kolonializmowi. Następnie na scenie pojawił się Harold Bradley z Chicago, a teraz już z Rzymu, historyk sztuki i artysta malarz, który odkrył nowe powołanie jako śpiewak folkowy i aktor. Aktualnie, razem z byłym dziennikarzem, a teraz pieśniarzem i aktorem Clebertem Fordem z Nowego Jorku pracowali w Rzymie w założonym przez siebie Folkstudio i przyczyniali się do rozpowszechniania pieśni pracy i antydyskryminacyjnych. Tutaj pełni emocji wykonali razem słynny hymn i kultową pieśń amerykańską *We shall overcome*. Konferansjer zachęcał publiczność, żeby śpiewać wspólnie. „Któregoś dnia zwyciężymy. (We shall overcome, someday)./ Och, głęboko w moim sercu. (Oh, deep in my heart)./ Wierzę. (I do believe)/ Któregoś dnia zwyciężymy. (We shall overcome, someday)./ Będziemy żyć w pokoju. (We shall live in peace)./ Kiedyś będziemy żyć w pokoju. (We shall live in peace, someday)./ Nie boimy się (o Panie). (We are not afraid »oh Lord«)./ Dziś się nie

eprasa.pl f2841e161d

boimy. (We are not afraid, today)./ Och, głęboko w moim sercu. (Oh, deep in my heart)./ Wierzę. (I do believe)./ Któregoś dnia zwyciężymy. (We shall overcome, someday)”[3].

Pieśń miała brzmienie gospel, stworzona była bowiem przez pastora metodystów i kompozytora Charlesa Alberta Tindleya w 1901 roku. Ruch praw obywatelskich, antydyskryminacyjny i antywojenny posiadał więc świetny utwór, który działał na masy. Na publiczności w Bolonii ten niezwykły utwór też wywarł duży wpływ, niektórzy mieli łzy w oczach, a Cioni się popłakał. Chciałem, żeby moje pieśni wywarły takie wrażenie na ludziach. Nareszcie nadeszła ta chwila. Na scenę pierwszy wszedł Clebert Ford. Zaśpiewał utwór pt. *Terry Roberts*, do którego sam napisał muzykę i słowa. Była to pieśń w obronie Afroamerykanów. Potem razem z Haroldem Bradleyem wykonał *If you miss me at the back of the bus*, czyli „Jeżeli nie zauważysz mnie na końcu autobusu” o podobnej wymowie. Rewelacyjne, naturalnie postawione głosy. Piękna Margot uderzyła w patetyczne tony. Razem z chórem Teatro Comunale zaśpiewała *Pietà nie żyje*. Jej brązowe oczy lśniły ze wzruszenia. Patrzyła na tłum przed sobą. Przekazała ludziom swoje emocje, drżącą ręką odgarniała włosy. Potem ja wyszedłem na scenę z gitarą. Rozgrzany dużą liczbą prób i śpiewami u Cionich nie miałem tremy. Sergio opowiedział, kim jestem i przetłumaczył na włoski tekst mojej pierwszej pieśni *Żydowskiej pieśni śmierci*. Chciałem zacząć mocno. Wyobraziłem sobie, że jestem w obozie i patrzy na mnie Rosebery d’Arguto. Ludzie z przeszłości byli ze mną na scenie. Ich duchy. Rozpocząłem delikatnie, naśladując głosy dzieci. Potem coraz mocniej, krzyczałem coraz głośniej, gdy kolejni bracia ginęli. Na koniec „Alles raus!” wystraszyło publiczność. Widać było, że pieśń bardzo podziałała na ludzi, a tu C*horał z piekła dna*, jeszcze mocniejszy. Publiczność była zaszokowana, wpatrywała się we mnie jak zahipnotyzowana. Tym bardziej że dzięki oświetleniu rzucałem wielki cień na ścianę za sobą i moja gestykulacja była zwielokrotniona, szczególnie ręce z rozczapierzonymi palcami. Przy *Kołysance dla synka w krematorium* zemdlały dwie osoby w pierwszych rzędach, co się na tym festiwalu jeszcze nie zdarzyło. Potem było trochę lżej, bo znowu śpiewali Clebert Ford i Margot. Ludzie odetchnęli. Ale znowu zrobiłem im niespodziankę, teraz z domieszką satyry. Zaśpiewałem *Musulman Kippensammler*: *Tańcuj, tańcuj połamańcze!* i *Tańcz dziewczyno*. „Tańcuj, tańcuj – partyzancie,/ Hulaj sobie hulaj!/ Hej kostucha z tobą tańczy,/ Hej, kostucha hula!”. Te słowa ułożyłem do wesołej melodii piosenki kozackiej, a potem jeszcze przerobiłem. Ale to nie była przecież radosna pieśń, raczej satyra i groteska, nasz bunt obozowy. Pozwoliłem sobie na pantomimę i odłożyłem gitarę, żeby tańczyć. I naprawdę tańczyłem. W pasiaku. Pewnie nie zapomną tego występu do końca życia. W trzeciej części występu zlitowałem się i zaśpiewałem polskie pieśni żołnierskie

[3] Tekst pieśni cyt. za: *Intersongs. Festival des Politischen Liedes*, Verlag Neues Leben, Berlin 1973, s. 123, tłum. Małgorzata Kulisiewicz.

eprasa.pl f2841e161d

i ludowe z przerobionymi słowami, trochę pogodniejsze. *Szła dzieweczka do laseczka* o partyzancie bardzo „szwarnym", *Rozszumiały się wierzby płaczące*, *Dziś do ciebie przyjść nie mogę*.

Potem nastąpił wielki finał – śpiewali wspólnie wszyscy wykonawcy. Hymn obozowy *Die Moorsoldaten* wykonywaliśmy w różnych językach. Ja zacząłem: „Sachsenhausen – Stutthof – Dachau/ – ponad wami boży gniew!/ Choćbym całe lata zdychał,/ mocny, straszny jest mój śpiew". Potem Hiszpan, Amerykańcy, Margot i Fasia, która razem ze swoim zespołem i z Dieterem dominowała w niemieckim refrenie. Publiczność śpiewała z nami. Posłużyłem się polską zwrotką z mojej wersji pieśni, która miała tytuł *Hymn*. Następnie Amerykanie popisali się różnymi pieśniami country, które śpiewali z nimi wszyscy. Zakończyli pieśnią *Hallelujah*. Zauważyłem, że wszystko nagrywa RAI. Transmitowali na żywo. Na koniec nagrali też *Bella ciao*, słynną pieśń włoskich partyzantów antyfaszystów z drugiej wojny światowej. Teraz znowu wyszliśmy wszyscy na scenę. Cała widownia śpiewała z nami na stojąco, jakby w hołdzie. Potem brawa, bisy, Clebert i Harold wykonali jeszcze country, ludzie nie dali im zejść ze sceny. W końcu Lamberto Trezzini i Sergio Liberovici pożegnali publiczność i serdecznie podziękowali wykonawcom za piękny koncert, a ludziom za obecność.

Fragment powieści *Bard*, która ukaże się wkrótce w wydawnictwie Austeria.

Powieść oparta jest na faktach, stworzyłam tylko dwie postacie inspirowane prawdziwymi osobami. Blisko jej do beletryzowanej biografii, gdyż przeanalizowałam wiele materiałów z pierwszej ręki, z rodzinnego archiwum, pochodzących od Krzysztofa Kulisiewicza, syna Aleksandra, a mojego męża. Przeczytałam również wszystkie dostępne w książkach, artykułach i internecie materiały.

Bohater powieści – Aleksander Kulisiewicz – był niezwykłą postacią dla polskiej historii i muzyki. Dziennikarz, śpiewak, więzień polityczny w obozie w Sachsenhausen, wykonawca i kolekcjoner materiałów muzycznych i poetyckich z obozów koncentracyjnych. Stworzył unikalne archiwum pieśni i innych materiałów obozowych, które dostępne są obecnie w United States Holocaust Memorial Museum. Przed wojną studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego szkolnym kolegą był Stanisław Hadyna. Już wtedy występował jako śpiewak w kabarecie w teatrze Bagatela i obracał się w artystycznych środowiskach Krakowa. Dzięki znajomościom ze studiów zagrał w belgijskim filmie *La noir desire*. W kabaretach wiedeńskich śpiewał niemieckie piosenki, znał świetnie ten język. Na scenie używał pseudonimu „Alex Alikuli". Antynazistowski artykuł jego autorstwa dotarł do gestapo i został aresztowany. Siedział w więzieniu w Cieszynie w zimie 1939–1940. W kwietniu 1940 roku został

eprasa.pl f2841e161d

wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen w pobliżu Berlina. Był więźniem z numerem 25149. Tam zapamiętywał wiersze i pieśni więźniów, zrobił w swoim mózgu archiwum, gdyż miał niezwykłą pamięć. Występował też na nielegalnych wieczorkach obozowych z pieśniami, które komponował i tekstami obozowymi do znanych melodii. W obozie przebywał do końca wojny. Stworzył wielkie archiwum, które gromadził przez całe swoje powojenne życie. Materiały dostawał od byłych więźniów: Polaków, Czechów i Niemców z NRD. Po wojnie koncertował w Niemczech Zachodnich kilkanaście razy, w NRD kilka razy, także w Anglii i Szkocji, w Luksemburgu i Francji, w ZSRR, Czechosłowacji, USA i w Polsce. Na festiwalach dla pieśniarzy zaangażowanych , w klubach młodzieżowych, prestiżowych teatrach, scenach na otwartym powietrzu. Śpiewał z gitarą, angażując emocje i pięknie modulując swój silny głos.

eprasa.pl f2841e161d

Wojciech Brzoska

przewodnik po emocjach

kim pan mówi?
dla kogo pani tak naprawdę sprząta?

dla miłości matki
czy ojca?

przymusowo powtarzane
czynności.

już w innych domach i kołach.
aż do bólu ust i kolan.

lęk przed otwarciem
puszki pandory.

***

siedzieliśmy przy wspólnym stole,

to była dziura.
przepaść.

od słowa do słowa.
studnia bez dna.

czeluść, w którą wpadaliśmy
z każdym oddechem.

eprasa.pl f2841e161d

***

wpisany w koło,
ale jednak ciągle wypisujący
się.

jeden terapeuta spoza
zawsze sporządza notatki.

ktoś komuś sugeruje,
że nie zachowuje się

jak pacjent.

***

ćwiczenia z uważnego słuchania, albo ciągła walka
z terapeutami o światło.

śnią mi się wypadki
samolotowe, z których, ku mojemu zaskoczeniu,
wychodzę jednak cało.

przygotowujący się do odejścia boją się opuścić koło
ratunkowe.

rozpaczliwie biorą sesję za sesją.

odwieczne powroty do dzieciństwa,
kiedy koniec tak blisko.

codziennie próbuję mówić jak najwięcej,
jednak padają zarzuty, że chowam się

we wnętrzu.

eprasa.pl f2841e161d

***

odradzanie uczestnictwa w pogrzebach
mniej ważnych zmarłych.

szczegółowe omawianie żałoby
po żywych, po tym czego nigdy
od nich nie dostaniesz.

małe śmierci nadziei na otrzymanie.

ostateczne pogodzenie się z ceną,
którą od lat płacisz za życie

po swojemu.

nafaszerowany lekami
siedzisz wciśnięty głęboko
w jakiś kąt.

odradzasz sobie uczestnictwo
w jakimkolwiek

świętowaniu.

eprasa.pl f2841e161d

Maciej Jerzy Otłowski

Podpułkownik

Pamięci Jerzego Juliana Wencla, mojego Prapradziadka

Orkiestra. Werble. Trębacze. Fanfary. Proporce. Sztandary. Równy krok. Kolorowe mundury. Otoki. Akselbanty. Epolety. Karabiny. Rewolwery. Szable. Lance. Bagnety. Dźwięczące ordery. Błyszczące ostrogi. Lawety. Działa. Stukot kopyt. Zapach koni.

Bolesław. Jego radość i duma. Widział, jak się zmieniał, jak dorastał, jak powoli stawał się do niego podobny. Stawał się mężczyzną, żołnierzem, oficerem. Polskiego wojska. Polskiego. Antoni. Antoni i Józef. Ich oczy. Nie mógł. Nie potrafił. Bo z bagnetem zawsze jest ten problem, że łatwo go wbić, ale trudniej wyciągnąć. Taki z nim problem. No i czy był jednym z nich? Zapamiętaj, Georgij, bo my jesteśmy jedno. Razem służymy, razem się bawimy, razem walczymy, razem umieramy. Taka zasada. Czy był? A znowu to jeszcze, jakby tamtego było mało. Jakby było mało! Dzieci, Georgiju Francewiczu! Zwłaszcza dzieci. Bo to bezbożnicy. No i miał rację.

Tylko jak to się mogło stać? Jak można stracić sztandar? Nie mógł uwierzyć, gdy w tamten parny, późnoletni wieczór wiadomość ta telegrafem dotarła do Mińska. Bo to musiało być chyba nagle, panie pułkowniku. Jasne, że nagle. Bo już Niemców zmusili do odwrotu, już Prusy Wschodnie prawie zajęli. I ci dwaj durnie. Dać się pobić dwukrotnie słabszemu przeciwnikowi! Rennenkampf. Podobno po latach rozstrzelali go bolszewicy, ale wcale nie było mu go żal. Samsonow. Kolejny nieudacznik. I co on sobie myślał? Że co? Po tym jak stracił całą armię. Co myślał, gdy zabłąkany z resztką swojego sztabu w lasach gdzieś pod Wielbarkiem, przerażony ogromem klęski, upokorzony, pogubiwszy wśród mazurskich jezior wszystkie swoje dywizje, strzelał sobie w łeb? Że co? Że jak się zastrzeli, to ocali honor? Że historia osądzi go lepiej? Honor. Historia. Kretyn. Ścisk w gardle. Ale to było dawno, przed laty. Teraz to już był tylko ciekawy, jak to się dokładnie odbyło. Jakaś wieś. Chałupa. Podobno zostało ich dwustu. Osłaniali odwrót całej 1. Armii. Doskonale pamiętał etat pułku. 76 oficerów, 60 chorążych, 270 podoficerów, 3600 szeregowych, trębacze, urzędnicy... Jak mogło ich zostać tylko dwustu? Kto tam był, w tej

eprasa.pl f2841e161d

chałupie? Dwóch chyba. Dowódca na pewno. Protopopow. Nie kojarzył, to już było inne pokolenie. I jeszcze adiutant pułku. Właśnie ten, który zdołał wybiec ze sztandarem. Fiodorow. Podporucznik. Czy chociaż zdążył założyć mundur? Niemcy podeszli po cichu. Pułkownika schwytali od razu. Usiłował wyobrazić sobie tego podporucznika umykającego jak zając, przedzierającego się przez zarośla, kryjącego za drzewami. I osaczających go żołnierzy. Nie spieszyli się, pewnie się nawet uśmiechali, krzyczeli do niego, żartowali. *Na ja, komm komm*! Jak na polowaniu. Co on wtedy czuł? Czy miał świadomość, że to właśnie on, Fiodorow, że oto teraz przechodzi do historii, choć na pewno nie tak, jakby chciał? Że to w tych mazurskich lasach koło Adamsheide, 30 sierpnia 1914 roku, to właśnie z nim, z Fiodorowem, dogorywa 119. Kołomieński Pułk Piechoty . Jego pułk. Co on się czuł, gdy w spoconych, trzęsących się dłoniach trzymał kurczowo, trzymał beznadziejnie drzewiec z ponadstuletnią historią? Jego historią. Wstęga za Sewastopol 1854–1855, wstęga za wojnę z Turcją 1877–1878, wstęga jubileuszowa 1797–1897... Co on czuł, gdy, śmiejąc się, wyrywali mu ten sztandar? Czy się bronił, czy krzyczał, czy żył jeszcze? Czy chociaż miał na sobie mundur?

Orkiestra. Werble. Trębacze. Fanfary. Proporce. Sztandary. Równy krok. Kolorowe mundury. Otoki. Akselbanty. Epolety. Karabiny. Rewolwery. Szable. Lance. Bagnety. Dźwięczące ordery. Błyszczące ostrogi. Lawety. Działa. Stukot kopyt. Zapach koni. No, takich cudów to jeszcze nie widział w swoim życiu. Słoneczny dzień w Pińsku, gdy pierwszy raz z rozdziawioną buzią patrzył na maszerujących żołnierzy. Klaskał wtedy w dłonie i, choć miał jeszcze smarki pod nosem i ledwo co chodził, to biegł, biegł tak jak umiał, potykając się, biegł długo za tym wojskiem, i piszczał z radości. Antoni, zły, musiał go szukać i przyprowadzić do domu. A on mu się wyrywał, nie chciał z nim iść. On chciał z nimi, z tymi żołnierzami. Nie z nim. W nocy, gdy leżał w łóżku, serce biło mu szybko, bardzo szybko. I nie mógł spać. O, nasz Jerzyk chce do wojska!

Już od dawna z łóżka prawie nie wstaje. Bolesław i Klara troskliwie się nim opiekują. Już nic nie słyszy, już całkiem głuchy. Bolesław może z nim rozmawiać tylko na migi, ku uciesze niewiele rozumiejących dzieci. Zbyszek i Krysia. Nie męczcie dziadka. I nie za wąsy, bo go to boli. Może zdejmiecie bluzki, bo gorąco? Strasznie gorąco, lipcowy upał, krzyki. Nigdy nie przypuszczał, że bitwa ma swój zapach. Smród raczej. Potu, krwi, moczu, łajna. Końskiego. Ludzkiego. I to jeszcze, że bitwa ma swój odgłos. O nie, wcale nie szczęku oręża czy świstu kul, jak kiedyś myślał. Ale zarzynanych koni. I zarzynanych ludzi. I że w bitwie wszystkie plany taktyczne zawsze biorą w łeb, bo na końcu i tak liczy się tylko brutalna siła. I szczęście. Nade wszystko szczęście. I to jeszcze, że można aż tak bardzo się bać. Jak zwierzę. I że nawet taki strach można jednak w sobie przełamać. Jak nie-zwierzę. Bo krzyczą, poganiają. Bo trzeba trzymać szeregi. Ale jak je trzymać, gdy szeregów już nie ma? Jak trzymać, jeśli z twojej dziesiątki zostałeś sam jeden? Dowodził wtedy taką dziesiątką. Bo był dopiero podchorążym, *portupei-junkrem*, jak

eprasa.pl f2841e161d

wtedy mówili. 18 lipca 1877 roku. Ta twierdza była nie do zdobycia. Nie trzeba było szturmować tych szańców. Turcy byli za silni. To już wtedy wiedzieli wszyscy. To był przecież drugi szturm. Korpusem dowodził Kridener, generał-porucznik. Że wywierali na niego naciski, żeby jak najszybciej, żeby nie zwlekał, że dlaczego jeszcze nie atakuje, że strategiczne znaczenie, że od zajęcia Plewny zależą losy wojny, że od niego zależą... A Kridener dowodzić nie potrafił. Nie zrobił rozpoznania tureckich pozycji, nacierał tylko częścią sił, wybierał najsilniej bronione odcinki. Akurat ich pułk to szturmował te cholerne reduty przed Griwicą. Natarcie falami. Coraz więcej rannych, coraz więcej zabitych. Jak w rzeźni. Potem, już o zapadającym zmroku, gdy wszystko było skończone, osłaniali odwrót korpusu do Pordimia. A właściwie to osłaniał świeżo ściągnięty Pułk Woroneski, bo oni zdolności bojowej już nie mieli. Ale on tego nie pamiętał, on już w tym nie uczestniczył, to już mu opowiadali potem. Bo nagle huk. Potężny. Wyrywający ziemię, sypiący piachem po jego mokrych włosach i spoconej twarzy. Tuż obok niego. A potem cisza. Dziwna, nienormalna, bo przecież przez załzawione oczy dalej widzi wszystko. Coś do niego krzyczą, ale nie słyszy. Słodki smak w ustach, słabość w nogach, krew płynąca z uszu. Nie słyszy. Czuł, że już nie walczy, że go wynoszą. Żeby tylko szabli z dłoni nie wypuścić. Późny wieczór, już ciemno. Panie generale-poruczniku, melduję posłusznie, że bezpowrotne straty własne korpusu wyniosły 176 oficerów i 6856 szeregowych. Nawet nie drgnął, nie zareagował, twarz kamienna. Tylko z ich pułku zginęło wtedy 15 oficerów i 388 żołnierzy. W jeden dzień! Nigdy nie potrafił zrozumieć tej durnoty carskich oficerów, choć przecież był jednym z nich, gdy tak łatwo szafowali życiem swoich podwładnych. Zawsze to konie były dla nich cenniejsze. Kontuzja dała mu kilka tygodni odpoczynku. Ale ze słuchem miał problemy już zawsze. Potem było trochę łatwiej. Blokada Plewnej, natarcia na Łowczę, Tarnowo, Kazanłyk, marsz na Konstantynopol, obóz w Adrianopolu. Do Mińska wrócili chyba dopiero w 1879 roku. Rozkaz imperatorski z 22 października 1877 roku. Wreszcie. Awans z *portupei-junkra* na chorążego. Wreszcie.

Tylko dlaczego Bolesława teraz przenoszą? Długo już służył w Warszawie, chyba sześć lat. I dokąd? Hoszcza. Polesie. Korpus Ochrony Pogranicza. To jakaś nowa formacja. Teraz opiekę nad nim będzie musiała przejąć Janina. Dobra dziewczyna, choć z nadmiernym temperamentem, którego jako ojciec nigdy nie potrafił okiełznać. Tak, ewidentnie zabrakło matki, gdy ta była jej najbardziej potrzebna. Park Aleksandrowski. Ciepły letni wieczór. Orkiestra wojskowa. I mały Juruś, jego pierworodny wnuczek. Imię po dziadku. Cytrynkę je sobie. Na ich oczach, żartowniś. A oni ślinią się, twarze wykrzywiają, grać nie mogą. O, ty szczeniaku jeden! I gonią go po parku z tymi bębnami, trąbkami. A on śmieje się, ucieka. Jego wnuczek. Jego krew. Jego duma.

Rozpierająca pierś duma. Rozkaz imperatorski, o, dobrze ten dzień zapamiętał, z 9 grudnia 1879 roku. „Nadaję Order św. Anny czwartej klasy". Za męstwo. Za *chrabrost*. Z okuciem na rękojeści szabli. Czerwony krzyż na złotej tarczy.

eprasa.pl f2841e161d

Widział, jak rozstępowali się przed nim, jak cofali, pochylali głowy, jak ich jedno spojrzenie na tę szablę wystarczało, by nie śmieli już patrzeć mu w twarz. A przecież był wtedy dopiero chorążym, właściwie w pułku to jeszcze nikim. Jak corocznie 6 sierpnia, w uroczystość Przemienienia Pańskiego, w pułkowe święto, maszerowali ulicami Mińska, a słońce lśniło dumnie na jego orderowym okuciu. Za męstwo. Za *chrabrost*. Duma. Rozpierająca pierś duma. Rozpierająca pierś gorycz. Że choć widzieli wszyscy, to nie widzi nikt. Matka, która umarła, gdy był jeszcze mały. Ojciec, z którym nie utrzymywał już kontaktu. Bracia, którzy nie chcieli go znać...

Rozkaz imperatorski z 27 kwietnia 1882 roku. Awans na podporucznika. Poligon Skobielewski. Między Baranowiczami a Słonimiem. Nazwa nadana na cześć Michaiła Skobielewa, generała piechoty, dowódcy ich korpusu. Podobnie jak ulica w Mińsku, przy której mieli siedzibę. Świetny dowódca, zasłużony w wojnie z Turkami. I zasłużony w tłumieniu powstania, jak oni wszyscy. Letnie ćwiczenia rozpoczynali zawsze pierwszego maja. Trwały do późnej jesieni. To tam wtedy stacjonowali całymi tygodniami. Całymi tygodniami nie było go w domu, nie było go z dziećmi. I ćwiczyli. Tyraliera. Szyk zwarty. Strzelanie. Walka na bagnety. Z wściekłością, zajadle. Bo to jest walka najprostsza, najbardziej autentyczna, pierwotna, twarzą w twarz. Bo jak nie ty jego, to on ciebie. No i z bagnetem zawsze jest ten problem, że łatwo go wbić, ale trudniej wyciągnąć. Odprawa z dowódcą batalionu. Temat zajęć: prowadzenie natarcia w warunkach ogniowego oddziaływania przeciwnika. Naprzód! Żołnierze biegną, potykają się, brakuje im oddechu, twarze czerwone, spocone. Jak najszybciej, jak najkrócej w strefie ostrzału. Pogania ich. Za wolno, szybciej! Huk. Dym. Nic nie widać. Szybciej! Żołnierze gubią orientację, nie wiedzą, gdzie jest szyk, gdzie przeciwnik, padają, nie chcą się podnosić. Wstawać! Wstawać, psie juchy! Naprzód! Musi popychać, szarpać się z nimi. Podoficerowie doskakują, pomagają. *Job twoju*...! Naprzód! Rozkaz imperatorski z 26 maja 1886 roku. Awans na porucznika.

I znowu ten Antoni. Antoni i Józef. Ich oczy. Spokoju nie dają, nawet teraz, gdy już z łóżka wstać nie może. To Antoni był najstarszy. Zawsze spokojny, rozsądny, odpowiedzialny. Józef wycofany, melancholijny. I to chyba właśnie Józef był z nich trzech najwrażliwszy. Dla Rosjan zawsze był Osipem, a przecież tak nie znosił tej formy swojego imienia. On chciał po polsku. On chciał być Józefem. I dlatego wiedział, gdy się kłócili, jak mu dopiec. Osip! Osip! Osip! Przestań! Przestań! Przestań! Dokazywali często, gdy byli smarkaczami, a nawet później w szkole. Był ich ulubionym Jerzykiem, żywym, pełnym wigoru rozrabiaką, zawsze z uśmiechem. O, nasz Jerzyk idzie, zróbmy mu psikusa! A on śmiał się tylko, aż mu łzy z oczu płynęły. Kochali go, bo był najmłodszy, zawsze spragniony zabawy, wrażeń, przygód. Antoni. Troskliwy, opiekuńczy. I ta jego zacięta, nieruchoma twarz. Zimne, stalowe oczy. Zastanów się co robisz! Matka się w grobie przewraca! Ojciec ze zgryzoty spać nie może! Józef smutny, przestraszony, łzy w oczach. Jerzyk, proszę

eprasa.pl f2841e161d

cię, błagam cię. Ojciec milczący, zrezygnowany, z pochyloną głową. Ojcze, zrób coś! Musisz coś zrobić! Przemyśl to jeszcze. Bo tam przestaniesz być sobą, rozumiesz mnie, synu? Bo tam już będziesz jednym z nich. Jednym z nich. Prośby. Groźby. Ale on jakby ich w ogóle nie słyszał. Jakby nie wiedział, co do niego mówili. Klaszcze w dłonie, biegnie jak umie, potyka się, piszczy z radości. Nie chce z nim iść. On chce z nimi, z tymi żołnierzami. I te słowa, które wreszcie do niego dotarły. Wreszcie dotarły. Może właśnie dlatego, że były jak żołnierski bagnet. Tak samo zimne, ostre, bezlitosne. Prosto w serce. Łatwo go wbić, trudniej wyciągnąć. Już nie będziesz naszym bratem!, już nie będziesz Polakiem! I znowu, i raz jeszcze. Jak bagnet.

Ojciec, gdy wreszcie wrócił, był zdruzgotany. Długo siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Był mały jeszcze, nie bardzo rozumiał o co chodzi, ale czuł już dobrze tę przygnębiającą atmosferę. Co wyście zrobili? Co wyście najlepszego zrobili? Co z nami teraz będzie? Czy wiecie, że dyrektor napisał na was skargę do gubernatora? Ale widział też, że Ojciec jest jednak dumny ze swoich synów. Że niby krzyczy, ale jakby łagodnie. Strajk szkolny w pińskim gimnazjum. Dla polskości Ojcze, dla naszej Ojczyzny! Ile Antoni miał wtedy lat? Chyba trzynaście. No to Józef jedenaście. Dobrze, że to było jeszcze przed powstaniem, to i skończyło się na kaucji. Tylko skąd ją wziąć? No bo to pińskie gimnazjum od początku było niepokorne. Dawna pięcioklasowa szkoła szlachecka. Zawsze mieli z nią problem. A i uczniowie to byli wtedy sami Polacy. I katolicy, bo to wtedy było jedno i to samo. No, ale Antoni z Józefem to mieli jeszcze polskich nauczycieli. Wszystko zmieniło przyjście tego nowego dyrektora, Szulgina. Rusyfikacja bezwzględna. Terror, drakońskie kary. Jeden z uczniów, Ksawery Ostromęcki, jeszcze dziecko przecież, za rozmawianie po polsku podczas lekcji dostał czterdzieści batów, i to takich, że od razu trafił do lekarza. Czy mogli się dziwić, że do powstania przyłączyły się wszystkie najstarsze klasy, a nawet część nauczycieli? Listy nieobecnych. Policyjne śledztwa. Dlaczego ich nie było, gdzie byli, co robili? Antoni i Józef też byli na takiej liście, ale policja nic nie ustaliła. Za to on, po powstaniu, to miał za nauczycieli już samych Rosjan. I coraz więcej prawosławnych kolegów. I wszystkie przedmioty po rosyjsku. Ale nie wszyscy w rusyfikacji byli gorliwi. Taki, na przykład, Chiżniakow od historii. Nie widział, nie słyszał, nie pamiętał. Dobrze go wspominał. Za to najgorszy był Czajkowski, inspektor oświaty. Były Polak, żonaty z Polką. To i musiał się wykazywać, wiadomo. Widział to też wiele razy później, już w wojsku. Wiele razy to widział. Tam też się przekonał, że najgorliwszymi Rosjanami okazywali się zawsze byli Polacy. Byli.

Podchodzili do niego dowódcy pułku. To znaczy za Geikinga to on był jeszcze nikim, to on nawet jeszcze nie chodził na kompanijne odprawy. To on go jeszcze nawet nie kojarzył. Ale Cytowicz to już go czasem brał na stronę. Bo widzisz, Georgij, bo ty jesteś perspektywiczny. I ty jesteś jednym z nas. A my w pułku to jesteśmy jedno. Rozumiesz, Georgij? Jedno jesteśmy. Razem służymy, razem się

eprasa.pl f2841e161d

bawimy, razem walczymy, razem umieramy. Taka zasada. Cytowicz. Świetny dowódca. I zasłużony w tłumieniu powstania, jak oni wszyscy. Bo tam już będziesz jednym z nich. Już nie będziesz naszym bratem!, już nie będziesz Polakiem! Zetterman. Właściwie to on nawet nie był złym człowiekiem. I nie najgorszym dowódcą. I też zasłużony w tłumieniu powstania, jak oni wszyscy. Georgij, bo ty jesteś dobrym oficerem, bardzo dobrym, tak po prawdzie to ty jesteś najlepszy. Powinieneś już być *sztabs-kapitanem*. Bo ja jestem po rozmowie z dowódcą brygady. I on tak samo myśli, on wyraża zgodę. Dowództwo dywizji też poprze wniosek. Pójdziesz na kurs sztabowy do Petersburga. Jak to? On? Do Petersburga? Potomek zubożałych szlachciców z Klecka, syn utracjusza, birbanta, spłukanego hazardzisty, on – na kurs sztabowy? Ależ tak! On! Właśnie on! Tyle tylko, że ty nadal jesteś katolikiem. A tam katolików nie biorą... Ale słuchaj, jest przecież pułkowa cerkiew, z batiuszką załatwisz to sprawnie. On ci pomoże. Żyrzyński, generał-porucznik. On jeden. Jedyny, którego znał, o którym słyszał. Jakie on musiał mieć stosunki! Jakie znajomości! Podporucznik gwardii. Mimo że Polak, mimo że katolik. Oficer Sztabu Generalnego w stopniu kapitana, kwatermistrz 5. Dywizji Kawalerii. Gdy dywizja ta ruszała do tłumienia powstania, on nie wyjechał. Innych Polaków wysyłali specjalnie, właśnie po to, żeby ich sprawdzić, żeby mogli udowodnić swoją lojalność. No bo jak to sprawdzić lepiej niż podczas walki z rodakami. No bo jak wtedy carowi wierność okażesz, to już mu będziesz wierny zawsze. I już będziesz byłym Polakiem. Najgorliwszym. A tego jednego nie wysłali. Przenieśli go do brygady rezerwowej jako adiutanta. Pozostał na miejscu, nie musiał niczego udowadniać, nie musiał łamać własnego sumienia, nie musiał walczyć z rodakami. On jeden. Jakie stosunki! No to jak będzie, Georgij? Bo dowódca brygady czeka na decyzję. Dowódca czeka. I te ich oczy. Oczy zimne, stalowe. Oczy smutne, zapłakane. I słowa jak bagnet. Łatwo go wbić, trudniej wyciągnąć. Taki z nim problem. Nie mógł. Nie potrafił. No Wencel, tak długo jak ja będę w pułku, to ty awansu nie dostaniesz. Słowa dotrzymał. Czekał na awans ponad osiem lat. Dwa razy dłużej niż wynosił regulaminowy czas. *Wot*, Polak-katolik! Bo to jest bardzo dobry oficer, *gospodin gienerał*, ale uparty.

A jednak byli cierpliwi, musiał to przyznać, nie spieszyli się, bo tak faktycznie było, jeszcze czekali, długo przecież czekali, jeszcze się łudzili, był tego świadomy, może się nawet oszukiwali, w końcu go kochali, swojego Jerzyka. Ale gdy tylko dowiedzieli się, że jest w 119. Kołomieńskim, to już zerwali z nim wszystkie kontakty, ostatecznie, na zawsze. Skąd mógł wiedzieć, że ten pułk tłumił powstanie? I tak przecież nie miał na to wpływu, to już była historia, a on tylko chciał być żołnierzem. Nie zawiadomili go nawet o śmierci ojca. I nie był na jego pogrzebie. Był potem na pińskim cmentarzu sam, bez nich.

Ulica Aleksandrowska, dom Szymańskiego. Ładne, gustownie urządzone mieszkanie. Lubił tę drogę. Wystarczyło iść krótki odcinek Aleksandrowską w stronę Świsłoczy, nie dochodząc do rzeki skręcić w lewo w Policyjną, dopiero

eprasa.pl f2841e161d

tu przejść przez mostek, prawie od razu ruszyć w prawo w Jurjewską, i właściwie to już było widać Skobielewską. Dom numer cztery. Sztab i koszary pułkowe. Tuż obok, przy numerze piątym w domu Czapskiego, znajdowała się kwatera 30. Dywizji Piechoty. Zresztą cały ten kwartał był wojskowy. Skobielewska, Pietropawłowska ze sztabem 30. Brygady Artylerii, Podgórna z dowództwem IV Korpusu Armijnego.

Nowodworscy. Ten szlachecki ród zawsze szanował. Też byli zubożali, jak on sam i jego właśni przodkowie. Ale jednocześnie mieli w sobie coś, co wprawdzie trudno mu było wyrazić słowami, ale co go zawsze intrygowało i pociągało. Coś, czego nie widział u innych. W postawie, gestach, zachowaniu, spojrzeniu. Jakąś siłę ducha. Godność, szacunek. Wobec siebie samych. Wobec innych. Wobec historii własnej. Wobec historii Polski. Wobec polskiego języka. I chyba najpierw to dostrzegł w Helenie. I ten błysk w jej oczach, gdy na niego spojrzała. Ten szczególny błysk w oczach kobiety, który nigdy nie umyka uwadze żadnego mężczyzny. I nieufność. Bo mundur. Carski. Szczere zdziwienie. O, a to pan oficer mówi po polsku? I kolejny błysk w oczach, gdy dowiedziała się, że jest katolikiem, a nie prawosławnym. Witold. Zawsze zasadniczy, zawsze zabiegany, zawsze pełen energii. O polskość. Nowodworscy. Dziad Heleny Franciszek i jej kuzyn Walerian Eustachy za udział w powstaniu zostali zesłani na Sybir. Walerian jako uczeń przyłączył się do powstania, mając piętnaście lat. Na katordze w guberni tomskiej spędził drugie tyle. Witam pana, panie poruczniku, miło pana poznać etc. etc., wiele o panu słyszałem etc. etc., ale proszę mi łaskawie powiedzieć, jak carska armia zapatruje się na kwestię polskości? Bo ja pana wyraźnie informuję, że moja siostra nigdy nie poślubi Rosjanina. Och, Witoldzie, przestań proszę!, akurat Jerzy to właściwie się na tę kwestię zapatruje. Ślub był w mińskiej katedrze. Po prawdzie nie była to już wtedy katedra, tylko kościół parafialny, bo kilka lat po powstaniu władze zlikwidowały diecezję.

Biestużew. To właśnie on był najlepszym dowódcą. Kochali go jak ojca. Dbał o nich. I też zasłużony w tłumieniu powstania, jak oni wszyscy. Krótko, po żołniersku. Bo ja potrzebuję najlepszych ludzi. Rozkaz imperatorski z 15 lipca 1894 roku. Awans na *sztabs-kapitana*. Potem znów dłużej, znów czekał na wakat, ale to dlatego, że to już było wysoko. Rozkaz imperatorski z 18 października 1900 roku. Awans na kapitana, na dowódcę kompanii. I chyba wyżej się nie dało. Na pewno nie, na pewno nie bez wizyty w pułkowej cerkwi. Kaczura. W sumie to nie znał go dobrze. Dowódcą był krótko. Właściwie to przyszedł i odszedł. Ale to właśnie Kaczura go żegnał. Biestużew już wtedy nie żył. Tak to jest w życiu. Po niemal trzydziestu latach spędzonych w pułku. Żegnają cię nie ci, których byś chciał, ale ci, którzy są akurat pod ręką. Rozkaz imperatorski z 19 marca 1901 roku. Do rezerwy piechoty powiatu mińskiego. Rozkaz imperatorski z 14 lipca 1902 roku. W stan spoczynku. Z prawem noszenia munduru i zachowaniem pensji. Za wzorową służbę. I jeszcze, na odejście, awans na podpułkownika. Na podpułkownika.

eprasa.pl f2841e161d

Zobaczył to nazwisko w wojskowej gazecie. Zamieszczali tam informacje z frontu, nazwiska poległych, odznaczonych, awansowanych. Zobaczył własne nazwisko. Adam Feliksowicz Wencel z guberni mińskiej. To musi być on. Starszy unteroficer z Pułku Gwardii Preobrażeńskiej. Ranny pod Krasnymstawem 5 lipca 1915 roku. Odznaczony za męstwo. Zuch chłopak! Bo ktoś kiedyś, już dawno temu, opowiadał mu, jako ciekawostkę mu opowiadał, że w powiecie nowogródzkim, a to przecież mińska gubernia, sprzedał ziemię komuś o nazwisku Wencel. Spory kawałek ziemi. Czy to nie zabawne, szanowny Georgiju Francewiczu? Sam pan przyzna. Bo nazywał się tak samo jak pan. A na imię Feliks Osipowicz mu było. Czyli syn Osipa, syn Józefa, jego brata. A więc ten Adam, ten Józefowy wnuk, to byłby jego wnuk stryjeczny. Zuch chłopak! Szukał go potem w kolejnych numerach gazet. Ale ustalił jeszcze tylko, że w 1916 roku Adam awansował na stopień chorążego. I już nic więcej.

Dowbor-Muśnicki. Pierwszy Korpus Polski. Wreszcie. Polski. Obchody kościuszkowskie 15 października 1917 roku, gdy niemal cały Mińsk wyległ na rynek, wiwatując na cześć polskich oddziałów. Też tam stał z Bolesławem. Był już za stary, żeby walczyć, ale przychodzili do niego niemal ze wszystkim. Projekty regulaminów, uzbrojenie, taktyka, nawet wzory insygniów, a w sprawach szkolenia to ponoć i sam Dowbor liczył się z jego opinią. Ale w to akurat to do końca nie wierzył, bo wystarczająco dobrze kojarzył Dowbora jeszcze z carskiej armii i wiedział, że nie potrzebuje on w sprawach szkolenia niczyjej opinii. Ale rzeczywiście raz zdarzyło się, że wezwali go do sztabu korpusu. A że już wtedy słyszał bardzo słabo, to i prawie krzyczeć do niego musieli. Bo pan, panie pułkowniku, zna jak nikt te okolice. Bo wprawdzie wielu spośród nas z tych ziem pochodzi, ale to właśnie pan służył tu tak długo. I co pan może nam powiedzieć o twierdzy Bobrujsk? Bo my nie wyrzucimy bolszewików z Mińszczyzny, zanim tej twierdzy nie zdobędziemy. I to była prawda. I opowiedział im, a jakże, bo faktycznie wiedział o niej dużo. Bo to faktycznie była nielicha twierdza, choć swoje najlepsze lata miała już dawno za sobą. Wzniesiona jeszcze na początku dziewiętnastego wieku dla obrony przed Napoleonem. Sto hektarów umocnień, budynki sztabowe, koszary, szpitale, cerkwie, składnice. W jego czasach budowle te służyły właściwie już tylko jako magazyny mińskiego korpusu. Jeździli tam czasem z żołnierzami po zaopatrzenie. Ale jeździli tam czasem i na ćwiczenia z taktyki fortecznej, żeby żołnierze zobaczyli te cytadele, reduty, wieże artyleryjskie, bastiony. Żeby poczuli potęgę tych murów, i popróbowali w nich walczyć. No i przydała im się jego wiedza, bo przecież twierdzę łatwo zajęli.

18 września 1919 roku. Wizyta Naczelnika Państwa. Cały Mińsk udekorowany polskimi flagami. Bolesław już wtedy służył w Wojsku Polskim, w 33. Pułku Łomżyńskim, już był na froncie, walczył z bolszewikami. Za to on stał na Placu Katedralnym, choć już nie słyszał, co mówił Piłsudski. Ale miał nadzieję, tak jak wszyscy, tak jak Naczelnik, że Mińsk będzie polski. Bo wtedy w to jeszcze wierzyli. Jeszcze wierzyli.

eprasa.pl f2841e161d

Ale to właśnie Maria, jego najmłodsza córka, najbardziej potrzebowała matki, której tak wcześnie zabrakło. Maria, z najsilniejszym charakterem i zawsze własnym zdaniem. W listach piszesz, że czujesz się Rosjanką, że jest ci tam dobrze, że budujecie nowy wspaniały świat, że nie ma już ślubów kościelnych, że nie trzeba chrzcić dzieci, że wszyscy są równi, a represje dotykają tylko tych, którzy coś zawinili wobec władzy. Ale czy naprawdę jesteś szczęśliwa, czy tak pisać musisz? Bo przecież po polsku piszesz.

I żeby tylko zdążyć. Bo znał ich dobrze, bo widział, co robili w Mińsku, gdy na krótko zajęli to miasto. I na co ich stać. A przecież już wcześniej, tuż obok jego mieszkania, niemal po sąsiedzku, na Aleksandrowskiej w domu Jachimowiczowej, przez lata urządzali te swoje partyjne, czerwone schadzki. Mieli tam nawet fabryczkę trotylu. Mieszkał tam jeden z ich hersztów, Wiankowski. Po sąsiedzku!

I jeszcze piszesz, żeby unikać w listach do ciebie „pewnych tematów", bo mogłabyś mieć nieprzyjemności. Czyli już ich znasz. I że tak bardzo chciałabyś do nas przyjechać, choć masz świadomość, że jest to już niemożliwe. Jasne, że niemożliwe. Ale jeszcze łudzisz się, mimo że sama wiesz, że także i to nigdy się nie spełni, no bo, ojcze, może to ty mógłbyś kiedyś przyjechać do nas, żeby choć wnuczki zobaczyć, a przecież kalece nasza władza nic złego by nie zrobiła? Akurat. Więc czy naprawdę jesteś szczęśliwa, czy tak pisać musisz? Bo przecież po polsku piszesz.

Dopiero jak tego Wiankowskiego aresztowali, to dowiedział się o wszystkim. Że spiskowali, i że planowali zamach na naczelnika więzienia w Mińsku, Szklarowicza. Przychodził wtedy do niego ten miński policjant, Ponomarjew. Bo wy, Georgiju Francewiczu, ten tego, rozumiecie, bo jesteście emerytowanym podpułkownikiem, a my mamy do was zaufanie, no i musicie wiedzieć, ten tego, że tu po sąsiedzku, no to ten i tamten, no i trzeba bardzo uważać, no i w ogóle. I bardzo proszę, ten tego, dzieci, wnuki pilnować, no bo żartów z nimi nie ma, bo to bezbożnicy, a jakby co, to dać nam znać. Dymitr Pawłowicz okazał się bardzo mądrym policjantem. Doświadczonym. Dzieci pilnować trzeba, Georgiju Francewiczu! Zwłaszcza dzieci. I ustosunkowanym. Po roku czy dwóch przenieśli go do urzędu gubernatora. Ale oni do Polski zdążyli wyjechać. Z Janiną. I z Jurkiem i Natalią, jej dziećmi, a jego wnukami. Przed tą czerwoną zarazą. Zdążyli. I tylko Maria nie chciała. Tylko Maria została. Nie chciała. Dzieci, Georgiju Francewiczu! Zwłaszcza dzieci. Bo to bezbożnicy. No i miał rację.

Orkiestra. Werble. Trębacze. Fanfary. Proporce. Sztandary. Równy krok. Kolorowe mundury. Otoki. Akselbanty. Epolety. Karabiny. Rewolwery. Szable. Lance. Bagnety. Dźwięczące ordery. Błyszczące ostrogi. Lawety. Działa. Stukot kopyt. Zapach koni.

eprasa.pl f2841e161d

Wszystkie występujące w opowiadaniu osoby są autentyczne. Prawdziwe są również wszystkie wydarzenia, choć ich przebieg nie musiał być dokładnie taki, jak opisałem.

Podpułkownik Jerzy Julian Wencel, emerytowany oficer 119. Kołomieńskiego Pułku Piechoty, weteran wojny z Turcją z lat 1877–1878, uczestnik bitwy pod Plewną, kawaler Orderu św. Anny czwartej klasy z nadaniem za męstwo, żołnierz I Korpusu Polskiego na Wschodzie, mieszkał w Warszawie od 1920 roku pod opieką swoich dzieci, Janiny i Bolesława, zawodowego oficera Wojska Polskiego. Jego najmłodsza córka Maria zdecydowała się pozostać w sowieckiej Rosji. Po jakimś czasie ślad po niej zaginął. Najprawdopodobniej, jako córka carskiego oficera Polaka, stała się ofiarą bolszewickich represji. Jerzy Julian Wencel zmarł 30 marca 1926 roku w wieku 72 lat. Spoczywa na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Jerzy nie wiedział, że w tym samym czasie w Warszawie mieszkał jego brat Antoni. Nigdy się nie spotkali. Antoni Wincenty Wencel, radca kolegialny, emerytowany urzędnik warszawskiej Poczty i Telegrafu, zmarł 2 października 1924 roku w wieku 74 lat. Jest pochowany na Starych Powązkach. Losy Józefa Wencla są nieznane.

eprasa.pl f2841e161d

Wiesław Godzic

Powroty posłów

W październiku 1790 roku posłowie Sejmu Wielkiego (1788–1792) planowali przerwę w obradach, ale nie doszło do niej. Nie przeszkodziło to – jeśli nie pomogło – Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi wystawić w styczniu 1791 roku komedię *Powrót posła*, stanowiącą w istocie zgrabny asumpt do walki politycznych stronnictw.

Autor był posłem inflanckim, uznał, że najbardziej skuteczne będzie zastosowanie satyry, ironii i absurdu, żeby opisać przeciwnika. Starosta i jego staroszlachecka frakcja obawiają się zamachu na „złotą wolność szlachecką", w szczególności *liberum veto*. Dalej: kwestia chłopska nie jest załatwiona, w gruncie rzeczy wieś żyje w feudalnym systemie. Pospolite ruszenie nieprzewidywalne, czego daje liczne dowody. Pozostają armie zaciężne i wojsko magnatów. Tradycyjny szlachcic sarmacki jest nieukiem odpornym na strategie władzy. Gadanie jest głównym gatunkiem jego obecności w świecie. Przy tym posługuje się językiem, w którym znajdują się liczne makaronizmy z łaciny – brzmi to na ogół w sposób niezamierzony śmiesznie i świadczy o niskiej świadomości komunikacyjnej.

Rok 2025 przyniósł fascynację serialem *1670*, w którym zdruzgotano sarmatyzm jako formację nie tylko za brak ciekawości intelektualnej i prymitywizm w zakresie kultury technologicznej, estetycznej – tak naprawdę wszelkiej kultury. Skoro w sarmatyzmie 2.0., czyli populizmie, przychodzi nam żyć, spójrzmy jeszcze bardziej dogłębnie na zjawisko.

„Ja wiem, że to niesłuszne" (a to skąd?) porównywać teksty literackie, które różnią setki lat. Pisane w innym celu, innym językiem, tworzone w duchu innej tradycji retorycznej. Na szczęście wyrozumiały czytelnik pozwoli na semantyczną zabawę! Popatrzmy na miałkość argumentów konserwatystów.

Czemu służyć mają zawirowania wokół wyboru, czyli wolnej elekcji króla? Zwolennicy prezydenta Nawrockiego nakazują: „wara od królewskiego przywileju" ułaskawienia. Tak, tak – królewskiego! Strategia zabawy wybaczy: *liberum veto* dzisiaj to prezydenckie „nie", często bez uzasadnienia, bądź z wyjaśnieniem urągającym logice. Tym bardziej i coraz wyraźniej pokazują się motywacje korzyści bezkrólewia:

> „Potem amnestia, panom buławy, urzędy,
> Szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy".

eprasa.pl f2841e161d

Liczę na cierpliwość czytelnika, gdy przytaczam mu kolejny wytwór fantazji geopolitycznej przedstawiciela obozu konserwatywnego:

„Obce wojsko jak wkroczy, to wszystko pogodzi". Ha!

Co robić? Wyspiański w *Weselu* sto lat później też nie miał rozsądnej wizji, gdy pisał o przyszłej możliwości walki zbrojnej:

„My z synowcem na czele i jakoś to będzie".

Chyba nie będzie „jakoś". Poseł wróci po odpoczynku i popsuje wszystko to, co z mozołem starają się odbudować Podkomorzy i zgromadzeni przy nim. To już nie musi być sarmata, który rozgląda się wokół siebie i pyta: „Co by tu jeszcze spie…". Mam przed oczami „chłopa", który zaorał świeżo położony asfalt na drodze. Drogę przeznaczono dla wielu domostw, on twierdził, że mu przeszkadza. Takie sobie społeczeństwo obywatelskie.

eprasa.pl f2841e161d

Erin Halleda

Noc, w której stałam się duchem

Brama wyglądała na zamkniętą. Ale nigdy nie była. Wystarczyło mocno przycisnąć wielką, mosiężną klamkę i pchnąć. Stare zawiasy zgrzytały, gdy skrzydło się otwierało, a solidna, żelazna rama szurała po kamiennym progu. Przez artystycznie kute wzory widać było rozciągającą się za bramą przestrzeń. Wielki, stary cmentarz. Niegdyś mieścił się na obrzeżach miasta, z dala od pulsującego życiem centrum, z dala od codziennych spraw mieszkańców. Lecz gdy miasto pożarło już wszystkie wolne parcele, na obrzeżach cmentarza zbudowano wielopiętrowe bloki.

Rozświetlone okna mieszkań, niczym girlandy światełek, rozpraszały mrok łuną, która wlewała się przez ogrodzenie w głąb cmentarza. W wielu miejscach łuna światła rozpraszała cienie rzucane przez rozłożyste drzewa, przez co odnaleźć można było ścieżki pomiędzy rzędami nagrobków. Lecz gęsty syrop mroku rozlewał się szeroko, kryjąc w sobie cmentarne tajemnice.

Pamiętam, że gdy miałam siedemnaście lat, wejście na cmentarz o północy było testem odwagi, podobnym do wzięcia do ręki żywej tarantuli. Miałam wtedy paczkę przyjaciół, rockerów i punków, z którymi włóczyłam się po festiwalach, wakacyjnych biwakach i tanich schroniskach w miastach, które odwiedzaliśmy. W tych wyprawach towarzyszyła mi Marta, moja najlepsza przyjaciółka.

– No nie wiem, Anka, czy mam ochotę na te bzdury – westchnęła zirytowana, gdy stanęłyśmy pewnego razu przed bramą cmentarza. – Te dupki nadal myślą, że tam nie wejdziemy. A przecież już tu byłyśmy, w środku nocy, kilka razy.

– No chodź. Proszę. Pójdziemy w umówione miejsce i zobaczymy, czy któryś z tych frajerów przyszedł. A potem spadamy. – Nacisnęłam klamkę i pchnęłam skrzydło bramy, po czym chwyciłam ją za przedramię i pociągnęłam za sobą.

Umówionym miejscem był wielki drewniany krzyż, stojący na samym środku cmentarza, na placu otoczonym ławeczkami. Stawiano tu znicze dla bliskich, których groby były daleko stąd, i wszelkich nieznajomych dusz, zagubionych i zapomnianych. Dotarłyśmy tam spokojnym spacerkiem, oświetlając sobie drogę małą latarką. Była godzina dwudziesta trzecia trzydzieści. I byłyśmy zupełnie same.

eprasa.pl f2841e161d

Czekałyśmy godzinę. Godzinę! Siedziałyśmy na ławce i paplałyśmy o wszystkim, starając się szczelnie owinąć połami czarnych płaszczy, przed coraz bardziej przejmującym zimnem. Obie miałyśmy wtedy fazę na doorsów, curów i depechów, czarne płaszcze, rozciągnięte czarne swetry, obcisłe jeansy i martensy były naszym znakiem rozpoznawczym.

– Zwijamy się. Oni już nie przyjdą. Pewnie zapili w jakiejś knajpie i śmieją się z nas – rzekła Marta, zrywając się z miejsca, po czym puściła wiązankę przekleństw o tych, którzy wystawili nas do wiatru.

– Masz rację. Idziemy – zgodziłam się, wstając z ławki i ruszając za nią w stronę głównej alei prowadzącej prosto do wyjścia.

Zrobiłyśmy zaledwie kilka kroków, gdy nagle, w głębi alei, usłyszałyśmy głosy. Odruchowo stanęłyśmy w miejscu. Męskie i żeńskie tony mieszały się w głośnej rozmowie i wybuchających co rusz nerwowych chichotach. Grupka nocnych gości cmentarza była dość daleko, a my stałyśmy w mrocznej plamie pod drzewem, więc nie mogli nas widzieć. Szybko zgasiłam latarkę.

– Wystraszymy ich – zaproponowałam cicho, pociągnęłam przyjaciółkę za szpaler wysokich, dorodnych tuj, które niczym zielony mur odgradzały aleję od rzędu grobów.

Im bliżej byli, tym głośniejsze stawały się ich rozmowy, jakby pozorną radością i podniesionym tonem chcieli rozświetlić sobie teren i zagłuszyć pulsujący we krwi strach. Czekałyśmy, przyczajone za tujami.

Byli coraz bliżej. Jeszcze sto metrów. Marta spojrzała na mnie z szelmowskim błyskiem w oczach. Nie potrzebowałyśmy słów. Oblepiały nas mrok i cisza. Stałyśmy tak blisko siebie.

Osiemdziesiąt metrów. W plamie mdławego światła wyłoniło się pięć postaci. Grupa zniknęła w mroku. Sześćdziesiąt metrów. Plama światła. Trzech mężczyzn i dwie kobiety. Znowu zniknęli. Czekamy. Muszą podejść bliżej. Czekamy. Czekamy, Czekamy. Trzydzieści metrów. Czekamy. Czekamy. Czekamy. Piętnaście metrów. Jeszcze tylko kilka kroków. Czekamy. Czekamy. Są prawie na linii z nami. Czekamy. Teraz!

Wyszłyśmy na drogę. Bez krzyków. Po prostu wyłoniłyśmy się zza krzewów, jak dwa pokutne duchy z czeluści grobowego mroku.

To oni wrzeszczeli. Dwóch chłopaków i dziewczyna odwrócili się na pięcie i ruszyli w stronę, z której przyszli. Wysoki chłopak odskoczył odruchowo w bok, pociągnął za sobą drugą dziewczynę, schował ją za siebie w opiekuńczym geście. A ja z Martą wybuchłyśmy śmiechem, głośnym i serdecznym. Psota się udała. Rechotałyśmy jak dzieci z groteskowych bijatyk w kreskówkach.

Z ich strony posypały się przekleństwa i dosadne przycinki pod naszym adresem, wypominające nam głupotę. Lecz gniew szybko złagodziła ulga i nasz zaraźliwy śmiech. Tak, wiem, byłyśmy wtedy głupiutkie i choć nie miałyśmy złych intencji, napędziłyśmy im takiego stracha, że omal się nie posikali. Ci co uciekli,

eprasa.pl f2841e161d

wrócili. Po chwili wszyscy rechotaliśmy i nie przestając się śmiać, poszliśmy w stronę wyjścia.

W koleżeńskiej atmosferze rozstaliśmy się przy bramie, którą zamknęłam z głośnym, metalicznym trzaskiem, zostawiając za nią mrok, groby i duchy.

Czasami myślę o tych bezimiennych ludziach, których młodzieńczą próbę odwagi w tak niespodziewany sposób zmieniłyśmy z Martą w prawdziwy egzamin. Czy to zdarzenie, w którym upiór okazał się zwykłym człowiekiem, dodało im życiowej śmiałości? Naprawdę im tego życzę.

eprasa.pl f2841e161d

Piotr Wojciechowski

Góry patrzą na miasta

Pisane dla „Wyspy”

Co wiozłem do Zakopanego

Wracaliśmy z Kaszub, pilotowani przez przyjaciół, którzy przyjęli nas pod dach leśnego domu na kilka lipcowych dni. Staliśmy na peronie stacyjki Gdańsk-Oliwa, tu mieliśmy się rozstać. Oni tu u siebie, nas trzeba wsadzić do pociągu do Warszawy. W samym środku parominutowego spóźnienia zadzwonił telefon. Przyszła wiadomość, że powinienem być w Zakopanym w ostatnich dniach lipca, od piątku do niedzieli, bo jest tam festiwal literacki, a moja książka *Kartki holnym potargane. Z kronik Podhalańskiej Akademii Wiedzy* nominowana do Nagrody Literackiej Zakopanego. Naturalnie chciałem pojechać, chciałem, żeby mi tę nagrodę dali, bo mam o swoim pisarstwie dobrą opinię. Dużo jednak bardziej chciałem dwu innych rzeczy – myślałem o zanurzeniu się w środowisko festiwalowo-literacko-wydawnicze, a także chciałem mówić z ludźmi, do ludzi o sprawach, które są ważne, a sercu mojemu bliskie. O tych właśnie sprawach myślałem w Turośli, w Puszczy Piskiej, bo udało się nam urwać z Warszawy przed Zakopanym na cudowny międzyczas, na oddech wielkimi lasami, przestrzeniami zielonych polan i pogodnego nieba. Nie na wszystko znalazł się potem czas pod Giewontem, cieszę się więc, że teraz piszę o tym czytelniczkom i czytelnikom „Wyspy”.

A na Krupówkach tłumy

Na Festiwalu wszystko potoczyło się swoim torem, najbardziej martwiła mnie dysproporcja. Były tłumy, ale na Krupówkach – tłumy zadziwiające, bo gęsto przetykane malowniczymi grupami letników z Arabii Szczęśliwej w strojach etnicznych. Równo 30 lat temu w powieści *Harpunnik Otchłani* (wydawnictwo Odeon 1996!) przewidziałem tłumną obecność takich przybyszów pod Giewontem. Miałem ich więc wśród tłumów na głównym deptaku Zakopanego i w knajpach. A na Festiwalu? Tu wszystko raczej kameralnie, skromnie. Grupki społeczeństwa czytającego

eprasa.pl f2841e161d

na imprezach Festiwalu rzadko były liczniejsze niż dwa tuziny dusz.... Ale przecież spotkałem przyjaciół, doznałem miłego przyjęcia ze strony organizatorów, dowiedziałem się wiele i mam impuls, aby myśleć o wydawcach, systemie nagród i festiwali, o czytelniczych gustach i perspektywach kultury książki.

Dwie książki, dwa miasta

Nagrody były pełne znaczenia, oboje z moją córką Gabi ucieszyliśmy się, że najlepszą dostał Stanisław Łubieński, skromny ekolog, dobry pisarz. Napisał o Warszawie, ale słusznie nagrodzono go w górach, to syn alpinisty i narciarza, Tomasza Łubieńskiego, niedawno zmarłego poety, dramaturga, historyka. Rok temu pisałem dla „Nowych Książek" recenzję tej nagrodzonej teraz książki – *Drugie życie Czarnego Kota* – nie szczędziłem pochwał za naukową pilność, pisarski talent, mądrość i wizję. Teraz mogłem odkryć, że Stanisława Łubieńskiego eseje warszawskie w osobliwy sposób wchodzą w historiozoficzny dialog z inną książką, która błysnęła na zakopiańskim Festiwalu. To *Wysokie niebo nad Madrytem*. Klaudia Pieszczoch, poetka z tego samego co młodszy Łubieński pokolenia, ze swadą prezentowała swój prozatorski debiut podczas jednego ze spotkań na Placu Niepodległości.

Łubieński pisał o rodzinnym mieście, o jego ukrytym życiu biologicznym, drzewach, ptakach, chwastach z ruin, grzybni na pianie ze studzienki ściekowej. Pisał też o swoim życiu i o historii Warszawy. Poetka Klaudia była w Madrycie przybyszem zachłyśniętym wielością dzielnic, bogactwem tradycji, ludźmi, po tysiąckroć ludźmi. Nie pisała o sobie, pokazywała knajpy i uliczki, ruiny i festyny, modę i politykę. Dwie książki różniące się temperamentem, stylem, osobnością warsztatu, językiem, obrazowaniem. Obydwie wciągają czytającego w głębię, w tajemnice. Przedmiot jednej jest taki sam jak drugiej – ogromne miasto, w którym trwa pamięć o tym, że latami musiało iść przez piekło. Ogromne miasto stojące na kościach ofiar przemocy, zaminowane śladami okrutnych walk.

Myślę sobie o losie Madrytu i tak innym losie Warszawy, o ludziach, którym przydarzyły się te miasta. O przemilczanej historii Madrytu i zamienionej w mit i sacrum historii Warszawy. Wrosłem w warszawską Sadybę, jestem wdzięczny, że dzięki książce Stanisława Łubieńskiego nauczyłem się pewnego stylu patrzenia na miasto, słuchania jego ptaków, wąchania chwastów. Już inaczej myślę o tym, co było tu w 1944. Są głębiny, a w nich niewypały, czaszki, rdzewiejąca broń. A rośliny wracają, ich korzenie obejmują tamte relikwie. W wielu tekstach piszę o wspólnocie losu ludzi, roślin, narodów, galaktyk i kultur z przekonaniem, że łączy nas ewolucja. To ona jest ważna, bo uformowała nas i świat wokół nas. Kiedy nasze Jeziorko Czerniakowskie wysycha przez zmianę klimatu, to dzieje się to nie tylko przez chciwość i ślepotę ludzkiej cywilizacji, ale także jako skutek rozpędzonego mechanizmu ewolucji.

eprasa.pl f2841e161d

Dobrze się stało, że zaproszono mnie do Zakopanego. Przejęty zaproszeniem, starałem się jakoś do tego święta książki przygotować. Tak jak zapowiadałem na wstępie, teraz czas zebrać myśli, które wiozłem do Zakopanego niepewny, czy tam będzie możliwość rozmowy istotnej. Tych szans było niewiele – a może były, a nie we wszystkie umiałem się włączyć. Nie wyjechałem jednak z poczuciem niedosytu, ale przeciwnie – z poczuciem wdzięczności do gór, które okazały się łaskawe i do ludzi gór, od których doznałem dobrego przyjęcia. A poniżej kilka uwag na dwa zakopiańskie tematy.

O samotności pisarza i konieczności literatury

Dobrze, że jesteś, pisarzu, ale nie było cię, jesteś, znów cię nie będzie. Nie musisz być, chociaż czasem jesteś bardzo potrzebny. Literatura musi być. Tak jak góry. Ona, literatura, jest częścią ogromnej rzeki narracji towarzyszącej naszemu gatunkowi od tych czasów, w których nauczyliśmy się mówić. Literatura ogarnia i usprawnia te przestrzenie naszego istnienia, które są najbardziej ludzkie, najdelikatniejsze, dotykają wyżyn wzruszenia i patosu, zachwytu i mistyki, głębi, prawdy i finezji.

Henryk Elzenberg wiedział to, pisząc, że „literatura jest krwiobiegiem kultury" – ale przecież widzę, jak szeroko trzeba to pojmować. Literatura żywi prawo, dyplomację, wszelkie nauki, a także nasze sprawy romansowe i rodzinne. A jeszcze – literatura obsługuje imaginarium mitów i symboli, pozwala tej sferze myśli i ducha odnawiać się, rozwijać, przenikać historię i powszedniość.

Pisarz jest pracownikiem literatury. Istotą życia pisarza jest osobliwa pisarska samotność skierowana ku odpowiedzialności za zbiorowość, za wspólnotę.

Pisarz istnieje wewnątrz literatury, pojmowanej jako zbiorowisko ludzi, dzieł, tradycji i teorii, musi więc zdawać sobie sprawę, jakie są zagrażające literaturze moce. Szkodliwa dla literatury jest nienawiść, a jeszcze bardziej szkodliwa jest obojętność. Nienawiść może przynajmniej być tematem, wątkiem dramaturgicznym, może objawiać się w literaturze jako nie-miłość. Jako nieszczęście nienawidzących i nieszczęście nienawidzonych. Problem i przykazanie miłowania nieprzyjaciół to najpiękniejsza perła, jaką dostała literatura od tradycji Ewangelii.

Meblując swój warsztat, pisarz musi coś zrobić z nienawiścią i obojętnością, bez tego nie jest w stanie wykonywać swojej pracy. Ma przecież tworzyć jakieś teksty dotyczące przygód ludzkiego życia, teksty nieobojętne wobec prawdy, piękna, wierności i dobra. Ma tworzyć teksty współtworzące literaturę, ten wielki młyn, z którego wspólnoty i jednostki dostają dary sprawności i bogactwa języka, dalekosiężnej i wielobarwnej wyobraźni, umiejętności nawiązywania przyjaznej rozmowy.

eprasa.pl f2841e161d

O górach

Dziwne mi to było – w Zakopanem być, w góry nie iść. Ale serce było w górach, a w pamięci wracali przyjaciele z dawnych lat. Musiałem pomyśleć o górach jako o niezwykłym miejscu, które jest nad wszelkimi miejscami. Góry są ważne dla osobnych ludzi, dla kultur i religii, dla narodów i państw. Tatry są górami, które potwierdzają to wszystko.

Góry są piękne, wielkie i trudne. W górach doświadczamy ich wielkości i potęgi, a przez to dowiadujemy się coś o naszej własnej wielkości, tak często małej. Góry mówią nam, żeśmy słabi i śmiertelni, ale jednocześnie mają dla nas momenty mocy, zachwytu, zwycięstwa. A do tego w górach przeżywamy takie momenty razem z innymi. One mają moc łączenia ludzi osobliwą przyjaźnią, wzajemną wdzięcznością, mocnymi wspomnieniami. Wspólny trud skalnej czy śnieżnej wspinaczki, upojenie narciarską przygodą lub przygodą jaskiniowej eksploracji łączą ludzi, a także pozwalają na głębokie wzajemne poznanie. Góry dają nam wypróbowanych przyjaciół, a górskie schroniska ciągle jeszcze bywają miejscem rozmów dogłębnych i wolnych od pośpiechu. Leje deszcz, a do jadalni zaczynają przychodzić znajomi albo sympatyczni nieznajomi, których jeszcze wczoraj pozdrawiałeś na szlaku.

Góry nas uczą i egzaminują – góralska bystrość to wynik stuleci tej nauki. Po dolinach chodzisz tak, jak chcesz – zagapiony, nieuważny. Jak chcesz chodzić po górach, naucz się uważności, wyćwicz do niej ciało i zmysły. Inaczej dorobisz się guzów albo dodasz GOPR-owcom roboty.

Więcej jeszcze tajemnic mają dla nas góry – dlatego wzywają tak licznych. Presja rynku chce zamienić góry w towar. Ale gdy góry stają się towarem, niejednemu górskiemu – czy góralskiemu – orłowi – grozi to, że obudzi się na targu wypchanych ptaków.

eprasa.pl f2841e161d

Nowa rzeczywistość zaczyna się w tobie – kreacja świata w twórczości Olgerda Dziechciarza

Olgerd Dziechciarz, *feng szui*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, Mikołów 2025

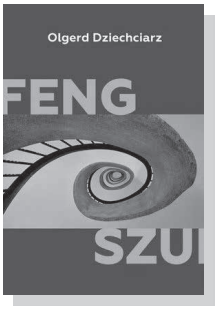

Feng szui to chińska sztuka planowania swojej przestrzeni, której założeniem jest osiągnięcie zgodności ze środowiskiem naturalnym. Takie informacje, a nawet szczegółowe zasady, z łatwością można znaleźć na internetowych stronach. Jaki to ma związek z poezją? Otóż Olgerd Dziechciarz, poeta posiadający ogromny dorobek literacki, używając tego określenia, nadał tytuł zbiorowi wierszy (ro)zebranych z lat 1985–2024. Tom jest podkreśleniem rzetelnego warsztatu czterdziestoletniej pracy twórczej. Dziechciarz zadebiutował w 1985 roku w prasie podziemnej i od tamtego momentu wydał dwanaście książek poetyckich, zbiory felietonów, opowiadań oraz cztery powieści. Jego twórczość tłumaczona jest na języki angielski, niemiecki i serbski.

Zbiór *feng szui* to ogromne wyzwanie dla czytelnika. Jego treść stanowią utwory pochodzące z poprzednich tomów wierszy Dziechciarza, antologii, internetu, a nawet zostały wyjęte ze spodu szuflady. Tom jest różnorodny i wymagający. To wyjątkowe spojrzenie na świat. Można odnieść wrażenie formowania rzeczywistości w ciągłej przemianie. Zauważalne jest wychodzenie poza dostępne schematy, by pokazać zmienność tego, co nas otacza. Pojawia się pytanie, skąd pomysł na tytuł? A skoro już został zastosowany, to czy brać go jako dosłowność, czy raczej ma działanie ironiczne? Feng szui zakłada realny wpływ na rzeczywistość przez odpowiednie ustawienie elementów, jednak czytając:

> przeżyłem
> pranie mózgu w szkole[1]?

[1] Olgerd Dziechciarz, *feng szui*, Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka, 2025, s. 6.

eprasa.pl f2841e161d

można mieć mieszane odczucia. Do jakich wniosków tytuł ma doprowadzić czytelnika? Świat składa się z wielu płaszczyzn, tylko nie zawsze jest to zauważalne. Tak też jest tutaj. Nie dostrzeżemy na pierwszym planie harmonii, o jakiej czytamy w definicji feng szui. Łatwiej czytelnikowi będzie zauważyć brak magnetyzmu pomiędzy płaszczyznami, który pozwoliłby na spokój i opanowanie. Dziechciarz chce, by odbiorca, „wędrując w lesie jednakowych drzew”[2], dostrzegł proces wtapiania ludzi w obraz pozbawiony moralności:

lubimy pogrozić komuś palcem
podrzucić świnię
kopać dołki lub wbić nóż
w podgardle
lubimy ubierać słowa
w kaftany bezpieczeństwa[3],

w którym podmiot poddaje się temu zabiegowi, gdyż nie potrafi funkcjonować w chaosie. Dla wygody woli uzależnić się od zdeformowanej kultury. W pierwszym odbiorze zbioru to raczej rozbudowany zestaw utworów, będących zdecydowanie projektem anty feng szui, w którym natura i kultura przestają być rozróżniane. Nie podważa to w żaden sposób wartości wierszy Dziechciarza, bo „wszystkim nam do twarzy w kurzu / w kurzu jest nasze miejsce”[4]. Ten ekosystem zastępuje relacje pomiędzy naturą, kulturą i twórczością ich własnymi karykaturami. Widoczne są wprawdzie więzy, ale brakuje silnego węzła pozwalającego na przetrwanie. Olgerd Dziechciarz pokazuje świat, w którym nastąpił rozpad wartości, brak jest norm i zasad, jakie powinny istnieć w relacjach:

w którą stronę się nie odwrócisz
zawsze stoisz tyłem
czy tak nie jest[5],

w kontakcie kobiety i mężczyzny:

wolność to nie prawo do zrzucania majtek
gdzie bądź[6],

2 Tamże, s. 11.
3 Tamże, s. 25.
4 Tamże, s. 404.
5 Tamże, s. 34.
6 Tamże, s. 38.

eprasa.pl f2841e161d

gdzie codzienność staje się przestrzenią, w której mieszają się prywatne emocje i przypadkowe obrazy. Wszelkie porządki podlegają napięciu i skażeniu. Poeta nie obawia się zaprezentować rzeczywistości przez pryzmat pęknięć i niedoskonałości. Stara się uświadomić, że równowaga została utracona, a jedyne co pozostaje, to nauczyć się żyć od nowa, bo „o wolność to walczyli robotnicy”[7], a „wolności nie można zjeść / na kolację / popić piwem zagryźć ciastem / trudno ją przełknąć / staje w gardle / jak dyktatorom anarchia / a bankierom galopujące stado / nieosiodłanej inflacji”[8].Oczywiście podmiot Dziechciarza nie pozostaje całkowicie pozbawiony uczuć i odczuć. Ma sprawiać jedynie takie wrażenie. Jego rola jest znacznie większa. I gdy krzyczy:

> wy którzy pielęgnujecie w sobie
> amoralną wręcz czystość
> nie tykajcie świni to nie uchodzi[9]

to po to, by czytelnik dostrzegł, że „zasłużyliśmy na remont generalny / przegląd skorodowanych zębów / wizytę w myjni i nowe filtry / wymianę zużytych części mowy”[10]. Chce, by zauważyć, że wszelka pustka, jakiej się doświadcza, stała się normą:

> potem pustkę wypełniamy niczym
> to znaczy tym co mamy akurat pod ręką
> może być dom, samochód i inny artefakty[11]

wygodną dla człowieka. Można powiedzieć:

> Wiem, że nic nie wiem, a więc jestem wybitny. Moja niewiedza
> jest rozległa niczym ocean. (…)
> Tonie się w mętnej wodzie i gęstej mgle braku znaczeń[12].

Rodzi się kolejne pytanie. Czy Olgerd Dziechciarz przez lata swojej twórczości obdzierał rzeczywistość z warstw? Zdejmował je kolejno, a każda następna miała ukazać coraz trudniejszy do przyjęcia obraz. Pozbawienie świata wszelkich zasad i norm przestaje być problemem, a staje się nowym porządkiem, nowym

7 Jw.
8 Tamże, s. 19.
9 Tamże, s. 35.
10 Tamże, s. 47.
11 Tamże, s. 65.
12 Tamże, s. 356.

eprasa.pl f2841e161d

kryterium istnienia. Podmiot nie porusza się dobrowolnie po płaszczyznach, jest w nie wkomponowany. Co gorsza, nie przeciwstawia się temu zabiegowi. Nie zauważa odgórnego planowania jego roli:

ziemia odbija nas
jak piłkę

spadamy idealnie tam
gdzie ona chce, byśmy upadli[13].

Dziechciarz wyraźnie zaprezentował ten problem w wierszu *Ojczyzna odwdzięczyła się panu Dybkowi*. Próba działania, wbrew idei przyjętego ładu, kończy się „wilczym biletem". A wszelkie rekompensaty po latach mogą być jedynie komediową wizją codzienności, bo świat okazuje się od początku poskładany z pęknięć:

Bóg jaki jest
każdy widzi[14].

To silne dążenie autora do przedstawienia czytelnikowi konsekwencji powstających ubytków, chociażby słowami:

dla sławy i władzy poświęci wszystko
zdrowie rodzinę i dzieci[15]

ma uświadomić, że „życie jest wodą / złożoną w darze / przeciekającą przez palce"[16]. To, czy zapanuje się nad zmieniającą się rzeczywistością, czy rzeczywistość zapanuje nad nami, zależy wyłącznie od osobistej postawy. Wprawdzie „nie wierzymy na słowo / ale już dwa słowa / mogą czynić cuda"[17].

Książkę Dziechciarza można przeanalizować od początku do końca pod względem zderzenia utworów z nadanym tytułem. Pokazać załamanie zasad harmonii na wielu polach. Można pozwolić sobie na stwierdzenie, że poeta przedstawił czarną wizję świata. Chylenie się ku upadkowi wszelkich wartości, jakimi w życiu powinno się kierować. I choć to wszystko jest znaczącą częścią zbioru, to jednak tylko wycinek. Nie bez przyczyny tytuł ma drugą część, a mianowicie *wiersze (ro)zebrane*. Z jednej

[13] Tamże, s. 100.
[14] Tamże, s. 146.
[15] Tamże, s. 388.
[16] Tamże, s. 144.
[17] Tamże, s. 180.

eprasa.pl f2841e161d

strony można uznać, że autor mówi o tym, co widoczne, by naprowadzić czytelnika na odpowiednią ścieżkę, z drugiej – czytając Dziechciarza, czuje się, że poeta wcale nie planuje obdarować czytelnika sposobem rozwiązania problemu. Zresztą, wszystko u Dziechciarza musi mieć drugie dno, bo to poeta nietuzinkowy. Przez lata swojej twórczości pokazał, że pisze po coś, bo „Łatwo już było – teraz będzie ciężko i jak po grudzie”[18]. Jednak Dziechciarz ubiera w słowa to, czego podmiot jest pewien, czyli wszechogarniającą niemoc, podporządkowanie się i życie w narzuconych ramach. Te ramy dają z jednej strony poczucie stabilizacji, z drugiej „W środku go nie ma”[19]. Podmiot nie tworzy tej historii, bo „Historia ma ślepe dzieci / Trzeba je przydusić jak krety”[20]. Jest tylko od urodzenia jej częścią, niezależnie od własnego zdania, lepioną pod wszelkie schematy. Ta niemoc względem życia staje się iluzją wyboru w zamkniętym systemie. Odnosząc się do pierwszej części rozważań, można ironicznie powiedzieć, że Dziechciarz pokazał świat, w którym nie ma nic poza ramami. To, co znajduje się wewnątrz, jest stworzoną, na potrzeby systemu, wersją feng szui. Wolność zostaje zablokowana i ukształtowana przez rzeczywistość. „Wszystko jest sztuką / trzeba tylko myśleć / i umieć ją zobaczyć / w niczym”[21], która ma przekonywać do racji wszelkimi dostępnymi metodami:

> Zmuś swój umysł do wolności Odprowadź sens w krzaki
> Niech wyciągnie nogi Niech obetrze czystą buzię[22].

Cały zbiór to zestaw smutnych poglądów, spojrzeń i ocen. Autor nie zataja emocjonalnego stanu swojego podmiotu:

> Usankcjonowano naszą samotność. Wolno nam do woli
> taplać się we własnym sosie. Bębnić palcami. Drapać
> się po głowie. Gryźć sumienie. Myśleć o wczorajszym[23]

wręcz nakazuje przejąć go czytelnikowi:

> (…) Porzućmy wszelką nadzieję, my, którzy ziewamy
> i truchlejemy. Koniec końców nie spotka nas taki koniec, na jaki sobie
> zasłużyliśmy. Zostaniemy wymazani gumką, jak nieudolny rysunek[24].

[18] Tamże, s. 338.
[19] Tamże, s. 216.
[20] Jw.
[21] Tamże, s. 97.
[22] Tamże, s. 225.
[23] Tamże, s. 262.
[24] Tamże, s. 261.

eprasa.pl f2841e161d

Podmiot trwa we wpojonych przekonaniach, a poeta zadaje pytanie:

> (…) Czego się boimy? Tego, czego boi się każdy żywy
> człowiek: że ktoś nas rozrysuje na papierze, rozłoży na czynniki pierwsze,
> a na koniec udoskonali (…)[25].

Jest to kolejna świetna zagrywka autora. Podmiot Olgerda Dziechciarza wprawdzie sprawia wrażenie podporządkowanego, jednak autor nie ma na celu zrobienia z niego niemoty. To tylko narzucona na niego płachta, by nie został pozbawiony możliwości własnego głosu. Zadaniem jego jest, by ten głos z wnętrza siebie usłyszał. Ma też prowokować czytelnika do refleksji i sprzeciwu. Poeta, poprzez postawę bohatera, chce wstrząsnąć czytelnikiem, by zrozumiał, że „To bardzo specyficzne uczucie – być wolnym, nawet czując / nóż na gardle"[26]. Czytelnik, a wewnątrz zbioru podmiot, ma uderzyć się w czoło, otworzyć szeroko oczy i spojrzeć na wszystko jeszcze raz. Ma pojąć, że nie może pozwolić sobie na bycie biernym w świecie, w którym przyszło mu żyć:

> Jesteś zdany wyłącznie na siebie. Tylko czy możesz sobie zaufać?[27],

by nie dawać przyzwolenie na działania, z którymi się nie zgadza. I najważniejsze – musi zrozumieć, że od jego jednego głosu bardzo dużo zależy. Takie pojedyncze głosy potrafią stworzyć ogromną manifestację sprzeciwiającą się, bo „… Jeden procent / więcej i nie będzie drugiej tury…"[28]. Nie bez powodu „Żyjemy w epoce w której niczego nie zostawia się wyobraźni"[29], więc powinniśmy zacząć działać.

Należy wyraźnie zaznaczyć, że Dziechciarz nie mówi wprost, a mimo to jego utwory pokazują, że brak gotowości do podejmowania świadomych działań i realnego wpływu na własne życie zaciska pętlę wokół szyi. Stąd też stwierdzenie, że ułożenie kolejnych zbiorów, a tym samym wierszy, w tej książce poetyckiej ma znaczenie. Stworzony został literacki obraz świata pozwalający na uzyskanie cennych wskazówek. Poeta, przy tak wypracowanym warsztacie, nie potrzebuje stosowania dosłowności, a mimo to pokazuje, że głównym problemem, z jakim przychodzi się mierzyć, nie jest głupota sama w sobie. Bolączką jest to, że stworzone pozory, idealnej przestrzeni, działają skuteczniej niż prawda:

[25] Tamże, s. 285.
[26] Tamże, s. 313.
[27] Tamże, s. 289.
[28] Tamże, s. 280.
[29] Tamże, s. 319.

eprasa.pl f2841e161d

> Pozory rzadko mylą, więc głupiec nie musi
> niczego udowadniać[30],

a kreowany, na potrzeby danej rzeczywistości, schemat odzwierciedla założenia jego twórców. Na drodze bowiem pojawiają się ludzie, którzy chcąc dominować i narzucać swoją wyższość:

> patrzcie podziwiajcie moje księżycowe ruchy
> i blask który ode mnie bije niepośledni gdzieś[31],

wykorzystują swoje położenie. Jeżeli jednak zacznie się samodzielnie myśleć, to „przyjdzie czas zemsty"[32] i cały system się odwróci, gdyż „… nawet my / główni aktorzy / nie dajemy się nabrać"[33]. Jego podmiot nauczył się mówić głośno:

> Nigdy więcej nie damy się zmanipulować. Nie zapędzicie nas do tiurm. Teraz to my będziemy decydować[34]

i tego Dziechciarz oczekuje od czytelnika. Umiejętność poruszania się w niedoskonałości świata może okazać się sposobem na odkręcenie wszystkiego, co już się zadziało. Dążyć to ma do chwili, gdy znów będziemy „(…) tacy jacy powinniśmy być / aż do niezawinionej śmierci"[35]. Należy zrozumieć, że dopóki wierzy się we wszystko, to tak naprawdę nic nie ma znaczenia. Trzeba działać mimo niepełnej wiedzy na temat tego, co będzie, bo „jesteśmy jak rzeźba / doskonała bo nieskończona"[36].

Rodzi się na koniec pytanie, jaki ten świat tak naprawdę jest? Czy kolejne, następujące po sobie systemy kreują go wyłącznie pod własne potrzeby, czy może jednak wyciągają wnioski z tego, co pozostawił poprzednik? Dziechciarz, oddając tak obszerny zbiór wierszy, lata pracy twórczej, stara się dotrzeć do odpowiedzi na to pytanie. Po lekturze utworów jedno jest pewne:

> jeszcze nie wiemy
> że tak już będzie zawsze[37].

30 Tamże, s. 348.
31 Tamże, s. 374.
32 Jw.
33 Tamże, s. 136.
34 Tamże, s. 341.
35 Tamże, s. 400.
36 Tamże, s. 401.
37 Tamże, s. 402.

eprasa.pl f2841e161d

Nie naprawimy świata, ale możemy zmodyfikować sposób funkcjonowania, tak, by uwzględnić wszystkie płaszczyzny. Człowiek ma w sobie ogromną zdolność do działania. Może zmienić sposób postępowania. Tom Dziechciarza to pesymistyczna, ale zarazem mobilizująca diagnoza współczesności, zachęcająca do odzyskania świadomości i sprawczości.

Intrygujący zbiór Olgerda Dziechciarza to twórczość, która podejmuje, w przewrotny i krytyczny sposób, temat rzeczywistości wciąż tworzonej od nowa. Tworzonej na potrzeby tego, co jest akurat przydatne. Kreowanej czasami przez niespełnione ambicje i chęć dominacji. Zamiast budować wizję harmonii, co miał zasugerować tytuł książki poetyckiej, Olgerd Dziechciarz pokazuje świat zdeformowany, pozbawiony równowagi i spójnych wartości. Jego poezja odsłania pęknięcia rzeczywistości, chaos i iluzoryczność porządku narzucanego przez kolejne systemy społeczne, wręcz demaskuje świat. Pokazuje człowieka jako podporządkowany element rzeczywistości. Wszystko ma jednak swoją przyczynę. Tak też jest w przypadku książki *feng szui*. Dziechciarz, jako doświadczony autor, postanowił sprowokować czytelnika do refleksji nad jego rolą w świecie. Wręcz wzywa go do odzyskania świadomości oraz indywidualnej odpowiedzialności za to, co dzieje się wokół niego, bo:

> w akwarium nie ma demokracji
> i być jej nie może
>
> tutaj każdy myśli
> wyłącznie o sobie
> (…)
> wszyscy mają coś do ukrycia[38].

Te wiersze stanowią próbę wykreowania nowych zasad, którymi chciałoby się zastąpić chińską sztukę aranżacji przestrzeni, by pokazać, jak należy żyć w świecie, gdzie harmonia jest praktycznie nieosiągalna.

SYLWIA KANICKA

[38] Tamże, s. 389.

eprasa.pl f2841e161d

Spotkanie z Helladą

Tomasz Piotr Kozłowski, *Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami*, Powergraph, Warszawa 2026

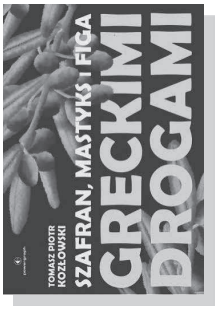

Wyjątkowy przewodnik po wspaniałym kraju, gdzie narodziła się nasza cywilizacja. Nie jest to jednak zaproszenie do podróży po najważniejszych i najpiękniejszych miejscach, jak w klasycznych publikacjach dla turystów. Tym razem w zaskakująco piękny sposób autor prowadzi czytelnika od jednej rośliny do drugiej, od jednego smaku i zapachu do kolejnych. Tomasz Piotr Kozłowski poznał Grecję wręcz całkowicie, w opisie spotkania na jednej z wysp wyznaje: „drogą mi Lesbos odwiedzam co roku, mam tu wielu przyjaciół". Po raz pierwszy dotarł do Grecji w lipcu 1977 roku, na Kretę. We wstępie stwierdza, że książka „jest wynikiem przeszło sześćdziesięciu pięciu wyjazdów podczas dwudziestu ośmiu lat podróży do Hellady: przeżyć, fascynacji, rozmów, obserwacji i lektur, w tym wielu książek wyszukanych w greckich księgarniach i w domach przyjaciół".

Każda z opowieści jest fascynująca – o greckich targach, o żywicy mastyksowej, która „rozpalała ludzkie emocje od antyku po czasy osmańskie", o wiekowych drzewach oliwnych i o oliwie, o której można opowiadać bez końca, a jej współczesny proces produkcji „jest zmechanizowany, lecz mimo to ma w sobie coś magicznego", a „oliwka to nieodłączny element greckiej tożsamości, odwieczna podpora rodzin i nadzieja na przyszłość". A także o figach, storczykach, orzeszkach pistacjowych, szafranie, kasztanach, granatach, miodzie i oczywiście o winoroślach i winie, a także o bawełnie, morwie i produkcji jedwabiu czy o kawie, jaką się pije „w wersji *gliko* (słodka), *metrio* (ze średnią ilości cukru) czy *skieto* (gorzka)". I o bogatym świecie roślinnym, czyli o *Flora Graeca*, bo „odkrywanie kwitnących i na różne sposoby ciekawych roślin może przynosić wiele zachwytu i emocji". Oczywiście książka nie zastąpi nam podróży do greckiego świata, ale bez niej jego poznanie będzie bezbarwne, bezwonne i pozbawione smaku, bo autor potrafi to barwnie i smacznie przedstawić w dziesiątkach opowieści i anegdot.

PIOTR DOBROŁĘCKI

eprasa.pl f2841e161d

PERYSKOP

Po długim rejsie wynurzył się wreszcie *Peryskop*, czyli rubryka, w której odnotowujemy wybrane tytuły napływające do naszej redakcji. A poczta redakcyjna niezmiennie jest bardzo bogata, za co wszystkim nadawcom serdecznie dziękujemy!

Zacznijmy od najnowszej książki Krzysztofa Lisowskiego, tak blisko związanego z „Wyspą". Jej tytuł brzmi *Kawafis w Krakowie*, a ukazała się w serii *Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod opieką Michała Zabłockiego* (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, ISBN 978-83-979871-4-2).

Autor zebrał w obszernym tomie krótkie teksty dotąd rozproszone, publikowane w wielu miejscach i w różnym czasie. Teraz czytelnicy otrzymali szczególne dzieło, które pozwala zanurzyć się głęboko w atmosferę greckiego świata. Świat ten jest bardzo rozległy, z jednej strony sięga do Sycylii, a z drugiej – po wybrzeże Morza Czarnego, gdzie autor w dzieciństwie trafił z wizytą do dalszej rodziny w Krasnodarskim Kraju, osiemdziesiąt kilometrów od Soczi. Właśnie tam i wtedy zaczęła się dla niego Grecja, wielka miłość życia. I sposób na jej smakowanie: „zakończenie naszej całodziennej wyprawy to obiad w Kefalos na wschodnim cyplu wyspy. Grillowane kalmary, dużo wody, karafka schłodzonego białego wina, retsiny. Tuż przy plaży wysepka, na której zbudowano niewielką cerkiew. Krajobraz niezwykły. I wrażenie, że te małe wypiętrzenie dopiero przed chwilą wynurzyło się z morza".

Oczywiście Konstandinos Kawafis nie był nigdy w Krakowie, ale „znalazł jednak grecki poeta z Aleksandrii wspaniały dom w spolszczeniach jego utworów właśnie w Krakowie, za sprawą Ireneusza Kani", fenomenalnego tłumacza, poligloty i eseisty, autora przekładów ponad stu książek z kilkunastu języków, starożytnych i współczesnych, w tym: z sanskrytu, tybetańskiego, hebrajskiego, rumuńskiego czy francuskiego. Kawafis, jak czytamy, „wiersze swe upowszechniał »rzadko i niechętnie«". Zdanie to dedykujemy licznym osobom, które nie mają oporów z ogłaszaniem każdego zdania, jakie udało im się zapisać. Ale zawsze na prawdziwą poezję czekamy!

I jeszcze jakże nam bliski cytat: „Wyspa spełnia nasze oczekiwania. Zaspakaja tęsknoty. Zapewnia luksus braku. Brak kontaktu, który jest coraz bardziej ekskluzywnym towarem współczesności".

Z kolei w serii *Krakowska Biblioteka Młodych Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod redakcją Michała Zabłockiego i Miłosza Biedrzyckiego* jako tom 24. ukazał się zbiór krótkich utworów pisanych prozą poetycką Mariusza Góry zatytułowany *Sny* (ISBN 978-83-9765-728-1). Jego redaktorem jest wspomniany Krzysztof Lisowski, czyli wszystko odbywa się w dobrym krakowskim towarzystwie. Autor urodził

eprasa.pl f2841e161d

się w Starachowicach, mieszka w Warszawie, studiował elektronikę w Krakowie, a w Lublinie ukończył filozofię. Zapewne zebrał ciekawe wrażenia z tych miast. Jego debiutancki *Wojtuś* przyniósł mu nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Tutaj jestem", organizowanym przez Podlaski Instytut Kultury, a także wyróżnienie w kategorii „najlepsza książka polska" w konkursie Lista Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej oraz w kategorii literackiej konkursu Książka Roku 2023 Polskiej Sekcji IBBY. *Sny* to jego druga książka. Dzieli się na dwie części: *Tata* i *Mama*, oboje są głównymi bohaterami krótkich opowieści wraz z autorem i Pikusią, która „trochę różni się od innych królików". Wyłowiliśmy fragment bardzo na czasie: „Wróciliśmy znad morza pod koniec sierpnia. Niebawem miała zacząć się szkoła. Dni były krótsze niż na początku wakacji, ale równie upalne, a może nawet bardziej".

Kolejny tytuł, który nas zafrapował, to *Lato z Don Kichotem* Williama Marxa w przekładzie Agaty Kozak (Noir sur Blanc, ISBN 978-83-8403-102-5). Od czasu, gdy Artur Matys publikuje w „Wyspie" eseje o Don Kichocie, każda książka o wielkim dziele Miguela de Cervantesa zwraca naszą uwagę. W tym przypadku mamy do czynienia z dziełem wybitnym, obowiązkową lekturą każdego miłośnika wielkiego dzieła i jej bohatera, który stał się nie tylko postacią literacką, ale też znaczącym symbolem plastycznym – w malarstwie, grafice i rzeźbie, co wspaniale dokumentuje właśnie Artur Matys w swoich publikacjach. Jak przekazał wydawca, *Lato z Don Kichotem* jest „zaproszeniem do intelektualnej podróży, podczas której śmiech zastąpi egzystencjalne rozterki. Zanurzenie się w tę opowieść i zaprzyjaźnienie z jej głównym bohaterem działa jak balsam na skołataną duszę". Na końcu tomu zamieszczono wykaz książek na temat Cervantesa i *Don Kichota*, z jakich korzystał autor. Może warto tę bibliografię poszerzyć o polskie przekłady *Don Kichota*, jak i prace o tej tematyce, jakie ukazały się w naszym kraju?

Z redakcyjnej poczty wybieramy kilka kolejnych nadesłanych tytułów. Z Klubu Integracji Twórczych Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu od dawna otrzymujemy tomiki poezji. W najnowszej przesyłce znalazł się tomik Artura Kibiłda zatytułowany *przemysł piaskowy* wydany jako 30. tom w serii *Faktoria Poezji* pod red. Radosława Wiśniewskiego (ISBN 978-83-61381-19-8). Autor jest finalistą dwóch edycji Połowu Poetyckiego organizowanego przez Biuro Literackie i XXIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina 2023. Wybieramy z tomiku wiersz zatytułowany *plaża*, który ma chyba korespondować z jego tytułem:

dzwoni ojciec
kiedy jestem mewą
jak mewa siostra zakonna ciągnie konia
wypchanego kamieniami
jak powtyka te kamienie w piasek
stworzy kocioł czarownic.

eprasa.pl f2841e161d

Naszą uwagę zwrócił też tomik Sławomira Matusza *Pochowajcie mnie w Pasie Kuipera* (Fundacja im. Jana Kochanowskiego z Sosnowca, ISBN 978-83-64502-13-2), a w nim posłowie i *Refleksja o »niedomknięciu« w poetyckim uniwersum Sławomira Bohdana Matusza* autorstwa Anny Łozowskiej-Patynowskiej. Wybieramy z tekstu kilka zdań: „Sławomir Bohdan Matusz nie pisze wierszy po to, by wygodnie »umościć się« w literackiej tradycji. On tę tradycję rozsadza od wewnątrz, a wektor swoich poszukiwań kieruje z dala od salonowych polemik. (…) Ponadto autor zbioru sięga po poezję konkretną, formę, która wizualnie »płacze«, obrazując cierpienie w samym akcie wypłakiwania się" (…) „Język Matusza tworzony jest w niemal drapieżnym akcie samookreślenia" (…) „Wiersze Matusza mają strukturę punktu, czegoś, co jest »początkiem wszystkiego«, a jednocześnie »milczącą obecnością na marginesie ruchu«". Jak jeszcze czytamy, „Zbiór ten nosi wyraźne znamiona pożegnania", a dalej znajdujemy wyjaśnienie zagadkowego tytułu: „*Pochowajcie mnie w Pasie Kuipera* to pragnienie równie nierealne, co głęboko konstytutywne dla filozofii Matusza. Pas Kuipera, czyli zimne, dalekie rubieże Układu Słonecznego, stają się metaforą ostatecznego wyzwolenia z gorsetu języka".

I jeszcze jeden tomik poetycki: Łukasza Szopy *ziemia, niebo* (Mamiko, ISBN 978-83-68855-08-1). Otwiera go wiersz *Jahorina*:

Byliśmy blisko nieba, słonecznie i spokojnie.
Ten stary chłop z krowami,
który podszedł do nas
i twierdził,
że mnie zna,
był może Bogiem,
i tobie powiedział,
być nałożyła coś cieplejszego,
gdyż tego dnia będzie chłodno.

Wiersze w tomie podzielone są na cztery rozdziały zatytułowane logicznie: *Południe*, *Zachód*, *Północ* i *Wschód*. Ale wróćmy do początku – bo Jahorina to masyw górski w Górach Dynarskich i zarazem popularny ośrodek narciarski w Bośni i Hercegowinie, położony w bezpośrednim sąsiedztwie Sarajewa. Od razu czujemy bliskość, bo wiadomo, że w naszej redakcji jest wyraźne przechylenie na południe, na Bałkany, na tak bardzo różnorodne krainy i młode państwa, ze szczególnym sentymentem do Bośni i Hercegowiny właśnie. Dlatego kolejne wiersze są nam tak bliskie: *Nad Sawą*, *Hercegovina*, *przed Jablanicą*, *Na stacji benzynowej w Kiseljaku* czy w *Kuchni przy kawie*: „Dwie filiżanki / na kwadratowym taborecie przykrytym serwetą. / Kawa po turecku…". I jeszcze *Wiersz napisany na kartce z wierszem Meszy Begića „Wetknięty pomiędzy"*. Autor jest zadomowiony

eprasa.pl f2841e161d

w bałkańskich klimatach, bo publikował nie tylko w Polsce, Austrii i Danii, ale też w Bośni i Hercegowinie, Chorwacji, Serbii i Czarnogórze. Z przywołanym tu Mehmedem (Maszą) Begićem opublikował *Film* (Alternativni Institut, Mostar, 2001). W cenionym przez nas wydawnictwie Forma opublikował zbiór opowiadań *Kawa w samo południe* (2010). W nocie biograficznej czytamy, że „mieszka w Berlinie i Włosieniu (woj. Dolnośląskie), lubi góry i nie tylko". Całkowicie rozumiemy!

Z wielką radością odnotowujemy też świetnie redagowany „Notes na 6 tygodni", wydawany przez organizację o pięknej nazwie Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana! Od początku kieruje nią charyzmatyczna Bogna Świątkowska. Otrzymaliśmy właśnie nr 168, obejmujący stołeczne wydarzenia od lipca do września.

I jeszcze jedno „pokwitowanie": nr 3/2006 „Dwumiesięcznika Literackiego Topos", który od niedawna ukazuje się odważnie w dużym formacie, a który od lat cenimy. Jak zwykle dołączony jest tomik poezji w ramach *Biblioteki Toposu*, tym razem jest to tom 229. zatytułowany *Agrafony* autorstwa Bogdana Nowickiego, doktora nauk humanistycznych, poety, prozaika, eseisty i literaturoznawcy. Redaktorem tomu jest Krzysztof Kuczkowski, który zawsze będzie utożsamiamy z „Toposem", a Tadeuszowi Dąbrowskiemu, jego następcy, życzymy kolejnych sukcesów!

PIOTR DOBROŁĘCKI

eprasa.pl f2841e161d

KRONIKA

Czerwiec 2026

■ W ramach 19. edycji Nagrody Literackiej m.st. Warszawy tytuł Warszawskiej Twórczyni otrzymała Małgorzata Szejnert – jako wyraz uznania dla autorki, która od dekad pozostaje jedną z najważniejszych i najbardziej wpływowych postaci polskiej literatury faktu. Uhonorowani zostali także: Maciej Sieńczyk w kategorii „proza" za *Pijaczka* (Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej), Justyna Kulikowska w kategorii „poezja" za tom poetycki *Wnyki dla światła*" (Wydawnictwo WBPiCAK w Poznaniu), Katarzyna Wasilkowska w kategorii „literatura dziecięca" za *Złodziejkę* (Literatura); Krzysztof Mordyński w kategorii „książka o tematyce warszawskiej" za *MDM. Marszałkowska dzielnica marzeń* (Centrum Architektury) oraz Łukasz Wojciechowski w kategorii „komiks i powieść graficzna" za *Dum-dum* (Kultura Gniewu).

■ Kapituła Nagrody im. Wisławy Szymborskiej nagrodziła tom *Skroń* Marleny Niemiec (Convivo) jako najlepszą książkę poetycką wydaną w 2025 roku.

■ W 100. rocznicę urodzin Mariana Turskiego ogłoszono laureatów pierwszej edycji Konkursu Nieobojętnych. Nagrodzono Fundację Strefa Dorastania za projekt programu „Reaguj, nie odwracaj wzroku" dla młodzieży i dorosłych o sposobach reagowania na przemoc słowną, hejt, wykluczenie i stygmatyzację oraz Stowarzyszenie Inicjatywa Obywatelska Pro Civium „Nie wykluczam – Szanuję i Wspieram" za projekt programu koncentrującego się na zjawisku wykluczenia i stygmatyzacji młodych dorosłych w wieku 18–26 lat. Specjalne wyróżnienie Nagród Historycznych „Polityki" im. Mariana Turskiego otrzymała Hanna Krall, której twórczość od dekad pomaga lepiej rozumieć historię i ludzkie losy. Nagrodzono także Adama Sitarka, Ewę Wiatr i Izabelę Terela, twórców *Leksykonu getta łódzkiego* (Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego).

■ Dr Jacek Kołtan z Europejskiego Centrum Solidarności otrzymał Nagrodę im. Zygmunta Baumana za książkę *Solidarność i nowoczesność. Przemiany pojęcia solidarności od rewolucji francuskiej do pokojowej rewolucji 1980 roku*.

■ Teresa Tomsia została uhonorowana Nagrodę Literacką Czterech Kolumn za całokształt twórczości. Jej inicjatorem i fundatorem był pisarz, historyk sztuki, lotnik i sadownik Stanisław Pasternak.

eprasa.pl f2841e161d

■ Zbigniew Rokita został laureatem Śląskiej Nagrody Literackiej Krauza 2026 za książkę *Aglo. Banką po Śląsku* (Znak).

■ W konkursie literackim „Gryf Literacki 2025" pod patronatem Krzysztofa Hildebrandta, prezydenta Wejherowa nagrodę w kategorii „literatura piękna" otrzymała Karolina Janowska za powieść *Troja* (Novae Res). W kategorii „literatura naukowa i popularnonaukowa" nagrodzono Cezarego Obracht-Prondzyńskiego, Aleksandrę Kurowską-Susdorf, Krzysztofa Gradowskiego oraz Daniela Kalinowskiego za publikację *Emigracja kaszubska / Kaszëbskô emigracjô* (Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie oraz Instytut Kaszubski w Gdańsku). Wyróżnienie specjalne otrzymało Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie za wydanie powieści Stefana Fikusa *Z Sybiru do Lëzëna*.

■ Laureatem Nagrody im. Karoliny Beylin został Remigiusz Grzela, dziennikarz, pisarz, dramatopisarz, tłumacz, biograf artystów, od lat związany z Festiwalem Warszawa Singera, kierownik literacki Teatru Żydowskiego, autor cenionych wywiadów publikowanych m.in. w „Zwierciadle" i rozmów na antenie radiowej Jedynki.

■ W drugiej edycji konkursu literackiego Planeta Izabelin 2026 w nowej formule skierowanej do młodego czytelnika nagrodzono książki: *Raz, dwa, psy cztery* Agnieszki Elbanowskiej z ilustracjami Niki Jaworowskiej-Duchlińskiej (BIS), *Bury i Bar. Wilk z lasu i pies ze schroniska* Aleksandry Struskiej-Musiał z ilustracjami Marty Rydz-Domańskiej (BIS) oraz *Wylinkę* Wita Szostaka z ilustracjami Aleksandry Krzanowskiej (Powergraph). *Wylinkę* wyróżniło także jury dziecięco-młodzieżowe.

■ Laureatami Wawrzynu Pawła Konrada w Konkursie Książka Roku 2025 zostały oficyny: Wydawnictwo UMCS w kategorii „Książka o Lublinie" za książkę Adama Kopciowskiego *Nieświęte miasto. Opowieść o szajce Kojech gejers i żydowskim półświatku dawnego Lublina*, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II w kategorii „Książka o Lubelszczyźnie" za publikację Marty Łosiowej *Wojna polega na chowaniu. Dzienniczek 1939–1945*, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie w kategorii „Lublin – wydawnictwo albumowe" za album *Lublin zniszczony w latach 1939–1945 i (nie)odbudowany* pod red. Jacka W. Wołoszyna, Wydawnictwo Lipiec w kategorii „Lubelszczyzna – wydawnictwo albumowe" za album Grzegorza Szkutnika *Obary* oraz wydawnictwo Boni Libri za album *Mój Kazimierz. Zapiski Ewy Wolnej i Tomka Sikory* oraz Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej w kategorii „Publikacje wydane przez biblioteki województwa lubelskiego" za Jerzego Flisińskiego *Bialskie księżne Radziwiłłowe*.

eprasa.pl f2841e161d

■ W Konkursie Technicus 2026 organizowanym przez Federację Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych – Naczelną Organizację Techniczną w kategorii „Najlepsza książka szerząca wiedzę historyczną" przyznano nagrodę Wydawnictwu Naukowemu PWN za pracę Tadeusza Chmielniaka i Tomasza Chmielniaka *Energetyka wodorowa*. Wydawnictwo Naukowe PWN zostało także nagrodzone w kategorii „Najlepszy poradnik techniczny" za pracę *Pompy ciepła i efektywność energetyczna* pod red. naukową Doroty Chwieduk. W kategorii „Najlepsze wydanie elektroniczne" nagrodę odebrało Wydawnictwo Czasopism i Książek Technicznych SIGMA-NOT za pracę *Ekonomia i środowisko* Tomasza Żylicza wydaną pod patronatem czasopisma „Aura – ochrona środowiska".

■ W Festiwalu Miłosza w Krakowie uczestniczyli: amerykańska poetka Claudia Rankine, Raúl Zurita, laureat Griffin Poetry Prize, Amina Elmi, laureatka nagrody Europejski Poeta Wolności, a także przedstawiciele czeskiej poezji z Kateřiną Rudčenkovą na czele, białorusko-amerykańska poetka Walżyna Mort, badaczki twórczości Czesława Miłosza Clare Cavanagh i Birutė Jonuškaitė oraz najważniejsze nazwiska polskiej poezji, w tym m.in. Julia Fiedorczuk, Jarosław Mikołajewski, Tomasz Różycki i Antonina Tosiek.

■ Motywem przewodnim Imienin Jana Kochanowskiego, czyli literackiego pikniku Biblioteki Narodowej w Ogrodzie Krasińskich w Warszawie oraz w Pałacu Rzeczypospolitej, była twórczość Bolesława Prusa.

■ Osią czwartej edycji organizowanego przez Polski PEN Club festiwalu poetyckiego Warszawa Wierszy była wzięta od Julii Hartwig fraza „jasne niejasne". W wydarzeniu uczestniczyli m.in.: Ryszard Krynicki, Anna Piwkowska, Piotr Matywiecki, Anna Janko, Marcin Sendecki i Krzysztof Siwczyk.

■ W jubileuszowej 10. edycji Festiwalu Książki w Opolu wzięło udział ponad 250 autorów i 150 wystawców. Odbyły się spotkania autorskie, warsztaty, koncerty, panele dyskusyjne oraz wydarzenia przygotowane z myślą o całych rodzinach. Z festiwalową publicznością spotkali się: Remigiusz Mróz, B.A. Paris, Andrzej Dragan, Marek Niedźwiecki, Dorota Wellman, Paulina Młynarska, Daniel Olbrychski, Krystyna Demska-Olbrychska, Naval, Katarzyna Grochola, Rafał Olbiński, Sławek Gortych, Małgorzata Oliwia Sobczak, Ewa Woydyłło, Tomasz Sianecki, Joanna Bator, Jakub Małecki oraz Marek Krajewski. Radosław Sikorski otrzymał Nagrodę Wolności Miasta Opola.

■ W Poznaniu odbył się Pyrkon, jeden z największych festiwali fantastyki w Europie. Jego gośćmi byli astronauci Eileen Collins i Sławosz Uznański-Wiśniewski oraz aktor Giancarlo Esposito, znany m.in. z serialu *Breaking Bad*. W wydarzeniu uczestniczyli

eprasa.pl f2841e161d

też: Michelle Gomez, znana z roli Missy w serialu *Doktor Who*, Anton Lesser, występujący m.in. w serialach *Gra o tron*, *The Crown* i *Andor*, oraz aktorzy dubbingowi znani z takich produkcji jak *Kraina Lodu*, *Toy Story 5* i gra *Cyberpunk 2077*.

■ Zygmunt Miłoszewski po 20 latach rozstał się z Grupą Wydawniczą Foksal i wraz z bratem Wojciechem Miłoszewskim, Jackiem Dehnelem oraz Jakubem Szamałkiem założył wydawnictwo Spółka Autorska Heca.

■ Zebranie Delegatów Stowarzyszenia Autorów ZAiKS wybrało władze na kolejną czteroletnią kadencję. Przewodniczącym zarządu ponownie został Miłosz Bembinow.

Lipiec 2026

■ 6. edycja Światowego Kongresu Tłumaczy Literatury Polskiej w Krakowie, w której uczestniczyło ponad 200 tłumaczy z kilkudziesięciu krajów świata, była świętem polskiej literatury i wyrazem wdzięczności dla tych, którzy z pasją przekładają ją na inne języki i promują na świecie.

■ Laureatem XXII edycji Nagrody Transatlantyk, najważniejszego wyróżnienia przyznawanego corocznie przez Instytut Książki ambasadorkom i ambasadorom literatury polskiej za granicą, został Tapani Kärkkäinen, wybitny tłumacz literatury polskiej na język fiński.

■ Podczas Biesiady Literackiej w warszawskim Domu Literatury Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" została uhonorowana Krystyna Chwin.

■ Laureatem Nagrody im. K. I. Gałczyńskiego Orfeusz za najlepszy tom poetycki 2025 roku został Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki za tom *Przeszłość zagarnia swoje piękne dzieci* (Znak). Orfeusza Mazurskiego za najlepszy tom wydany w Polsce północno-wschodniej (Warmia, Mazury, Podlasie) odebrała Mira Linga-Cielecka za tomik *Żona poety* (Miejska Biblioteka Publiczna w Olsztynie). Z okazji 15-lecia Nagrody jury zdecydowało także o przyznaniu Orfeusza Honorowego Adrianie Szymańskiej za całokształt twórczości poetyckiej i krytyczno-literackiej.

■ Lech Śliwonik, historyk teatru, krytyk, pedagog i działacz kultury, został laureatem Nagrody Człowiek Słowa 2026, przyznawanej podczas Festiwalu Stolica Języka Polskiego.

■ Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk po raz dziewiąty nagrodziło autorów najlepszych prac. W kategorii „literatura naukowa" nagrodę otrzymał Michał

eprasa.pl f2841e161d

Słomski, autor monografii *Relacje przestrzenno-społeczne w małym mieście epoki nowożytnej. Dolsk w pierwszej połowie XVII wieku* (Wydawnictwo Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN). W kategorii „literatura popularnonaukowa i beletrystyka" zostali nagrodzeni: Bruno Romero Ferreira Miranda, Lucia Furquim Werneck Xavier oraz tłumaczka Sylwia Mikołajczak, autorzy opracowania *Krzysztof Arciszewski. Wspomnienia Krzysztofa Arciszewskiego. Polak w służbie Kompanii Zachodnioindyjskiej w Brazylii* (Companhia Editora de Pernambuco, Nationaal Archief – Den Haag, Consulato Geral da República da Polônia em Curitiba oraz Powiat Poznański). W kategorii „literatura dotycząca miasta Poznania" zwyciężył prof. Przemysław Biskupski, autor publikacji *Komentarz do krajobrazu. Przemiany przestrzenne Poznania w ostatnich dwóch stuleciach* (Wydawnictwo Politechniki Poznańskiej i Wydawnictwo Miejskie Posnania).

■ W 13. edycji Konkursu im. Anny Świrszczyńskiej na książkowy debiut poetycki zwyciężył Krzysztof Koch (pseud. clandestino) za tomik *cytostatycznie* za: „powściągliwy formalnie, przejmujący zapis pożegnania, podjęcie tematu odchodzenia w sposób poruszający, skłaniający do głębokiej refleksji".

■ Laureatami Nagrody Literackiej Zakopanego zostali Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński (piszący pod pseudonimem Maryla Szymiczkowa) za książkę *Szaleństwo i śmierć spłyną z gór* (Znak Literanova). W kategorii „najlepsza książka napisana w języku polskim" zwyciężył Stanisław Łubieński, autor *Drugiego życia Czarnego Kota* (Agora). W głosowaniu o Nagrodę Publiczności zwyciężyła praca *Witkacy. Biografia* autorstwa Przemysława Pawlaka (Iskry).

■ Nagrodę główną Zwyrtała 2026, wręczaną podczas Rabka Festiwal, otrzymały Justyna Rudomina i Monika Jabłuszewska z Biblioteki „Centrum Wszystkiego" SP nr 2 im. Jana Pawła II w Suchym Lesie za projekt: „Kuchnia literacka, czyli rozsmakuj się w czytaniu".

■ Międzynarodowy Festiwal Literatury Dziecięcej Rabka Festival 2026 odbył się pod hasłem „Świat emocji" z udziałem dzieci, rodziców, nauczycieli oraz miłośników książek. Wśród zaproszonych gości byli: Tomasz Samojlik, Boguś Janiszewski, Marcin Szczygielski, Wojciech Widłak, Katarzyna Wasilkowska, Adam Mirek, Katarzyna Ryrych, Maciej Szymanowicz, Gosia Herba, Mikołaj Pasiński, Max Skorwider, Marcin Minor, Wit Szostak oraz Malwina Hajduk.

■ W 12. edycji Festiwalu Góry Literatury wzięło udział blisko 80 tys. osób. Zorganizowano przeszło 170 wydarzeń: głośne czytania, spotkania, debaty, panele dyskusyjne, warsztaty, seminaria, wykłady, lekcje, koncerty, spektakle, pokazy akrobatyczne, wystawy, wernisaże, projekcje filmowe, połączone z prelekcjami

eprasa.pl f2841e161d

pokazy bajek, spacery przyrodniczo-literackie oraz jarmark artystyczny. Wydarzenia odbywały się w: Dzierżoniowie, Dzikowcu, Jedlinie-Zdroju, Ludwikowicach Kłodzkich, Nowej Rudzie, Opolnicy, Polanicy-Zdroju, Radkowie, Ścinawce Górnej, Wałbrzychu, Złotym Stoku. Z publicznością spotkało się przeszło 240 osób, wśród nich: Mirosław Bałka, Natalia de Barbaro, Edwin Bendyk, Marek Bieńczyk, Magdalena Bigaj, Anna Bikont, Wojciech Bonowicz, Sylwia Chutnik, Jacek Dehnel, Urszula Glensk, Georgi Gospodinow, Paweł Goźliński, Agnieszka Holland, Krystyna Janda, Katarzyna Kasia, Leszek Koczanowicz, Leszek Kolankiewicz, Joanna Kuciel-Frydryszak, Karolina Kuszlewicz, Adam Leszczyński, Krzysztof Łapiński, Jul Łyskawa, Alberto Manguel, Grzegorz Markowski, Adam Michnik, Adam Mirek, Michał Nogaś, Artur Nowak, Stanisław Obirek, Małgorzata Omilanowska, Kacper Pobłocki, Radek Rak, Paweł Piotr Reszka, Anda Rottenberg, Michał Rusinek, Amelia Sarnowska, Sławomir Sierakowski, Krzysztof Siwczyk, Paweł Sołtys, Tomasz Stawiszyński, Dorota Sumińska, Katarzyna Szaulińska, Wit Szostak, Kazimiera Szczuka, Mariusz Szczygieł, Julia Szychowiak, Magdalena Środa, Piotr Tarczyński, Wojciech Tochman, Antonina Tosiek, Olga Tokarczuk, Adam Wajrak, Halszka Witkowska, Ewa Woydyłło, Olga Wróbel i Urszula Zajączkowska.

■ XIX Dni Jakuba Wędrowycza w Wojsławicach były wyjątkowym konwentem miłośników twórczości Andrzeja Pilipiuka i ogólnie pojętej historii i fantastyki.

■ W programie 11. Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego jednym z najważniejszych wydarzeń była rozmowa prof. Jerzego Bralczyka z Michałem Ogórkiem. Odbyły się też spotkania z Jakubem Ćwiekiem, Rafałem Witkiem, Ziemowitem Szczerkiem, Magdaleną Parys, Krzysztofem Vargą, Moniką Sznajderman, Patrycją Bukalską, Joanną Jagiełło, Ingą Iwasiów i Zośką Papużanką.

■ Fundacja Historia i Kultura ogłosiła pierwszą edycję konkursu o Nagrodę Homera. Laureatów poznamy podczas inauguracji Targów Książki w Katowicach.

■ Unia Literacka rozpoczęła kampanię „10 procent" domagając się, aby minimalne honorarium autorskie wynosiło 10 proc. ceny okładkowej książki.

■ Ptak Warsaw Expo zapowiada nowe wydarzenie: Warsaw Book Festival – Warszawskie Targi Książki, Literatury, Edukacji i Popkultury Czytelniczej, które ma się odbyć od 11 do 13 grudnia przy Al. Katowickiej 62 w Nadarzynie.

■ Zmarł prof. Piotr Oczko, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny znawca Holandii, kawaler orderu Oranje-Nassau. Autor kilkunastu książek, w tym *Pocztówki z Mokum* oraz *Sukni i sztalug*.

eprasa.pl f2841e161d

■ Zmarł Jerzy Mechliński, księgarz z Łobza na Pomorzu Zachodnim. Przez lata realizował misję wspólnych działań środowiska księgarskiego. Był inicjatorem i pierwszym przewodniczącym Zachodniopomorskiego Stowarzyszenia Księgarzy, przekształconego następnie w Ogólnopolskie Stowarzyszenie Księgarzy.

PIOTR DOBROŁĘCKI

eprasa.pl f2841e161d

NASI AUTORZY

WOJCIECH BRZOSKA
(ur. 1978), poeta, absolwent kulturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (2002). Autor trzynastu książek z wierszami *(m.in. Niebo nad Sosnowcem*, *Przez judasza*, *Fuertemuerte*, *Dziesięć tysięcy kroków*). W prasie literackiej zadebiutował w 1998 roku. Od tamtej pory regularnie publikuje zarówno w polskich, jak i zagranicznych periodykach literackich i kulturalnych, m. in. w „Twórczości", „Odrze", „Tygodniku Powszechnym", „Znaku", „Przekroju", „Kwartalniku Artystycznym", „Manuskripte" (Austria), „Ostragehege" (Niemcy), „Cordite Poetry Review" (Australia), „Sodobnost" (Słowenia) oraz w licznych antologiach. Jego wiersze były tłumaczone na języki: angielski, niemiecki, czeski, słowacki, słoweński, serbski, hiszpański, ukraiński i duński. W 2022 roku Biblioteka Śląska wydała o jego twórczości monografię *Poetyka ucha*. Zawodowo przez 20 lat związany był z więziennictwem. Organizator wielu spotkań literackich oraz koncertów dla osadzonych. Pomysłodawca adresowanego do więźniów Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jeana Geneta. Mieszka w Katowicach. Strona autorska: www.wojciechbrzoska.pl.

ALEKSANDRA DOMAŃSKA
Pisarka, reżyserka, autorka spektakli teatralnych i telewizyjnych, filmu dokumentalnego *Wilcza 11* oraz książek: *Ulica cioci Oli* (Krytyka Polityczna, 2013), *Ulica Pogodna* (2014), *Grzybowska 6/10. Lament* (2014), *Bohatyrowicze. Szkice do portretu* (2019), *Trójstyk. Gawęda o granicach* (2022) oraz *Uczucia niekonieczne* (2026).

WIESŁAW GODZIC
Profesor zwyczajny, filmoznawca i medioznawca. Związany z Uniwersytetem Śląskim (do 1983) i z Uniwersytetem Jagiellońskim (do 2003). Profesor w Uniwersytecie Humanistycznospołecznym w Warszawie (SWPS), kierownik Katedry Mediów Audiowizualnych, dziekan i prorektor SWPS. Zajmuje się semiotyką i retoryką przekazów medialnych. Stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, Central European University, Getty Foundation i Deutscher Akademischer Austauschdienst oraz norweskich fundacji rządowych. Wykładał m.in.: w Cleveland State University, w Rochester University w USA, w Middlesex University w Londynie oraz w Bergen i w Trondheim w Norwegii. Redaktor naczelny kwartalnika „Kultura Popularna" (2002–2019). W ostatnich latach wydał: *Znani z tego, że są znani. Celebryci w kulturze tabloidów* (2007), podręcznik akademicki *Media audiowizualne* (2010), *E-gatunki. Dziennikarz w nowej przestrzeni komunikowania* (2015), wraz ze

eprasa.pl f2841e161d

Zbigniewem Bauerem – *Kuba i inni. Twarze i maski popkultury* (2013) oraz *Okrakiem na barykadzie. Celebryci i dziennikarze* (2017).

ERIN HALLEDA

Studiowała filologię polską na Uniwersytecie w Szczecinie oraz anglistykę/amerykanistykę na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. W roku 2020 debiutowała literacko w „Twórczości" opowiadaniem *Zagraj dla mnie*. Przez wiele lat brała udział w kursach aktorskich. W latach 2019–2022 prowadziła w Berlinie amatorską grupę teatralną, dla której napisała i wyreżyserowała komedię *Zastępstwo dla dublera*. W numerze 3/2025 „Kwartalnika Literackiego Wyspa" ukazało się jej opowiadanie *Stara Łajba*. W tym roku wydaje powieść *Skrzydła Dedala*. Pisze w języku polskim i niemieckim. W wolnym czasie żegluje.

JOANNA JARECKA-GOMEZ

Urodzona w Krakowie, mieszka na stałe w Brukseli. Pisarka, poetka, tłumaczka, politolożka. Ukończyła filologię romańską na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz nauki polityczne na Uniwersytecie w Brukseli (ULB). Zanim w pełni poświęciła się literaturze, pracowała (w latach 1982–1985) w ONZ, a następnie w Parlamencie Europejskim (1994–2019), gdzie pełniła funkcje wicesekretarza generalnego we frakcji EPL oraz dyrektora ds. spraw zagranicznych. Zna biegle sześć języków i ma kwalifikacje tłumacza przysięgłego przy Sądzie Najwyższym w Luksemburgu. Pisze swoje teksty po polsku, po hiszpańsku i po francusku. Jest autorką trzech tomów opowiadań*: Jagüey* (2010), *Nazar* (2016), *Merapi* (2020), wydanych po polsku i po francusku, tomiku wierszy *Koty dla mojej mamy*, antologii opowiadań w języku hiszpańskim *Fisuras*, powieści *Ewa i Europa* (2023) oraz tomiku wierszy *Amnezja i inne bestie* (2025). Obok pracy literackiej jest autorką artykułów i esejów o tematyce społeczno-politycznej i obyczajowej, z których kilka zostało opublikowanych na łamach „Gazety Wyborczej". Ostatni artykuł *Bezpieczeństwo cywilizacyjne. Nie pozwólmy amputować kultury* został opublikowany w kwartalniku literackim „Podgląd" w maju 2025 roku. Współpracuje regularnie z kwartalnikiem literackim „Wyspa". Jej wiersze znalazły się również w *Antologii wierszy czytanych* w podkoście o poezji *Nadmorze*, w sierpniu 2025. Jest członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

ANNA KALINOWSKA

(ur. 1946 w Warszawie), doktor nauk przyrodniczych, przez ponad 25 lat dyrektor Uniwersyteckiego Centrum Badań nad Środowiskiem i Zrównoważonym Rozwojem na Uniwersytecie Warszawskim. Kierowała terenowymi wyprawami naukowymi m.in. do Mongolii i Meksyku oraz krajowymi i międzynarodowymi projektami edukacji ekologicznej m.in. dla NATO i UNESCO, ekspert Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody IUCN. Człowiek Roku Polskiej Ekologii 2002. Laureatka Zielonych Orłów Rzeczpospolitej 2022. Autorka wielu książek popularnonaukowych z dziedziny

eprasa.pl f2841e161d

ekologii i ochrony środowiska, m.in. *Ekologia – wybór przyszłości* (1992 – książka zdobyła I nagrodę w konkursie Editions Spotkania i MEN) oraz książek dla dzieci m.in. *Lato nad Narwią* (1997), *Łaskotani chrabąszcza wąsami. Po zielonym świecie z księdzem Janem Twardowskim* (2004). Autorka powieści *Krótka smycz*, wydanej w 1988 w drugim obiegu i po raz drugi w 2004 już z przypisami historycznymi, zbiorów opowiadań *Uciec w Himalaje. Czyli PRL, dewizy i marzenia o wolności (2020)* (wyróżnienie Magellana w kategorii książki podróżniczej) oraz *Piękny mafioso z KC i inne opowiadania podróżującej po krajach bloku (2023)*. W roku 2025 ukazała się książka wspomnieniowa *Świat według Nowogrodzkiej*. Mieszka w Podkowie Leśnej. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

WITOLD KALIŃSKI

Filolog, były nauczyciel i dyrektor warszawskich szkół, m.in. „Reja" i „Reytana". Współautor programu nauczania języka polskiego dla liceum (opracowanego w latach 1980–81) i *Mówimy po polsku* (*Volk und Wissen Verlag)* – podręcznika nauki języka polskiego dla Niemców. Wydał m.in.: *Poezja naszego wieku* – antologię dla ostatniej klasy liceum (WSiP, wyd. III, 1992) i *tylko błysk* (2004) – tomik poezji. Na emeryturze – animator życia kulturalnego w powiecie sądeckim. Zajmuje się historią lokalną. Wydał tu m.in.: opracowanie *Miejskie koedukacyjne gimnazjum i liceum w Muszynie 1945–1950*, a także obszerny esej O*powieść o ludziach w dolinie Popradu (2021)*. Artykuły, recenzje, materiały publikował w: „Pamiętniku Literackim", w „Wyspie", w „Almanachu Muszyny", a także w kwartalniku „Sądeczanin. Historia". Redaktor „Południcy" – wkładki literackiej do „Sądeczanina", w którym publikuje też felietony. Prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego im. Cypriana Norwida i Stowarzyszenia Amici Hungariae. Członek jury konkursów o Nagrodę im. prof. Jerzego Skowronka oraz o Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora.

TOMASZ KRAKOWIAK

(ur. 1984), prozaik. Jego debiut *Wariograf* (wydawnictwo Anagram, 2023), to zbiór w dużej mierze autobiograficznych opowiadań, które często układają się w cykle złożone z krótszych tekstów. Obecnie pisze drugą książkę, której akcja rozgrywa się na łódzkim osiedlu Radogoszcz. Jest to próba ocalenia miejsca, ludzi, wspomnień i oddania swoistego hołdu małej ojczyźnie w myśl zasady, że pisanie ocala. W wolnych chwilach gra na handpanie, sprząta biurko i opowiada córce wymyślone historie.

MACIEJ KRZEMIŃSKI

Pracownik Państwowej Akademii Nauk Stosowanych we Włocławku. W obszarze badań literackich porusza kwestie biografii, psychologii oraz zagadnień dzieciństwa i młodości. Od lat zainspirowany polską literaturą realistyczną z lat sześćdziesiątych XX wieku.

eprasa.pl f2841e161d

MAŁGORZATA KULISIEWICZ
Absolwentka filmoznawstwa i polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka esejów i recenzji filmowych i literackich, publikacji historycznych, realizatorka reportaży telewizyjnych w TVP Kraków. Autorka książek poetyckich: *Inni Bogowie*, *Kot Wittgensteina i inne wiersze*, *Ciasteczka z ironią*, *Sprzedawcy jaśminu*, *Kinoptycznie*, polsko-angielskiej *Sennik Hoppera. Hopper's Dream Book* oraz zbioru opowiadań *dalEKOwzroczność*. Publikowała też w licznych międzynarodowych i polskich antologiach poezji i prozy. Otrzymała wyróżnienia za poezję, prozę i scenariusz. Tłumaczona na języki: angielski, niemiecki i grecki. Członkini Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Mieszka w Krakowie.

BEATA KUREK
Krakowska poetka, publicystka, redaktorka, animatorka kultury, kustosz dyplomowany Biblioteki Jagiellońskiej. Autorka tomików wierszy: *Słowem malowane* (1997), *Milczenie o zapachu pomarańczy* (1999), *Zupełnie inna gwiazda* (2002), *Boso po lodzie* (2011), *Pod jednym kloszem* (2021), *Poezje wybrane* (2022). Laureatka konkursów, stypendystka Urzędu Miasta Krakowa (2001). Związana ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich, Biblioteką Kraków, Krakowskim Forum Kultury i Teatrem Stygmator. Autorka opracowań materiałów źródłowych z XIX wieku, m.in. *Spowiedzi życia mojego. Dzienników Karola Estreichera Seniora z lat 1847–1905*.

PIOTR MILEWSKI
(ur. 1975), studiował w Poznaniu, w Wiedniu, w Pasawie, w Filadelfii, w Sapporo i w Otaru. Dziewięć lat spędził w Japonii. Debiutował w 2000 roku wierszem na łamach Magazynu Literacko-Publicystycznego Młodych „Iskra". W tym samym roku uzyskał wyróżnienia w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O Gęsie Pióro oraz w IV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „O ludzką twarz człowieka". W 2001 roku w konkursie University of Pennsylvania Asian Literary Magazine Mosaic Spring Contest otrzymał nagrodę za wiersze anglojęzyczne. Współdziałał z grupą poetycką Pilleus (przy Legnickiej Bibliotece Publicznej), łączącą literackie tradycje europejskie i japońskie. Współpracuje z polskimi i z japońskimi czasopismami oraz z prasą polonijną. Autor książek: *Transsyberyjska. Drogą żelazną przez Rosję i dalej* (2014), *Dzienniki japońskie. Zapiski z roku Królika i roku Konia* (2015), *Islandia albo najzimniejsze lato od pięćdziesięciu lat* (2018) i *Planeta K.* (2020), *Tokio. Opowieści z Dolnego Miasta* (2023).

RADOSŁAW MŁYNARCZYK
(ur. 1990), literaturoznawca i redaktor, odkrywca i edytor młodzieńczej powieści Marka Hłaski *Wilk* (2015), juweniliów pisarza *Najlepsze lata naszego życia* (2016) oraz opowiadania *Diabły w deszczu* (2020). Autor biografii *Hłasko. Proletariacki*

eprasa.pl f2841e161d

książę (2020), wydawca listów i pamiętnika Hłaski (2017), a także serii dzieł zebranych (2019–2025).

MACIEJ JERZY OTŁOWSKI
(ur. 1975 w Warszawie), żołnierz zawodowy w stopniu pułkownika. Absolwent Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego (1999). Autor kilku artykułów z dziedziny historii i teorii stosunków międzynarodowych oraz studiów strategicznych, opublikowanych w czasopismach „Wiedza Obronna" i „Myśl Wojskowa". Pasjonat historii i wędkarstwa. Opowiadanie *Podpułkownik* jest jego debiutem literackim.

JAN SKOUMAL
Dziennikarz, redaktor w „Rzeczpospolitej". Publikował na łamach „Teologii Politycznej", „Nowych Książek", „Klubu Jagiellońskiego", „Plusa Minusa" oraz „Kwartalnika Literackiego Wyspa". Zajmuje się literaturą, a także krytyką literacką prozy polskiej i obcej, interesuje się muzyką klasyczną oraz operą. Pisze prozę. Ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, mieszka w Krakowie.

GRZEGORZ WIŚNIEWSKI
(ur. w 1948 r.), historyk kultury, eseista, pisarz muzyczny, publicysta, animator życia artystycznego. Autor blisko dwudziestu książek – monografii i szkiców monograficznych, zbiorów esejów, leksykonów. Wieloletni sekretarz generalny i wiceprezes Związku Literatów Polskich.

PIOTR WOJCIECHOWSKI
(ur. 1938), prozaik, reżyser i krytyk filmowy oraz publicysta (stały felietonista miesięczników „Więź" i „Workshop"). Jako pisarz zadebiutował w roku 1967 książką *Kamienne pszczoły*. W latach 2002–2005 był prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wykładowca PWSTiF w Łodzi, członek Rady Etyki Mediów i Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Od 2006 roku – członek Rady Programowej Fundacji Centrum Twórczości Narodowej. Jest laureatem kilku nagród literackich, m.in. Kościelskich (1978), Nagrody PEN Clubu (1992), Nagrody im. Kornela Makuszyńskiego (1994). W 2019 roku otrzymał Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta za całokształt twórczości oraz Nagrodę Literacką im. ks. Jana Twardowskiego. W 2020 roku został uhonorowany Nagrodą Literacką m.st. Warszawy w kategorii „warszawski twórca". Od 1963 roku mieszka w Warszawie.

GRAŻYNA WOJCIESZKO
(ur. 1957 w Bydgoszczy), poetka, tłumaczka (angielski, francuski, hiszpański), animatorka kultury i inicjatorka projektów interdyscyplinarnych. Autorka sześciu tomów poetyckich oraz tomu prozy poetyckiej. Publikuje regularnie w pismach

eprasa.pl f2841e161d

literackich w kraju i za granicą (np.: „Odra", „Twórczość", „Afront", „Wyspa", „Borders In Globalization") oraz na portalach (np.: Babiniec Literacki, Helikopter). Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Do jej najważniejszych osiągnięć należą: Grand Prix VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Granitową Strzałę" (2016) za zestaw wierszy, który stał się częścią tomu *Zaklinanie* oraz nominacja w II Konkursie im. Tymoteusza Karpowicza za projekt tomu poetyckiego. Należy do najczęściej tłumaczonych współczesnych poetek polskich (francuski, angielski, hiszpański, szwedzki, czeski, chiński). Jej wiersze znalazły się w *Anthologie de la poésie mondiale (Światowa antologia poezji)* w serii *Collection Planètes* (Éditions Caractères, Paryż). Aktywnie uczestniczy w festiwalach literackich oraz wydarzeniach promujących poezję, zarówno w Polsce, jak i za granicą. Brała udział w Festiwalu Góry Literatury (2024), Krakowskie Noce (2025), Le Printemps des Poètes (Wiosna Poetów) – w edycjach m.in. w Luksemburgu i Francji, Ponte Poética w Hiszpanii, Marché de la Poésie w Paryżu. W roku 2017 powołała Fundację czAR(T) Krzywogońca, której prezesuje do dzisiaj. Fundacja ma swoją siedzibę w miejscowości Krzywogoniec w Borach Tucholskich i stanowi centrum inicjatyw artystycznych.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

(ur. 1969), publicysta i krytyk literacki. Publikował na łamach dzienników („Express Wieczorny", „Nowy Świat", „Życie", „Życie Warszawy", „Dziennik Związkowy"), a także tygodników („Spotkania", „Tygodnik Solidarność", „Ozon", „Wprost", „Gazeta Polska", „Gentleman", „Sukces"). Był redaktorem naczelnym tygodnika „Nasza Polska" (od 2006). Miał też do czynienia z eterem (Radio dla Ciebie, Radio „S", Radio WaWa, Radio Plus) oraz ze szklanym ekranem (TVP – cykl *Czytajmy* oraz udział w serii *Errata do biografii*). Wspólnie z Krzysztofem Masłoniem prowadził audycję *Poczytnik* w Polskim Radiu 24. Od wielu lat jest współpracownikiem „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI".

JAN ZIELIŃSKI

Historyk literatury i krytyk sztuki, b. wieloletni wykładowca literatury i kultury polskiej na Uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria), b. profesor literatury powszechnej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Autor wielu książek (najnowsza: *Magiczne Oświecenie*, 2022). Tłumacz, edytor, organizator wystaw. W roczniku „Załącznik Kulturoznawczy" ma autorską rubrykę *Chronometr*, w „Kwartalniku Literackim Wyspa" – *Lustra*, a w londyńskim „Pamiętniku Literackim" – cykl *Lektury spiralne*. Członek jury Nagrody im. Kościelskich. Od marca 2023 roku prowadzi dziennik *Spod powieki*, który początkowo ukazywał się na łamach kwartalnika „Konteksty", a od września 2024 jest dostępny online na stronie Księga Przyjaciół wydawnictwa Próby (https://wydawnictwoproby.pl/category/ksiega-przyjaciol/).

eprasa.pl f2841e161d

29. Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie

22-25 października 2026 r.

EXPO Kraków | ul. Galicyjska 9

UWAGA: DRUGI CZŁOWIEK

Agnieszka Osiecka

ksiazka.krakow.pl

30 lat Targi w Krakowie

EXPO KRAKOW

eprasa.pl f2841e161d